



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

Usage guidelines

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

About Google Book Search

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumentie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

Zasady użytkowania

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

Informacje o usłudze Google Book Search

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

PG
7158
.S54.W2
1907











W MATNI



WACŁAW SIEROSZEWSKI



W MATNI

JESIENIĄ ✚ SKRADZIONY
CHŁOPAK ✚ CHAJŁACH ✚
✚ ✚ W OFIERZE BOGOM

WYDANIE TRZECIE



WARSZAWA
NAKŁAD GEBETHNERA I WOLFFA
KRAKÓW — G. GEBETHNER I SPÓŁKA
1907

PG 7158
SS4W2
1907

JESIENIA

OBRAZEK

Z ŻYCIA PÓŁNOCNO-WSCHODNICH KRAŃCÓW SYBERYI



Deszcze i śloty, trwające bez przerwy od dni kilku, trzymały w chacie mieszkańców jurty »Tałaki«¹⁾, skazując ich na bezczynność. Wychodzili często z izby i długo a żałośnie spoglądali na zapłakane niebo, bo siano gniło, porzucone na łąkach. Niestety, szara siatka dżdżu spoczywała na okolicy, nad nią nisko kłębiły się ciężkie czarne chmury, wśród których spragnione oko napróżno szukało najmniejszej szparki błękitu.

Nadomiar złego ulewa nie zadowolniła się zostawionymi jej z lat przeszłych dziurami w dachu i zrobiła sobie wiele innych; lało się więc w izbie zewsząd na głowy i ramiona, a pod nogami na glinianej podłodze utworzyła się dość głęboka i wciąż wzrastająca kałuża wody. Różne nieczystości, pozostałości jadła, resztki ryb i zwierzyny, nawóz trzymany w kącie cieląt, wdeptane w ziemię i wysuszone podczas lata, odmokły i napełniły wnętrze jurty nieznośną wonią. Było więc w niej duszno, wilgotno i zimno. Ogień na kominku palił się jaśniej, leniwie, zdławiony kłębami sianej pary, krążącej po izbie.

¹⁾ Tałaki — łoża.

A izba była maluczka: wzięła ona z otaczającej ją pustyni nie więcej nad cztery kwadratowe sążnie przestrzeni; ukośne ściany, ułożone z postawionych prostopadłe, a z kory oczyszczonych pni modrzewiowych, zmniejszały jeszcze jej objętość, zwiężając ją u góry. Płaski, zbudowany z takichże belek dach zawisł tak nisko nad głowami mieszkańców, iż jeden z nich, Michajło, tęgi parobczak, u małego okienka rozplątujący pęk sieci, trącał o pułap kędzierzawą czupryną.

Środkiem izby szła przegroda z desek ciosanych toporem, dzieląca ją na dwie równe połowy: prawą — męską i lewą — żeńską. U słupa, stanowiącego jej zakończenie, twarzą zwrócony do ognia, z rękami założonymi na prawe kolano siedział i palił fajkę Kyrsa ¹⁾, mój gospodarz niemłody, lecz czerstwy jeszcze Jakut, zamożny i niezależny pan pracujących parobczaków, właściciel domostwa, mnogich sieci, zwierząt i sprzętów, oraz trzech kobiet: jednej żony i dwóch córek. Młodsza była już sprzedana, lecz mieszkała u ojca, ponieważ umówiona za nią suma nie została jeszcze w zupełności przez kupującego wniesioną.

W izbie panowało głębokie milczenie, rzecz dość niezwykła w miejscu, gdzie znajduje się kilkoro Jakutów. Na kominku ogień parskał i sykał, a za przegrodą chrzęściły mięte przez dziewczęta skóry. Przeczuwałem, że cisza owa źle się skończy; rzeczywiście wkrótce wybuchła burza. Wywołał ją parobczak, przewany »Szmatą« dla swego niedołęstwa. Włócząc się z kąta w kąt od samego rana, przewrócił wreszcie wiaderko i wylał wodę.

¹⁾ Biały lis — przezwisko.

Ta kropla przepełniła czarę. Wszystkich oczy zaiskrzyły się, a twarze pobrały.

Przelekły »Szmata« próbował spędzić winę na Michajłę, który zgubił szukany przez niego rzemień. Michajło w odwet przypomniał Szmacie przeszłoroczne grabie. Zwada wszczęła się na dobre. Języki obracały się z szybkością młyńskich kół, wyrzucając obelgi i przycinki, na tle których groźne okrzyki gospodarza grzmiąły jak trąba archanioła. Gospodyni nie zaniechała też wyjść ze swego ukrycia i wziąć udziału w szermierce z właścicielką kobietom całego świata zapamiętałością. W jurcie zaszumiało nagle, jak w zmaconym ulu. Gospodarz twierdził, gospodyni przeczyła, parobcy wymyślali sobie, dziewczęta wydawały wojenne okrzyki, zbudzone dziecko płakało w kolebce, a cielęta beczały, odpowiadając na przeciągły, gruby ryk krów, które wieczór przypędził pod drzwi domostwa. Ten ostatni wypadek wpłynął znacznie na osłabienie hałasu, wycofując z walki żywioł kobiecy i byłby go może zupełnie zażegnał, gdyby gospodarzowi nie przyszła nagle do głowy szczęśliwa myśl dodania jeszcze czegoś, wówczas, gdy już wszyscy umilkli.

Słowo to pękło niespodzianie, jak spóźniona po walce bomba i wywołała tak straszną wrzawę, iż krowy i cielęta umilkły, wylekły wiatr ucichł, chmury uciekły, a ja ujrzałem złoty promień słońca, który przekradłszy się przez dziurę pęcherza w oknie, wpadł nagle do wnętrza naszej ciemnej, brudnej, hałaśliwej budy. Figlarny, wesóły spoczął błyszczącym kółeczkiem na siwej, wystrzyżonej głowie mego gospodarza, przed którego nosem właśnie w tej chwili sterczała ogromna, ułożona z palców jego żony »figa«.

— Ot tobie!! Zjedz!! Na!! — krzyczała rozgniewana, lecz zawsze piękna »Kiumiś«.

Figa coraz bliżej przysuwała się do rozswartych ust nieszczęśliwego.

Co się stało dalej? Czy Kyrsa pomścił w sposób godny mężczyzny tę największą zniewagę, jaką tylko może zrobić Jakutowi kobieta? Czy i tym razem okazał się »żoną swej żony«, babą, niedołęgą, jak go nazywali sąsiedzi, i nie wybił zębów, nie połamał żeber tej skrzętej kobiecie, prącą której żył i bogacił się? Nie wiem, gdyż przewidując upadek mego przyjaciela, w którym miłość dla żony zawsze zwalczała poczucie obowiązku, a nie chcąc być świadkiem jego porażki, schwyciłem za broń i wyniosłem się z chaty.

Wiatr ucichł, powłoka chmur pękła i rozsunawszy się, odsłoniła tu i ówdzie kawałki blado-błękitnego nieba. Słońce wyrzało nagle przez jedno z takich okienek i okolica, przed chwilą tęskna i zapłakana, rozjaśniła się blaskami złota i pogody. Padł na nią odcień wesela pół figlarny, pół rzewny i była w tym uśmiechu, w tych szatach jesiennych, zawiędłych, wyżółkłych, podobna do opuszczonej kobiety, której przelotny kaprys stygnącego już kochanka znów podarował chwilę pieśczoły i szczęścia. Krople deszczu błyszczały, jak brylanty na poczerńniętych gałązkach drzew i krzewów; niebo umalowało się kolorami karminu, a na kołyszących się jeszcze łozach drgały perły minionych łez, minionej burzy.

Przedemną, między dwoma słupami dwóch wysokich przyładków, będących częścią dwóch, w przeciwnym kierunku biegnących ramion lasu, błyszczała powierzchnia jeziora. Jego brzegi coraz bledsze, coraz niższe

i mglistsze, w miarę tego, jak się oddalały, nikły za krawędzią poblizkiego urwiska. Rosły tam cienkie, wysokie modrzewie, gęsta łożyna, krzewy i trawy, drobne z powodu odległości, a wyraźnie i czarne wskutek odbijających się na nich z tyłu promieni zachodu, tworząc na bladuróżowym niebie dziwnie misterną koronkę czarnych gałązek i liści. W górze nad niemi zawisły szare, ciężkie złotem i purpurą dierzgane chmury, a u dołu między dwoma pianą obryzganymi brzegami igrały, goniąc się wzajem, malowane barwami nieba fale jeziora.

Ścieżką, wijącą się wśród pożółkłych traw, poszedłem przez łąkę ku owemu urwisku.

Jakże brzydko i ponuro wyglądał z blizka ów »szajtan tumu!«¹⁾ Jednostajne, płaskie, brudno-zielonym mchem i liśćmi »maroszki«²⁾ porośnięte wzgórza, łagodną falą toczyły się na zachód ku gasnącemu słońcu; pokrywający je las — rzadki, suchotniczy nie ubierał ich, lecz szpecił, stercząc tu i owdzie pojedynczymi osobnikami, podobnymi do włosów, pozostałych na świeżo wyłysiałej głowie. Milczenie i zmrok nadciągającej nocy opanowały już podnóże boru, tylko gdzieniegdzie w górze na nagim, skrzywionym przez wiatry wierchołku modrzewia dopalał się zapomniany promień słońca.

Chwilęostałem, przypatrując się tej dzikiej miejscowości, w głąb której zapuścić się o zmroku nie śmiałyby żaden z krajowców. Głęboki spokój ją zalegał: coraz ciszej szumiały rozkołysane wody; zorza gasła,

1) »Szajtan tumu!« — szatański bór.

2) Jagoda.

raz jeszcze tylko błysnęła wyraźniej, przedostając się przez siatkę mniej gęstych zarośli, i zapalając po drodze powierzchnię jakichś nieznanych mi jezior. Poszedłem ku owym wodom nęcony ciekawością, pędzony tęsknotą.

Podróż jednak okazała się trudniejszą, niż się spodziewałem. Zmuszony byłem co chwilę skakać i czepiać się zarośli, wymijając głębokie, wązkie studnie, ocembrowane pniami zwalonych setki lat temu drzew, a zdradziecko ukryte pod zarastającymi je mchami i ziołami, pełne wody o ślizkiem lodowatym dnie, gdzie wpadając nieostrożny przechodzień, łatwo mógł skrećić kark, lub połamać nogi. W wielu miejscach sączyły się bagniste strumienie o niewyraźnym korycie i brzegach płytkich, lecz grząskie i trudne do przebycia, wskutek zawałających je pni i gałęzi. Gęsto po lesie rozrzucone »wykroty«, z korzeniami sterczącymi ku górze, okryte ziemią i mułem, tworzyły o zmroku, gdy wszystko tak niewyraźne przybiera kształty, pokręcone, dziwaczne figury. Białe plamy »jagielu«, świecące w ciemnościach u ich stóp, podobne do olbrzymich szmat porwanego całuna, uwydlatniały i podwajały jeszcze dzikość ich kształtów; nie więc dziwnego, iż krajowcy widują tu często przy purpurowym świetle zorzy, lub w blasku księżyca błędzące postacie, wysokiego »leśnego dyabła«, lub czarną sylwetkę słowiańskiego strzelca »siatuna«, co przyszedł z południa i włączy się obecnie w pobliżu chat jakuckich, polując na ich bydło.

Biada okolicy, gdzie minął jego cień: od jednego wystrzału zabija on niekiedy po 50 do 200 sztuk zwierząt. Straszna ta broń południowa, szczególnie gdy jej

używa dyabeł! Tego wieczora nie spotkałem jednak żadnego ze wspomnianych mieszkańców boru.

Nie widziałem też i »szajtana« — wysuszonego trupa Tunguza. Niegdyś znajdowano ich tu dość często i bór od nich wziął swą nazwę. Siedzieli zazwyczaj gdziekolwiek pod drzewem lub urwiskiem, wyschli, drobni, poczwarni, patrząc na wschód otworami, wyjedzonych przez ptaki oczu; na kolanach trzymali drewniany łuk, lub gwintówkę, u nóg ich leżała siekiera o złamanym trzonku, a u sadzonego srebrem i paciorkami pasa wisiał w pochwie także złamany nóż; — złamany w tym celu, aby umarły nie mógł szkodzić nim żywym. Nieco z boku leżały porozrzucane kości zabitych na grobie nieboszczyka reniferów, uprząż i niewielkie sanie tunguskie. Nikt nigdy nie ośmielał się przywłaszczyć sobie czegokolwiek z tych dość tu cenionych rzeczy. Śmiałkowi groziła kara: dnie całe błdził, dopóki nie przyszedł na to samo miejsce i nie zwrócił skradzionego przedmiotu. Uparci wracają kilka, kilkadziesiąt, kilkaset nawet razy, nie mogąc wyjść z zaklętego koła, dopóki nie uczynią zadość sprawiedliwości i nie prześlągają datkiem rozniewanego właściciela. Niebezpiecznie jest nawet dotknąć się którejkolwiek z rzeczy, należących do zmarłego, gdyż to wywołuje «purgę» — zamieć, a w najlepszym razie wiatr mocny. Choć życzliwi krajowcy radzili mi unikać spotkania z »szajtanem«, gdyż sprowadza ono rychłą, a niekiedy natychmiastową śmierć, żałowałem jednak mocno, iż nie zdybałem go tego wieczora. Za tę grzeszną chętkę zostałem jednak sorowo ukarany.

Zmrok gęstniał. Ostatnie purpurowe odbłyски zoczy już zgasty, gdy zmęczony i obszarpany przedarłem

raz jeszcze tylko błysnęła wyraźniej, przedostając się przez siatkę mniej gęstych zarośli, i zapalając po drodze powierzchnię jakichś nieznanymi mi jezior. Poszedłem ku owym wodom nęcony ciekawością, pędzony tęsknotą.

Podróż jednak okazała się trudniejszą, niż się spodziewałem. Zmuszony byłem co chwilę skakać i czepiać się zarośli, wymijając głębokie, wąskie studnie, ocembrowane pniami zwalonych setki lat temu drzew, a zdradziecko ukryte pod zarastającymi je mchami i ziołami, pełne wody o ślizkiem lodowatym dnie, gdzie wpadając nieostrożny przechodzień, łatwo mógł skrócić kark, lub połamać nogi. W wielu miejscach sączyły się bagniste strumienie o niewyraźnym korycie i brzegach płytkich, lecz grząskie i trudne do przebycia, wskutek zawalających je pni i gałęzi. Gęsto po lesie rozrzucone »wykroty«, z korzeniami sterczącymi ku górze, okryte ziemią i mułem, tworzyły o zmroku, gdy wszystko tak niewyraźne przybiera kształty, pokręcone, dziwaczne figury. Białe plamy »jagielu«, świecące w ciemnościach u ich stóp, podobne do olbrzymich szmat porwanego całuna, uwydatniały i podwajały jeszcze dzikość ich kształtów; nie więc dziwnego, iż krajowcy widują tu często przy purpurowem świetle zorzy, lub w blasku księżycy błędzące postacie, wysokiego »leśnego dyabła«, lub czarną sylwetkę słowiańskiego strzelca «siatuna», co przyszedł z południa i włóczy się obecnie w pobliżu chat jakucich, polując na ich bydło.

Biada okolicy, gdzie minął jego cień: od jednego wystrzału zabija on niekiedy po 50 do 200 sztuk zwierząt. Straszna ta broń południowa, szczególnie gdy jej

używa dyabeł! Tego wieczora nie spotkałem jednak żadnego ze wspomnianych mieszkańców boru.

Nie widziałem też i »szajtana« — wysuszonego trupa Tunguza. Niegdyś znajdowano ich tu dość często i bór od nich wziął swą nazwę. Siedzieli zazwyczaj gdziekolwiek pod drzewem lub urwiskiem, wyschli, drobni, poczwarni, patrząc na wschód otworami, wyjedzonych przez ptaki oczu; na kolanach trzymali drewniany łuk, lub gwintówkę, u nóg ich leżała siekiera o złamanym trzonku, a u sadzonego srebrem i paciorkami pasa wisiał w pochwie także złamany nóż; — złamany w tym celu, aby umarły nie mógł szkodzić nim żywym. Nieco z boku leżały porozrzucane kości zabitych na grobie nieboszczyka reniferów, uprząż i niewielkie sanie tunguskie. Nikt nigdy nie ośmielał się przywłaszczyć sobie czegokolwiek z tych dość tu cenionych rzeczy. Śmiałkowi groziła kara: dnie całe błdził, dopóki nie przyszedł na to samo miejsce i nie zwrócił skradzionego przedmiotu. Uparci wracają kilka, kilkadziesiąt, kilkaset nawet razy, nie mogąc wyjść z zakłętego koła, dopóki nie uczynią zadość sprawiedliwości i nie przebłagają datkiem rozniewanego właściciela. Niebezpiecznie jest nawet dotknąć się którejkolwiek z rzeczy, należących do zmarłego, gdyż to wywołuje «purgę» — zamieć, a w najlepszym razie wiatr mocny. Choć życzliwi krajowcy radzili mi unikać spotkania z »szajtanem«, gdyż sprowadza ono rychłą, a niekiedy natychmiastową śmierć, żałowałem jednak mocno, iż nie zdybałem go tego wieczora. Za tę grzeszną chętkę zostałem jednak sorowo ukarany.

Zmrok gęstniał. Ostatnie purpurowe odbłyśki zorzy już zgasły, gdy zmęczony i obszarpany przedarłem

dźwięków mej fantazy rozległ się odgłos zupełnie realny, który zmusił mię otworzyć oczy. Płynął on z głębi jeziora i podobnym był do miarowych uderzeń wiosła. Wlepiłem oczy w to miejsce, skąd zdał się pochodzić. Zasłona mgły kołysała się nieco; poza nią nisko nad wodą coś majaczyło. Po chwili z cieniów wynurzyła się i wybiegła na jezioro mała jakutska „piroga“. Widziałem doskonale wiosłarza, jak siedział skulony na jej dnie i uderzał z kolei to prawą to lewą łopatką długiego wiosła, z którego wznoszonych naprzemian końców woda lała się strugą, błyszczącą, jak roztopione srebro.

Wkrótce przybył do brzegu i wyciągnął łódkę na ziemię. Popętnałem ku niemu, kryjąc się, by mnie nie ujrzał przed czasem, gdyż wiedziałem, że umknie. Zajęty był wybieraniem czegoś z dna łodzi.

— Rozповідаj! — powitałem go według krajowego zwyczaju, ukazując się z wolna z poza krzaków.

Krzyknął i odskoczył, lecz nie uciekł, gdyż mię poznał, poznałem go i ja: był to biedny Jakut, mieszkający o pięć wiorst odemnie.

— Nic nie wiem! Nic nie słyszałem!! Wszystko dobrze! Och! jakżeś mię przestraszył! — odrzekł pośpiesznie i wyciągnął ku mnie rękę.

— Cóż ty myślał?

— Czego bo nie zdarza się spotkać człowiekowi nocą w lesie! — odrzekł wymijająco i podejrzliwie obejrzał mię od stóp do głowy. Niekiedy myślisz — człowiek znajomy i rozmawiasz z nim, jak ze znajomym, a ot w końcu okazuje się, że nie człowiek!!

— A coż ty tu robisz tak późno?

— Wracam do domu! Jutro przecież święto! a połów mam daleko na »Babylonie«¹⁾ wiorst stąd trzydzieści. Wiesz przecie, my ludzie biedni, rybą żyjemy... konia nie mam; wciąż więc na łódce i na łódce!! Ot ciągnąc ją przez las przebiłem sobie nogę i zamarudziłem!

— Przebiłeś nogę! A bardzo?

— Bardzo, ledwie, żem krew zatamował!...

— Toś ty może świstał i wołał — spytałem, przypominając sobie dziwny dźwięk, słyszany przed chwilą.

— Ja!.. Nie... — zamilkł, i widziałem, jak pochyliwszy się nad łodzią zrobił znak krzyża.

— A ty co tu robisz?... — spytał mię z kolei.

Zawahałem się.

— Kaczek szukam!... — skłamałem, nie chcąc go więcej jeszcze trwożyć.

— Kaczek... — powtórzył i roześmiał się szczerze, a białe jego zęby zaświeciły w ciemności, jak perły. — Kaczki tu nigdy nie bywają!...

— Nie bywają?... Dlaczegoż?... — pytałem, pomagając mu wyciągnąć łódkę krawędzią lasu ku widniejącemu w dali jezioru. Rybak kulał.

— Jeziora są różne... — objaśniał. — A tak ich jest wiele w naszym kraju, jak gwiazd na niebie, a i gwiazdy to przecież tylko odbicie ich blasku na chmurach! różne więc są jeziora, jak są różne gwiazdy... Duże, małe, głębokie, że dna nie dosięgniesz i płytkie znów, a bagniste. W jednych ryba tłusta, w drugich chuda,

¹⁾ Babylon — ogromne jezioro na północno-zachodniej części Kołymskiego okręgu.

w jednych woda zła, bydłę od niej zdycha, a człowiek choruje, w innych znów czysta, jak powietrze.

Zatrzymaliśmy się nad brzegiem sąsiedniej wody, spuściliśmy łódź i wsiedli w nią: rybak na przodzie, ja z tyłu. Zwróceni plecami jeden do drugiego opierając się z lekka o siebie płynęliśmy podobni do dwulicowego boga, u którego jedna głowa była brodata, europejska, druga — płaska, goła, mongolska.

Mongolska głowa ciągnęła swe opowiadanie, przerywając je chwilami, gdy łódka zbyt się nachylała, przestroga, bym się nie ruszał.

...Wszystko z wody... I krowa żyła przedtem w wodzie, póki człowiek nie schwytał jej i nie przyswoił... W wodzie jak i w powietrzu żyją różne zwierzęta, nawet ludzie. Albo, ot patrz! i ukazał wiosłem na rozkorysane biegiem pirogi, długie wodorosłe. Czy to nie las?

Tak to był las, czarny, tajemniczy, zwiedzany tylko przez ryby i topielców!... Żaden pływak nie wyrwałby się z jego gąszczy, raz w nią wpadłszy.

— Dawniej... — ciągnął Jakut — mówią starzy, wszystko było inaczej... wszystko było dobrze, gdyż wody było więcej... i sobole same przychodziły do wrót zagrody i ryb było tak wiele, że dość było strzałę wpuścić w jezioro, by ona wypłynęła z nadzianą nań zdobyczą, a teraz niema nic, soból uciekł, ryb mało; tylko kupcy, ojcowie nasi, ratują nas, bo umarlibyśmy... dają pieniądze na podatki, dają herbatę, tytoń, perkale. Oj tak! kupcy!... Bardzobym chciał być kupcem!

Łódka stuknęła o brzeg. Znów więc przeciągnęliśmy ją na następne jezioro i tak dalej... gdyż jedyny

to sposób podróżowania w lecie w tym kraju jezior, błot i porośniętych lasem bagien.

Po godzinie takiej podróży, wąską, zarośniętą sito-
waniem rzeczką, przedostaliśmy się nareszcie na ostatnie
jeziore. W dali na jego brzegu migały czerwone gwiazdki
sypiących się z komina jurty iskier.

— Zajdziesz pewnie do »Chachaka? — spytał mię
mój towarzysz, gdyśmy zatrzymali się u brzegu, ja tam
zanocuję.

Wziąłem część rzeczy rybaka i poszedłem ku
jurcie.

Poznałem Chachaka już dawniej. Był to dziwak,
który swymi wybrykami często śmieszył, a nieraz nawet
oburzał naszą okolicę.

— »Chachak ohonior«¹⁾ uszył sobie czapkę z ca-
łego wilka! — opowiadali mi ze śmiechem. Chachak
ohonior zapłacił kupcom tylko po dwa ruble za cegłę
herbaty; po trzy, mówi, zbyt wielki mieliby zarobek.

— Cóż kupcy: dali?...

— Ee... — starucha po cichu dodała im. — Co
to, nie znasz Chachaka? — nie weźmie po trzy... pić się
będzie, a nie weźmie.

W młodości Chachak słynął, jako najlepszy w oko-
licy myśliwy. O jego odwadze, zimnej krwi i zręczności
opowiadano dziwy. Nad wszystkie łowy przekładał po-
lowanie na niedźwiedzia, a chodził na nie latem i zimą
z oszczepem i gwintówką, bijąc w polu lub na barłogach
gdzie i jak się zdarzyło. A był tak pochopny do

¹⁾ Ohonior — znaczy stary, lecz tu na północy używa się
wogóle w znaczeniu człowieka dojrzałego, żonatego, gospodarza.

owych bojów, jak i do kart. Niech tylko zasłyszysz o niedźwiedziu, już spać nie może, już się męczy i gniewa i marudzi, póki nie wyrwie się z domu, nie wytropi, nie zabije zwierza! Nieraz zaproszony przez łowców, którzy wynaleźli gniazdo z kilkoma bestyami, palony gorączką myśliwską, nie mogąc doczekać się ranka, wymykał się szarym świtem na koniu sam z wiernym psem, spiesząc na wskazane miejsce, — gdzie go zwykle znajdowano bladego, obryzganego krwią z cielsk walających się na ziemi »panów lasu«. Towarzyszom nie pozostawało nic, jak zjeść po kawałku surowego serca i wątroby zwalczonych, wypić po czarce krwi i wykrzyknąć głośno trzykrotnie, zwyciężkie »uch«. Wszystkie oczy zwracały się wtedy na Chachaka, który niby obojętny, choć zmieszany a dumny, chylił czoło, otoczone aureolą bohaterstwa. Przecież to on zabił niedźwiedzia »z ogonem«, który, jak wszystkim wiadomo, nie był niedźwiedziem, ale dyabłem. Czyż nie on zabił »lodowego szatuna«¹⁾, który prześladował ludzi, porywał bydłęta, a którego nie miała ni kula, ni oszczep? Chachak sam nigdy się nie chwalił, nigdy nie opowiadał o swoich zwycięstwach, zawsze był skromny i milczący, jak przystało człowiekowi, który więcej może wie od innych; jednakże od przypadku, który ostatecznie zdarzył mu się na łowach, zupełnie się zmienił. Przestał polować i grać w karty, zbiedniał, zmarudniał i zdziwaczał — stracił wpływ i poważanie.

¹⁾ Niedźwiedź obudzony w zimie nie kładzie się już, staje się bardzo zły, krwiożerczy, rzuca na ludzi. Namarznięty na sierści lód i szron okrywają go twardym brzęczącym pancerzem.

Jego jurta stała blisko brzegu, więc rychło znalazłem się u jej wrót. Wewnątrz palił się wesoly ogień i słychać było głosy rozmawiających. Nie spali więc jeszcze! Zbliżyłem się do drzwi i zajrzałem przez szczelinę. Przed ogniem twarzą zwrócony do mnie siedział Chachak i trzymał sieć, lecz jej nie wiązał, ale wyciągnawszy rękę nieco przed siebie, opowiadał coś skupionym obok słuchaczom. U jego nóg małe, nagie dziecko bawiło się mosięzną okówką noża, wiszącego w drewnianej pochwie, przyszytej do jego skórzanych spodni powyżej goleni prawej nogi. Sam Chachak był bardzo ożywiony: pochylał się co chwila ku słuchaczom i stukał potężną piętą w glinianą podłogę chaty.

— Oni brzydzą się jeść koninę, a jedzą świninę!... — opowiadał — a przecież koń jest to bardzo czyste i rozumne zwierzę!...

— O, tak!... — potwierdzili słuchacze.

— A świnia? Widziałem ją!... Obrzydliwa! Sierść nie rośnie na niej żadna! Goła, brudna, głupia i zła! Uszy ogromne, ogon cienki, jak wąż się wiję; oczy małeńkie, a zęby jak u psa! A złośliwa!... Będąc w Jakucku miałem zdarzenie, — ledwie, że mnie nie zjadły... Tam ich dużo. Wyszedłem sobie rankiem na ganeczek, aby wypalić fajkę, wszyscy jeszcze spali, a niebo tylko co zapaliło się świtem. Po dziedzińcu kręciły się, kwicząc, świnie. Ja byłem młody i lubiłem figlować, kiedy więc zbiegły się dookoła mnie, pokazałem im <figę!> Rzuciły się na mnie, jak szalone! — kończył ze śmiechem. — Ja na ganeczek, one za mną, ja na ławkę, otoczyły mię i chrząkają, a ja im wciąż pokazuję >figę...<

Na, !'

Spluwał w kułak i wyciągał go przed siebie.

Nagle skrzypnęły drzwi. Kobiety krzyknęły, parobcy zerwali się z ziemi, dzieci zapłakały.

— Ktoś idzie! Może »nucza«¹⁾, a z nim świniak! Chachak zamilkł i cofnął wyciągniętą figę.

Wejście, jak zazwyczaj w jurtach jakuckich, umieszczone było z tyłu komina, jedynego źródła światła wieczorem; upłynęła więc dobra chwila naprężonej trwogi i oczekiwania zanim wyszedłem z ciemności. Tak, to był »nucza«, ale dobry znajomy, przyjaciel i w dodatku bez świni!

Twarze rozjaśniły się, ręce wyciągnęły, witając serdecznie, otwarcie, jak tu na północy zawsze gościa witają. Chachak roześmiał się, zrobił mi miejsce przed ogniem na ławie i rozkazał postawić na kominie czajniki.

— Rozpowiadaj co i jak! — pytali.

Zacząłem opowiadać sąsiedzkie nowiny; wszyscy słuchali z uwagą, choć jak się okazało, dawno je już znali. Przyszedł towarzysz mej nocnej podróży i rozmowa stała się ogólną. Mężczyźni skupili się dokoła stołu, na którym żona Chachaka postawiła nam wieszczkę: miskę świeżego, kwaśnego mleka i całą górę suszonej ryby »jukały«.

Chachak stał u ognia i grzał plecy, nie mieszając się do rozmowy. Córka jego, młoda, dość piękna dziewczyna, postawiła na stole parę spodków i filiżanek białych, fajansowych i zaczęło się zwykłe przyjęcie jakuckie: herbata z mlekiem i zimną zakąską, a później gotowana wieszczka z ryby. Choć ofiarowany pokarm

¹⁾ Nucza — Rosyanin.

był bardzo smaczny, a my byliśmy dość głodni, nie podaliśmy jednak wszystkiemu, cò postawiono. Chachak zaraz to dojrzał i napadł na mnie ze zwykłą sobie szorstkością:

— Nie jesz? Sytyś?... Co to za nówka moda chodzić sytym w odwiedzinie! Wy Słowianie jecie u ludzi jak ptaki, a przyjdziecie do domu i wołacie: żono, samowar! kocioł staw na ogień! Głodny jestem. Bez wstydu!...

Wszyscy śmiać się poczęli a stary nie mniej od innych. Zawiązała się rozmowa z początku ogólna o różnych krajach i zwyczajach, lecz wkrótce wróciła do palących miejscowych zagadnień.

— Cóż Andrzej? Płacze! A chłopaka niema ani śladu!...

— Niema!

— Szkoda, tęgi chłopak!

— I nic nie znaleźli?

— Nie! Wszyscy sąsiedzi zeszli się szukać, szukali w jeziorach, szukali w lesie, szukali tydzień cały... niema i niema!

— Eee... Niedźwiedź pewnie! Mówią, zjawił się w dolinie, Kechergeres widział go!... — burknął nagle przybyły ze mną rybak.

Przy słowie »niedźwiedź« Chachak, który stał w milczeniu u ognia i bawił się swymi palcami, podniósł nagle głowę. Wszyscy zamilkli i spojrzeli mimowolnie w jego stronę. Stara jego żona z niepokojem próbowała zwrócić rozmowę na inny przedmiot.

— Niedźwiedź! A gdzie go widzieli? — spytał nagle półgłosem Chachak, siadając na ławie.

— Eee.. Kto go wie! Może i nie — odpowiedział zakłopotany rybak.

— Niedźwiedź! Zapewne... — zauważył powoli Chachak. — Nie znaleźli ani ciała, ani odzieży... Tak »on« zazwyczaj zakopuje w ziemię resztki zdobyczy... zdrapuje nawet krew... Tak to »on«. Mówisz: Kecherges widział go? — spytał znowu rybaka.

— Łże!... — odrzekł tenże z niechcenia.

— O! »on« mądry, chytry, a mściwy; musiał mu coś Andrzej zrobić, pochwalić się, lub co powiedzieć. On długo pamięta obrazę, więc wziął mu chłopaka! Choć daleko u siebie, w górach, w boru dobrze jednak słyszy, co my tu mówimy, a rozumie wszystko, jak człowiek, lepiej, niż człowiek!... Kto wie, co »on« jest! Zdejmcie zeń skórę, a zobaczycie, jak podobny jest do kobiety... A mściwy i zapamiętały aż strach! — dodał Chachak i opuścił głowę. — Nie przebacza!

— Ty, ot, ruski, wybierasz się w drogę! — zwrócił się nagle do mnie, — strzeż się! strzeż! Niedźwiedź, choć wielki, umie chodzić cicho, jak cień, kiedy zniemacka chce napaść człowieka. Radzę ci zostać u nas na noc! Z »nim« nie żarty! Niegdyś i ja nie bałem się, a teraz, to, patrz! — odwinął rękaw koszuli. Widok był okropny: lewe ramię, którym, jakem to przedtem zauważył, stary źle władał, było, poczynając od łokcia wyschłe i cienkie, jak skórą obciągnięty piszczel; dokoła kości, prawie na wierzchu, wiły się ocalałe żyły i ścięgna, — masa białych szram kieroszowała ją w różnych kierunkach.

— Zabiłem ich wiele... wiele! — ciągnął dalej — i wiem, że za to one mnie teraz zjedzą... zjedzą, gdyż

boję się... A zdarzyło się to w taki sposób. Pora była nieco późniejsza od obecnej, marzło, zastawiłem »łuki« ¹⁾ na łosie i Bóg dał mi jednego dużego »zwierza« ²⁾... Wozić daleko, droga zła, a mięsa, skóry, wnętrzności w jednym »zwierzu« będzie na siedm, osiem koni. Postanowiłem więc na miejscu zbudować spiżarnię i złożyć w nią zdobycz czasowo, do zimowej drogi. Rano wybrałem się z chłopakiem na robotę. Dzieciak pozostał nieco w tyle, a ja sobie idę spokojnie drogą. Właśnie mijalem łożynę, co tu niedaleko rośnie na wzgórzu, gdy »on« wypadł. Jak pies pobiegł do mnie i nimem się opatrzył, już wstał na łapy. Sięgnąłem po nóż, lecz daremnie usiłowałem wydobyć go z pochwy. Był przymrozek, a ja, wychodząc z domu, nie wytarłem go jak się należy po jadle i przymarzył do pochwy. Bóg dopuścił!... Powalił więc mię »czarny« na ziemię. Widząc, że nie zmożę, schwyciłem go prawą ręką za gardło, a lewą włożyłem mu w paszczę i zacząłem krzycheć na chłopaka, by pobiegł po ludzi. Chłopak głupi poskoczył i pac! swoim nożykiem w niedźwiedzia... a nożyk miał ot taki — i ukazał na palec. — Tatula pozrzeć chcesz! — zakrzyczał. »Czarny« zląkł się i uskoczył w zarośla, a chłopak żelazem trafił mię jak raz w pierś i byłby zabił, tylko jeleniej świty przebić nie mógł. Ledwie mię docucono!

I ot! od czasu, gdy »on«, siedząc na mnie, spojrział mi w oczy, zamąciło mi się w duszy... boję się — dodał cicho — bardzo się boję.

¹⁾ Samostrzał.

²⁾ Zwierzem zowią tu łosia.

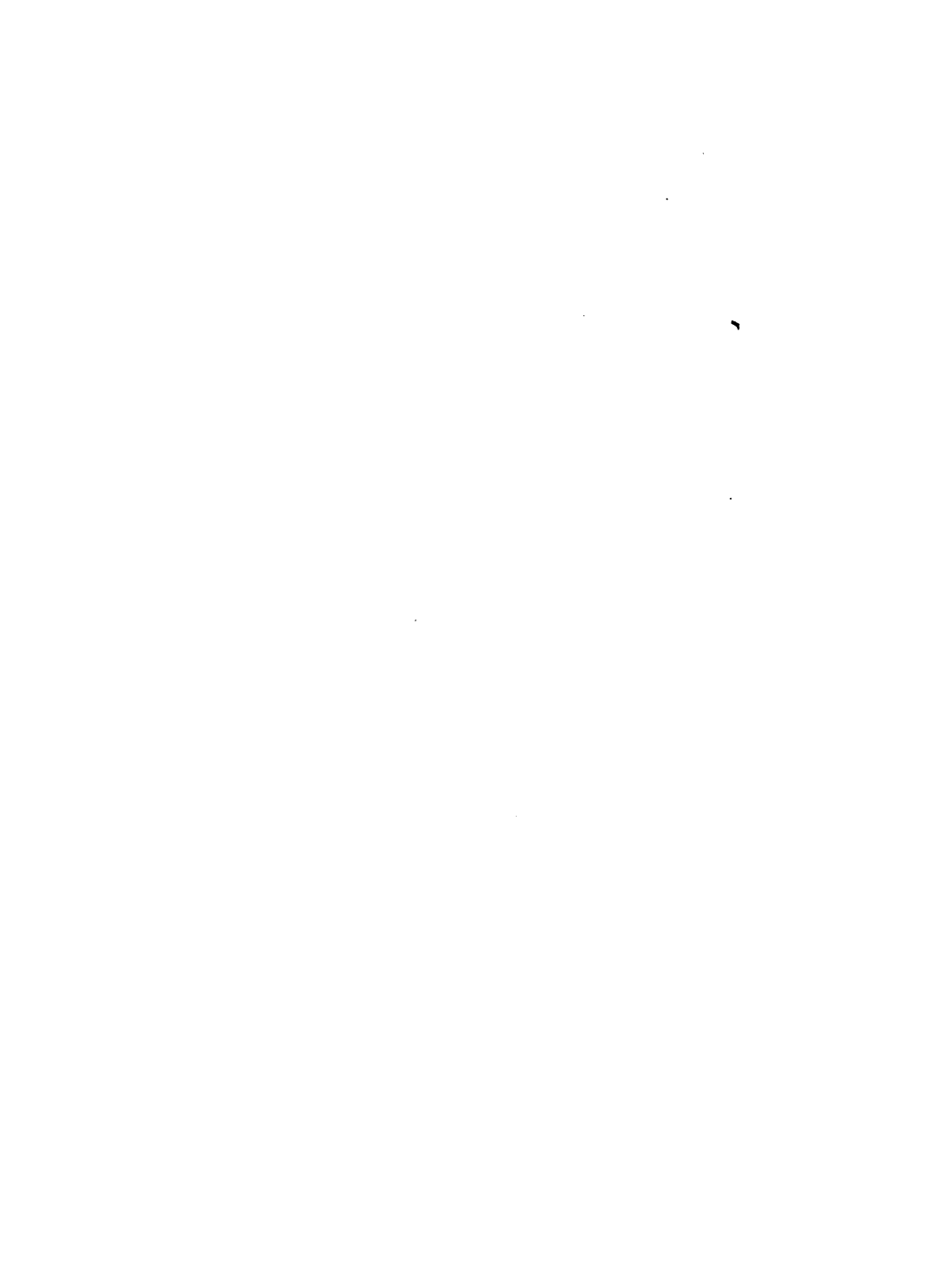
Niedługo po tem pożegnałem uprzejmych gospodarzy i poszedłem do domu. Księżyc świecił jasno, mgła znikła, przede mną błado majaczyła znana ścieżka. Tysiąc razy przechodziłem po niej bez trwogi i żadnej złej myśli, lecz tym razem, gdym zbliżył się do miejsca, na którym Chachak został napadnięty, mimowoli dotknąłem rękojeści noża i chwilę zdało mi się, że widzę w cieniu zarośli leżącą na wyciągniętych naprzód drapieżnych łapach kosmatą mordę potwora.

W parę lat później dowiedziałem się, że Chachak zginął w tajdze bez śladu, — pewnie »panowie lasu« zemsty swej dokonali.

Jaża, Dolina Ałazeja, 1884 r.

SKRADZIONY CHŁOPAK





I. WESELE.

— Skończyłam! — rzekła ciotka Ania i odgryzła nitkę, którą szyla.

Ta cioteczka ¹⁾ była mistrzem w wynajdywaniu odpowiedniego miejsca dla guzika, fałdy lub ozdoby srebrnej, czy mosiężnej — rzeczy na pozór tak drobnej i nieznaczącej, a tak trudnej, tak bardzo upiększającej lub szpecącej wszelkie odzienie. Umiała też ona pleść »kymny« ²⁾ lepiej niż ktokolwiek, ułożyć w pstry deseń jasne i ciemne kawałki futra, zespolić różnokolorowe skrawki perkalu i sukna w prześliczne »oju« ³⁾, bez którego nie mogły się obyć »bile« ⁴⁾, czaprak, »matacha« ⁵⁾, wszelki ubiór weselny, tak jak i nie weselny. Uprzejmie więc zapraszano i witano ją wszędzie, gdzie była w domu wyswatana dziewczyna lub chłopiec. Pojono, karmiono, podejmowano, wybaczano nawet ciągle szczebiotanie,

¹⁾ Wyrażenie »edzij« — ciotka znaczy także starsza siostra, wogóle krewna, starsza od mówiącego.

²⁾ Bicz — gra on pewną rolę w obrzędach weselnych.

³⁾ »Oju« — rysunek, ozdoba, deseń.

⁴⁾ Ozdobne wyszycie na górnej krawędzi cholewy buta.

⁵⁾ Worki podróżne na konia, także część weselnego ubrania.

brak powagi, miłość zabaw i wesołości, częste nieposłuszeństwo i lekceważenie starszych.

Jak tylko Ania zjawiała się gdzieś w domu, tam dziatwa stawała się zaraz krnąbrniejszą. Cały dzień słychać było piosnki i żarty, a wieczorem na dworze rozlegały się do późnej nocy śmiechy i wołania, tupot nóg uciekających i goniących, gwar młodzieży, grającej w »zmrużone oczy«¹⁾. Po mroźnem powietrzu daleko szedł odgłos wesołych okrzyków i gorących całusów. Pocieszano się jednak, że skoro Ania skończy robotę i pójdzie sobie, dziatwa wróci do dawnego porządku. Od czegoż wreszcie popręg od siodła na duże, a łoża na małe?

Ania tymczasem co dnia najpierwsza na nogach. Nim świt błysnie — rozpala ogień, budzi dziewczęta, a sama siada do roboty i siedzi tak dzień cały, szyjąc i gwarząc, a za robotę nie żąda więcej nad dobre słowo i trochę strawy. Chętnie dają jej jedno i drugie, dołączając niekiedy drobne podarki. Niech więc hula, niech całuje i swawoli. Czyż to grzech? Pocałunków jej nikt jeszcze nie kupił, a i odprzedać ich niema komu. Ojciec umarł, starszego brata niema, a ślepa matka z resztą drobnego rodzeństwa dawnoby z głodu umarła, gdyby nie Ania.

Choć więc wszyscy swym córkom surowo zabraniają wstępować w jej ślady, lubią ją jednak powszechnie. Ma lat 22, figlarne oczy, białe zęby, kształtną

¹⁾ Zabawa, zasadzająca się na tem, że chłopiec i dziewczyna gonią się, a złapany nagradza łapiącego całusem. Bawią się tak zazwyczaj wieczorem.

figurkę, drobne ręce i nogi, okrągłe ramiona, stan mocny i giętki, a buziak świeży, rumiany, nie dziw więc, iż wielu zwierza się jej pod sekretem, iż kochają ją więcej, niż kogokolwiek.

Ania siedziała na ławie, pod oknem, w jurcie staro Tarasa, dalekiego swego krewnego. Przyjechała tu umyślnie z domu, odległego o więcej niż sto wiorst, aby pomódz w szyciu wyprawy dla starszej jego córki.

— Trzeba przymierzyć! — zawołała, rzucając na ręce otaczających ją kobiet bogaty torbachani »sagyniak«¹⁾.

Zawołano »Byczkę«²⁾, która, rzuciwszy pospiesznie swą swiętę z krowiej skóry, zwykłą domową odzież Jakutek, przywdziała strój weselny. Torbachan piękny zwierz! Futro jego nieco wprawdzie drogie³⁾, ale za to jak pięknie błyszczy jedwabisty jego włos; jak cudnie mieni się na zgięciach fałd jasnym połyskiem i ciemnym, prawie czarnym w zagłębieniach. Jak wygląda lekko, delikatnie, a poważnie szczególnie w długim do kostek sagyniaku!

Nieco błada od trzydniowego postu twarz Byczy zarumieniała się. Ona, zazwyczaj tak chudziutka, czarna i drobna, w tem ładnem ubraniu wyrosła nagle i wypiękniała. Szttywno obracała się dokoła, by ją patrzący lepiej mogli zobaczyć, wołając na małego braciszka, który

1) »Sagyniak« — odzież kobieca, uszyta z futra wywróconego sierścią na wierzch.

2) Przewisko.

3) Na północy jakuckich siedzib niema torbachanów.

próbował pogłaskać jej piękne futro rączkami, wyciągniętymi z miski zsiadłego mleka.

— Nie ruszaj mię! nie ruszaj!...

— Nie ruszaj jej!... — powtarzali wszyscy chórem i uśmiechali się, kiwając głowami. Matka poprawiała na córce fałdy, a odpychając otaczających, odstępowała co chwila parę kroków, mrużyła oczy i przechylając na bok głowę, patrzyła z wyrazem głębokiego zafrasowania. Nawet Taras przybliżył się z fajką w zębach i z uśmiechem na ustach; tylko pan młody, nie ruszając się, siedział na ławie w pobliżu drzwi i z flegmą wpatrywał się w ogień.

— Pieniek drewniany!... pieniek drewniany!...
Pójdź-no tu! popatrz — ze śmiechem zawołała Ania.

Młody chłopak zwrócił do niej puciołowatą twarz, nagłym oblaną rumieńcem. Na ustach jego pojawił się uśmiech lekki. W miarę tego, jak stawał się przedmiotem ogólnej uwagi, rumieniec ciemniał, a uśmiech rozlewał się coraz szerzej, rozciągając purpurowe jego usta i końcami zbliżając je do czerwonych, sterczących uszu.

— No... no... dajcie mu pokój — rzekł Taras, wytrząsając fajkę. — Dajcie mu pokój! Niech siedzi.

— Na co mu spokój? on go przecie nie lubi!... — zawołała Ania. — Trzeba było wiedzieć, jak on mię wczoraj uczęstował, gdym go trąciła przypadkiem! Nie trzy dni, ale rok cały trzebaby go głodzić przed weselem, a może wówczas ustatkowałby się.

— No... no... — powtarzał Taras — niech siedzi! Kecherges! — zawołał, zwracając się do chłopaka — idź

popatrzeć za końmi. A żywo!... Tu dziewczęta zjedzą cię jeszcze...

Chłopak zerwał się, pochwycił czapkę i wśród ogólnego śmiechu wybiegł za drzwi.

* * *

Nazajutrz, skoro pobladły iskrzące się na niebie gwiazdy i dzień poczęło, nowożeńcy wyruszyli z ojcem do miasta, pomieściwszy się we troje na dwóch koniach. Przodem jechał Taras, za nim Kecherges, mając Bycę z tyłu za sobą.

— Boisz się? — pytała chłopca dziewczyna, tuląc się do jego szerokich pleców.

Jechali doliną wśród gór. Gęsta mgła pokrywała las, rosnący na stokach; dokoła było cicho, jak zazwyczaj w tajdze; tylko chrzęścił śnieg pod kopytami końskimi. Konie parskaly rażno, a między drzewami, wyrastającymi jak białe widma, majaczyła śniegiem zasypiana, wązka, leśna drożyna.

Kecherges, utopiwszy usta w czarne włosy swego wiewiórczego naszyjnika, milczał i kiwał z zadowoleniem nogami. Choć w mieście nigdy jeszcze nie był, jak żyje, wiedział jednak, iż mieli kawał drogi przed sobą.

Minęli las, wyjechali nad rzekę, spuścili się w zasypane śniegiem koryto i znów się wdrapywali na urwisko. Na południu blade tliła się zorza. Mgła rzedniała i opadała, odsłaniając wynioślejsze miejsca okolicy; wyjrzały strome grzbiety gór, czoła borów, uwieńczone śniegów koroną, dalekie płaszczyny jezior i faliste, świa-

tłem jutrzeńki nieco zróżwione łąki i pagórki. Wszystko to białe, przezroczyste, kryształowe, przyémione resztkami znikającej pary, zdawało się oczekiwać niecierpliwie ukazania się słońca, które zapalić na nich miało blaski tęczowe.

— Nie zostawajcie daleko z tyłu — zawołał Taras. — Miasto już blisko... Widzicie? — zapytał ukazując w głąb doliny.

Młodzi naprózno wytrzeszczali oczy we wskazanym kierunku, nie widzieli nic prócz śniegu, mgły i wierzchołków lasu. Na chwilę tylko błysnęło gdzieś daleko, jakby spadająca gwiazda zapłonęła i zgasła.

— Ogień, ojczę, czy co? — zapytała Bycza.

— Nie, to dach złoty na wieży cerkiewnej. Zobaczycie... wszystko zobaczycie, tylko daleko odemnie nie oddalać się, bo zabłądzicie. Domów w mieście wiele, a ludzi jak komarów w lesie... Patrzcie także, żeby wam czego nie świsnęli... a nie zgubcie też czego!... Co upadło, to przepadło... to nie u nas w domu... — mrucał stary, zląwszy z konia i oczyszczając go ze śniegu zębątem żelazem, przymocowanem do rękojeści jego bicia.

Młodzi zsiadli także z konia i zaczęli otrzepywać ubieloną szronem odzież.

— Boisz się? — spytała znowu Bycza Kechergesa, gdy ruszyli dalej.

— Jakże się bać nie mam! — odrzekł Jakut marnotno.

Na twarze obojga wystąpił gorący rumieniec, wargi drżały im nieco, a w każdym urwisku, za każdym pagórkiem widzieli ukrywające się jakieś przerażające zjawisko.

Kiedy wreszcie miasto wynurzyło się z poza lasu i ujrzeli przed sobą wijące się w błękitnym przeźroczu wszystkie trzydzieści jego dymów, gdy wybitniej zarysowały się na białem tle okolicy, nieznanem im dotąd, kształty i cudzoziemskie spiczaste dachy jego budowli — wówczas zdumieni szeroko rozwarli oczy. Przyglądali się temu obcemu dla nich widokowi, niezwyklej ilości domów i ludzi — jak dzieci ciekawej nowości.

Słońce weszło. Zaiskrzyły się leżące na dachach śniegi, pobiełały i gęściej zakłębiły purpurowe dymy, zapaliły się zwierciadlane blaski na szybach bogatych mieszkań, załśniły tafle lodu w oknach biedaków. Kilku ludzi obojętnie minęło jadących.

Kecherges stracił głowę i, zapomniawszy, że Bycza siedzi za nim, kręcił się na siodle, oglądał się na wszystkie strony i co chwila robił głośnie uwagi.

— Tu widzę, co człowiek, to naczelnik okręgu — mówił, zdejmując czapkę przed każdym przechodniem w europejskiem ubraniu. Szczęściem, nie było ich wielu, bo biedak na pewno byłby sobie uszy odmroził.

Wjechali wreszcie w sam środek miasteczka i wkrótce znaleźli się przed cerkwią. Wysoko, w kryształowem, zimowem powietrzu, przesiąkniętem promieniami słońca, przesypanem brylantami śnieżystej kurzawy, jakby z ognia ukuty — gorzał krzyż złoty.

Kecherges ściągnął cugle i w zachwycie zadart głowę do góry.

— Taras! Taras! — krzyknął na całe gardło, nie mogąc powstrzymać się dłużej. — Tam, blisko Pana Boga, pewnie sam pop siedzi?

Lecz nie usłyszał odpowiedzi. Jego wierzchowiec,

przestraszony wołaniem, a niemniej zdziwiony od swego pana, spał się nagle i skoczył w bok. Pas Kechergesa wysliznął się z rąk Byczy; dziewczyna padła w śnieg, za nią potoczył się jej narzeczony, a koń, zadarłszy ogon, pomknął z kopyta w pole; ledwie go złapał Taras. Stary Jakut mocno się zgniewał, tłómaczącego się chłopca skrzyczał i kazał mu milczeć. Kecherges przycichł, posmutniał i począł unikać starego.

Taras zresztą nie potrzebował jego pomocy. Wkrótce znalazł świadków i druchnę, którą była żona jego starszego brata, w tym celu przybyła do miasta. Wszyscy więc razem ruszyli do popa. Pop zapisał co trzeba do księgi i kazał przyjść jutro. Jakut zaczął go prosić, aż wreszcie duchowny, zniecierpliwiony jego skomleniem, przywołał »diaczka«, obiecując dać ślub dziś jeszcze. Udał się więc orszak weselny do cerkwi. Pierwszy szedł Taras, za nim druchna, potem Bycza, a ostatni, na przekór zwyczajowi, Kecherges, który zapomniał już o przygodzie rannej i, otwórzszy usta, gapił się.

Wnętrze cerkwi pełne było blasków słońca i kurzu, podniesionego miotłą zamiatającego stróża.

Zaczął się obrzęd. Rozpleciono cienkie warkocze panny młodej, wystawiono na środek »anałoj«, rozłożono przed nim ręcznik i, za wspólnem staraniem druchny i Tarasa, zmuszono państwa młodych stanąć na nim. Bycza ośmieliła się wkrótce i posunęła nieco naprzód, ale Kecherges, czując na nogach śnieg, który wchodząc zapomniał strzepnąć, za nic w świecie nie chciał stanąć dalej, jak na samym brzegu ręcznika, a i to zdało mu się jeszcze za daleko, za bardzo na widoku wszystkich, zbyt blisko tego ołtarza, iskrzącego

się potokami światła, powodzią wpadającego do wnętrza przez wielkie, podłogi prawie sięgające, okna, a zbyt daleko od tych ciemnych kątów, gdzie tak dobrze biedakom. Pod uderzeniem promieni słonecznych, złoto, srebro, kryształowe ozdoby rozbiły się w tęczowe kolory, szaty świętych na obrazach mieniły się tysiącami barw. Na tę migotliwą, świetlaną siatkę dym kadzidła zarzucał szary muslin swych kłębów. Błado w nim gorzały płomienie świec i lamp; tylko surowa twarz odprawiającego obrzęd kapłana rysowała się wyraźnie. KecherGES drżał na jego groźne spojrzenie, utkwione w siebie.

Czego on chciał od niego? Prawda, korona niezbyt dobrze siedziała na jego wystrzyżonej głowie, lecz cóż on temu winien?

Wyciągnąwszy za siebie rękę, kiwał palcami przed samym nosem Tarasa, lecz ten, zamodlony, nie zważał wcale na te sygnały rozpaczy. Chyląc czoło ku ziemi, bił się w piersi i gorąco prosił Boga, potężnego Boga z południa, o szczęście dla swej córki. Serce starego Jakuta mocno kołatało, oczy zachodziły łzami, nie dziw więc; że nie widział kłopotu chłopaka. Nie wiedział nawet, że sam świeczkę trzymał krzywo, kapiąc woskiem, ku wielkiemu zgorszeniu dziada kościelnego, na którego słyż ogarki kupionych do obrzędów świec.

Tylko druchna, która częściej bywała w kościele, a za jej przykładem i Bycza, trzymały się przyzwoicie, poważnie żegnając się znakiem krzyża w miarowych odstępach i bijąc pokłony.

— Paniel!... Paniel!... Paniel!... — dudniał gruby głos diaczka, aż drżały szyby w oknach i trzęsły się breloki, zdobiące kandelabry.

Kecherges pocił się, nie śmiejąc odetchnąć. Korona zsunęła mu się już na sam czubek.

Świeczka! — krzyknął nareszcie dziad, doprowadzony do ostateczności i szarpnął Tarasa za rękaw. Taras ocknął się. W tejże chwili korona zsunęła się z głowy Kechergesa i z brzękiem potoczyła się na środek cerkwi, pod nogi duchownego. Chłopak zbladł okropnie.

Podniósł ją diaczek i włożył na głowę Jakuta; przyczem nie zaniedbał nieznacznie a mocno pokręcić go za ucho.

— Panie!... Panie!... — zadudniało znów w świątyni, a w głowie biednego Kechergesa zamajaczyło, zahuczało. Kiedyż, наконец, skończy się ta męka? Na domiar złego śnieg, pozostały na jego obuwiu, zaczął topnieć, a woda popłynęła w tym właśnie kierunku, w którym niedawno potoczyła się korona.

Kecherges spuścił oczy, w głowie mu się mąciło. Co to będzie, jeżeli uwala się bogaty ornat kapłana?

— Pocałujcie się!... — rozległo się nad jego uszami.

Bycza trąciła narzeczonego i podstawiła mu swój buziak. A więc skończyło się nareszcie. Pan młody wytarł nos rękawem i pospieszył schować się do kąta, pannie młodej zapleciono warkocz, potem jedno za drugim ostrożnie wysunęli się z cerkwi.

— A to nakapał! — mruczał dziad, zeszkrobując z podłogi krople wosku. — Jemu co... szafować z cudzej kieszeni... Oj, ludzie! ludzie! — i kręcąc głową, a porządkując kluczymi, podążył za wychodzącymi.

I znowu cerkiew została pustą i niemą, tylko promienie słońca gorzały na rąbkach złota i kryształów,

a olbrzymie świeczniki, potrącone falami śpiewu, czy też przypadkowym dotknięciem ludzi, kołysały się łagodnie na swych złożonych łańcuchach.

Taras czuł się niezwykle dobrym i wzruszonym.

— Skończyło się! — powtarzał, patrząc na dzieci wilgotnemi oczami.

Tak, skończyło się! Jakuckie wesele przecie się już dawno odbyło! Dlaczegoż nie wszyscy się cieszą? Widział zakłopotanie i wstyd Kechergesa, a chcąc go rozruszać i okazać mu, że wszystko przebaczył i zapomniał, zawołał chłopca do siebie, dał pieniądze i kazał pójść po wódkę do szynku.

— A spiesz się i dokoń nas... zaraz pojedziemy! — wołał za nim. — Beczulkę weź od szynkarza; powiedz, że przychodzisz ode mnie, on mój dobry znajomy.

W szynku było ludno, jak zwykle, gwarno i ciemno. Palila się wprawdzie świeca na szynkwasiu — niezgrabnym, zbitym z desek siekierą ciosanych, lecz długi jej knot i krzywa postawa malowały dobitnie wstręt otaczających do światła. Nie dbał też o nie stojący obok szynkwasiu Jakut o wyschłej, zwiędłej twarzy: nie patrząc, widział on, nie słuchając, słyszał wszystko, co się działo w jego zakładzie. Było zresztą dość jasno, by dojrzeć duże, przed nim stojące, do góry dnem wywrócone czarki, które ręka jego zawsze była gotową napełnić; czasami, zapewne przez omyłkę zamiast wódki nalewał je wodą.

Biedna łojówka parskała, syczała, walcząc daremnie z kłębami tytuniowego dymu i wilgocią oddechów kupiących się dokoła ludzi. Migotliwe jej światło oświetlało niekiedy twarze gości i czarne, iskrzące się

szronu i pleśni ściany izby; częściej jednak było w szynku ciemno, a zawsze duszno; pachniało siwuchą i skórami reniferów, stanowiących ubranie większości uczęszczających.

Kecherges podszedł do gospodarza zakładu, oddał mu pieniądze, powiedział to co Taras powiedzieć kazał. Szynkarz kiwnął głową, krzyknął na pomocnika i schylił się pod ławę, aby ze stojącej tam baryłki utoczyć żądanej wódki.

Kecherges rozejrzał się po izbie.

W pobliżu jakiś Tungus ruchliwy, niewielki, żylasty, podskakując na cienkich nóżkach, jak na sprężynach, opowiadał otaczającym go o dziwnych zdolnościach swojego ojca, o jego łowach i nieśmiertelnym, nigdy nie kończącym się funcie prochu, który kupił dzieśięć lat temu. Raz zdarzyło mu się zabić z gwintówki, która bezwątpienia najlepszą była w okolicy, od jednego wystrzału i jedną kulą: łosia, trapiącego go niedźwiedzia, lisa, który tam nadleciał przypadkiem, czternaście pasących się naprzeciwko reniferów, gęś, która siedziała na górze nad jeziorem, kaczkę, pływającą na jeziorze... wreszcie otów, wpadłszy w wodę, trafił w olbrzymią rybę, w ogonie której znalazł go i chowa dotychczas na pamiątkę; gotów jest wszakże sprzedać pierwszemu amatorowi za dobre pieniądze.

— Jezioro na górze!... jakże to może być?... — zapytał ktoś, lecz oburzeni słuchacze rozkazali mu milczeć. Każdy z nich mógł opowiadać nie mniej zadziwiające wydarzenia. Powstał gwar. Tungus wrzeszczał, jak opętany, dowodząc, że jest obrażony, że powinni postawić mu na zgodę butelkę wódki; jeśli nie, to on

»szalony Prońka« wybije komukolwiek zęby. Chociaż wszyscy przyznawali mu słusność, nikt jednak nie śpieszył z zadosyćuczynieniem jego żądaniu, co widząc, umilkł, ale po chwili zawołał znowu, wyciągając z pochwy nóż wązki i cienki, jak szydło:

— Oto nóż, który należał do mego ojca. Zrąbał on nim nieraz grubego zwierza prędzej, niżbyś zdążył zważyć kawałek mięsa. Ja sam jednego razu, ugodziwszy nim w bok pędzącego łosia, zostałem wciągnięty impetem żelaza do brzucha zwierza i podróżowałem w jego wnętrznościach wiorst kilkanaście... Wątpię, by lepsza stał znajdowała się gdziekolwiek na świecie! Ot, patrzcie!... — i wzięwszy nóż za koniec ostrza, uprzejmie podawał trzonkiem słuchaczom.

— Siedział on już w ludzkim mięsie... — dodał wkońcu niedbale.

Ciekawy oręż szedł z ręki do ręki, a gdy wrócił do właściciela, ten migocąc jego ostrzem ku światłu, przysięgał, iż nie oddałby go za żadne pieniądze, podarowałby wszakże przyjacielowi, któryby mu postawił półkwaterek wódki. Szynkarz zgodził się dać mu połowę żądanej ilości, ale Tunguz, tocząc pijanym wzrokiem do koła, spostrzegł nagle stojącego opodal Kechergesa z rozwartą gębą i baryłką pod pachą, krzyknął, rzucając się ku niemu:

— Na! bierz!... mówię ci!...

Chłopak z niezwykłą mu zręcznością wymknął się za drzwi.

Słońce zaszło i poczęło się już zmierzchać.

Kecherges szedł spiesźnie w tym kierunku, w jakim zdało mu się, że powinien być znaleźć Tarasa. Lecz

nie dogonił go; zatrzymał się więc pośrodku zasypanego śniegiem zagłębienia, które w lecie tworzyło jezioro, a w ziemi było punktem rozstajnym licznych drózek miasteczka, i patrzył w wielkim kłopotcie na rozrzucone dokoła domy. Ruszył wreszcie w kierunku jednego z nich; lecz już w połowie drogi ogarnęło go zwątpienie. Lękliwie otworzył drzwi i wszedł do obszernej izby, gdzie na komini nie palił się suty ogień. Izba była pusta, tylko stojący w kącie na ławie duży, błyszczący samowar syczał i gwarzył.

Kecherges chrząknął i poczekawszy nieco, ośmielił się wreszcie zbliżyć do przegrody, przez szpary, której widać było migające w sąsiedniej izbie cienie, słysząc głośną rozmowę, śmiechy i dźwięki muzyki. Ośmielając się stopniowo, uchylił nieco drzwi i ostrożnie wsunął głowę do wnętrza.

— Raz! — zawołał kozak, siedzący naprzeciw drzwi z harmonijką w rękach.

Tańczący zatrzymali się, spoglądając.

Kecherges cofnął się; lecz po chwili głowa jego znowu pojawiła się we drzwiach.

— Dwa!

Głowa znowu znikła.

— Czy tu mieszka?...

— Trzy! — przerwał kozak, a widząc, że Jakut tym razem nie chowa już głowy. — Dawaj pieniądze! — krzyknął. — Trzy ruble!... Cóż ty myślisz darmo wsadzać głowę do cudzego mieszkania?...

— A skąd ja wezmę?... — odrzekł Kecherges, uśmiechając się szeroko.

— Et, oszukujesz!... Dobrze!... Chłopcy, weźcie-no go!...

Kupiąca się pośrodku młodzież zaświstała, zachichotała, zatupała nogami. Keherges jednym skokiem znalazł się za drzwiami i na oslep popędził przed siebie; wreszcie nie słysząc już pogoni, zatrzymał się.

— Z drogi! poszo! — krzyknął ktoś nagle nadjeżdżając nań sankami. Chłopak odskoczył w bok, brnąc po pas w głębokim śniegu, aż zziębnięty, zmęczony ujrzał się przed cerkwią.

Przysiadłszy, pytał ziemi, czy nie powie mu cza-sem, dokąd poszli ci, co tu z nim byli tak niedawno.

Nie. Ziemia, której pierś zbrukana była tyłu dotknięciami, nie odpowiedziała mu. Dziki westchnął i podniósł się markotny, myśląc o dziewiczej »tajdze« rodzinnej, gdzie każda złamana gałązka, każdy listek potrącony, lub zmięta trawka tak dokładnie zapisują nazwisko i drogę przechodnia.

Noc zapadła.

Dokoła niewyraźnie czerniły się sylwetki domów, z niskich kominów buchała łuna palących się wewnątrz ognisk, krwawo, jak ślepie wilków, świeciły okna. Jakut chodził dokoła, bojąc się zajrzeć do wnętrza, drżący z zimna, głodu i wzruszenia. Postanowił wreszcie iść na podwórze, gdzie stały przywiązane ich konie; lecz krążąc i wymijając różne budynki, zaszedł w jakieś krzaczki, z których wybiegły nagle spłoszone dwie dziewczyny — i nie zważając na jego prośby i wołania — ze śmiechem uciekły. Chłopak zawrócił i przytuliwszy się do sztachet jakiejś zagrody, czekał.

— Może Bóg miłosierny zeszeł na koniec jakiego litościwego człowieka! — myślał sobie.

Czekał długo; wreszcie usłyszał zbliżające się kroki. Ktoś szedł, nuąc wesoło. Jakut wysunął się z ukrycia.

— Gdzie tu mieszka Czojon? — zapytał nieśmiało przechodnia.

— A czego chcesz od niego?

— Tam jest Taras, który pewnie jeszcze czeka na mnie.

— Co za Taras?

— Taras! Jakut Kannagalas.

— A!... a co tu masz pod pachą?

— Wódkę.

— Wódkę! — powtórzył z ożywieniem nieznanemu. — Dobrze — rzekł pomyślawszy nieco — chodź, ja cię zaprowadzę.

Czas był karnawałowy, bawiono się więc i na odwachu. Wańka siedział na Kieszce i lewą ręką bił go po twarzy, gdyż dwa palce jego prawej ręki Kieszka trzymał mocno zębami. Opasły Daniłko, skrzyżowawszy na piersiach ręce i zwiesiwszy melancholijnie głowę, wdychając, przyglądał im się z boku i powtarzał od czasu do czasu: biją się! Waśka, schowawszy się w ciemnym kącie, rzępolił na skrzypcach, a koślawy Michałko, włożywszy na bakier czapkę tańczył solo »ho-tubca« na środku izby. W głębi ktoś kogoś ścisnął i całował.

— Chłopcy! — krzyknął Aloszka Treguby, wpadając nagle. — Znalazłem człowieka, który nie wie, co robić z wódką!

— Cha, cha, cha! my go nauczymy... Gdzie on, gdzie on? — wrzasnęli wszyscy, obstępując przybyłego.

— Oto jest! — zawołał Aloszka, popychając na-

przód Kechergesa — a to ona! — dodał, unosząc w górę baryłkę.

— Jego żona! — wtrącił Michałko.

— Wypić! — wrzasnęli. — Rozumie się! Co? może zostawić?...

— Ach! wy, świnię morskie! — wołał Aloszka wyrwijając z rąk Waśki wyszczerbioną filiżankę. — Pierwszy przeciw gospodarz! — i nalawszy po brzegi, podał filiżankę Kechergesowi.

— Pij!...

— Wódka Tarasa — rzekł chłopak nieśmiało.

— Tarasa, kiełbasa — zaśpiewał Michałko.

— Pij! albo w gardło łać będziemy!

Chłopak zawahał się, wreszcie uchwycił filiżankę i wychylił ją do dna.

— Zuch! bravo! Aj da! aj da! huraaa! — zakrzyczeli kozacy.

Zaskrzypiały drzwi, ktoś wbiegł. Krzyki, śmiechy rosły, potęgowały się, aż zlały się w jeden nieustający chór wesołości. Usłyszawszy to, stojący na warcie Miszka, nie mógł wytrzymać i postawiwszy na swoim miejscu słomą wypchany kozuch z karabinem w łapach, sam spadł do izby.

— Hulaj, bracie! hulaj — powitały go okrzyki. — Bóg dał całe dwa garnce wódki!

Jaśniej buchnął płomień ogniska, głośniejsze zabręczały skrzypce, z ciemności wyrzało kilka śmiejących się, zbydlęconych twarzy kobiecych, zaświstało, zatupało, zakotłowało się i dokoła oślepiałego Kechergesa utworzył się isticie karnawałowy korowód czerwonych koszul, reniferowych świt, tunguskich czapek. Ogarnięty wirem

szalonego tańca i on wreszcie rozwiązał na piersiach rzemień sukmany, odwinął poły i rzucił się śladem szalejących kozaków.

Późno w nocy znalazł go Taras śpiącego pod zaspą śniegu. Obok leżała pusta baryłka. Z pomocą Byczy wsadził chłopaka na konia i powiózł do domu.

II. IDYLLA.

Kecherges, obudziwszy się nazajutrz, nie śmiał podnieść oczów na nikogo. Usiadł, jak zwykle, w kąciku przy drzwiach, milczał i patrzył w ogień, rad, iż nikt doń nie mówił i nikt nań nie zwracał uwagi.

— Ciekawa rzecz, jakeś to ty Pieńku taczał się po mieście? — próbowała zażartować z niego Ania lecz na twarzy chłopca odbiła się taka męka, iż dziewczyna, ulitowawszy się, dała mu pokój.

Na domiar złego Bycza zachorowała; z początku bolała ją tylko głowa, a pod wieczór napadł ją »menryjer«¹⁾ — zaczęła krzyczeć i rzucać się. Nikt temu nie był winien, rozumie się, a Kecherges najmniej. O, poprostu, wczoraj zapomniano rzucić na ogień masła i tłuszczu, więc dusze zmarłego rodzeństwa panny młodej przysły się o to upomnieć. Chłopak jednakże siedział przygnębiony. Za każdym wykrzyknikiem żony boleśnie kurczyła się jego twarz, a sarnie wilgotne oczy

¹⁾ Menryjer — choroba nerwowa, bardzo rozpowszechniona między Jakutami; dotknięty nią, krzyczy, rzuca się niekiedy go-dzin kilka.

wyrażały tyle męczarni i błagania, że wreszcie Taras, ulitowawszy się, powiedział mu:

— Ty chłopcze, lepiej jedź sobie jutro do domu.

Rozkaz ten rozradował chłopca widocznie. Tego jeszcze wieczora obejrzał i przygotował do podróży cugle, siodła i rzemienie, a było tego wszystkiego niemało, miał bowiem odwieść Anię z powrotem do domu.

Nim świt błysnął, oboje konno dążyli na północ dróżką, wijącą się wśród lasu. Kecherges, któremu pilno było stąd się oddalić, wybrał drogę na przelaj przez stopy i bory, krótszą, choć mniej dogodną i mało uczęszczaną, ale omylił się w swojej rachubie.

Kto, z mających lat dwadzieścia kilka, nie zechciałby choć dzień, choć dwa dłużej zostać sam na sam, wśród milczących olbrzymich borów, z dziewczyną, mającą oczy tak figlarnie błyszczące, jak Ania, usta śmiejące się tak często i wdzięcznie, głos tak srebrzysty, jak dzwonek dźwięczący i budzący w sercu niespokojne echa; z dziewczyną tak mało przytem sprawiającą kłopotu?

Na noc sama sobie wygrzebała dół w śniegu, sama rozpałała ogień, dosiadła konia i złapała go na stepie. Kecherges prędko więc zapomniał, jak śpieszno było mu do domu, a coraz dłużej i częściej zaglądał w czarne błyszczące oczy towarzyszki. Ona zaś nie wstydziła się i nie bała tych pełnych zachwyty spojrzeń chłopaka: spotykała je śmiało, otwarcie, niekiedy z błyskiem namiętności w oczach lub wyczekująco spuszczała ku ziemi długie rzęsy, białe od osiadłego na nich szronu.

Dobrze im było we dwoje nocą u ogniska. Wiedzieli, że dokoła nie było nikogo prócz lasu, którego

gałęzie śniegiem obsypane wisiały nad ich głowami, purpurowe i zda się, wyrastające nie z pnia, lecz z ciemności. A jeśli przypadkiem Ania zanuciła piosnkę i cicha »tajga« obudzona nagle głosem dziewczyny zaśmiała się lub zapłakała tęsknotą, wówczas KecherGES zapominał o domu, o ojcu, o bożym świecie i zasłuchany siedział nieruchomie, póki dziewczyna nie zawołała:

— Ach, Pieńku! rozbieraj się, czas spać!

Dobrze im było przytulonym do siebie leżeć na miękkiej skórze niedźwiedziej i słuchać szczebiotu¹⁾, iskrzących się w górze gwiazd, lub ścigać wzrokiem przepływające po niebie fale zorzy północnej, tak lekkie, nieujęte, a cudne, jak cień, a tak barwne i zmienne, jak sama miłość!

Nie dziw więc, iż KecherGES ową krótszą drogą jechał dłużej, niż jechać trzebaby było najdłuższą i że zmuszony był napocząć ten kawał mięsa, który Taras ojcu jego posyłał w podarunku.

— Posiedź u mnie z kilka dni — mówiła chłopcu dziewczyna, przyjmując go w swoim domu. — Posiedzisz? — prosiła, zaglądając mu w oczy. — Czas brzydki, koń wypocznie!

KecherGES milczał i myślał o zjedzonym mięsie, ale zgodził się zostać, ponieważ rad był odwlec dzień sądu, jak można najdłużej.

Upłynął jeden dzień, upłynął drugi i trzeci. Chło-

¹⁾ W czasie silnych mrozów nocą słycać w tutejszych pustyniach dziwny, stłumiony szmer—Jakuci przypisują go gwiazdom.

piec ani myślał o odjeździe. Było mu tak dobrze, iż lepiej nie pragnął mieć w raj.

Po całych dniach leżał zadarłszy nogi i słuchał wyrzekań starej ślepej Matrony lub puszczał z dziećmi bąka, gdy mu się bezczynność sprzykrzyła. Wieczorem, zwiastowana krzykiem dziatwy i szczekaniem psów, zjawiała się Ania, cały dzień zwykle nieobecna. Dziewczyna nigdy nie wracała z pustemi rękami: niosła to kosz ryb, to dziesiątek kuropatw, to zająca — a najlepszy kąsek dawała zawsze Kechergesowi.

— Ach Pieńku, Pieńku!.. narąbałbyś choć drew na ogień — wołała niekiedy żartobliwie.

Kecherges skrobał się w głowę, odpowiadając niewyraźnym mručeniem, lecz czas spędzał po staremu, leżąc na ławie w oczekiwaniu wieczora i powrotu Ani. Dziewczyna przynosiła z sobą wesołość, żarty i piosenki, a kiedy wszyscy spać się pokładli — całusy i pieszczoty w cieniu rozwieszonych pękami sieci, na posłaniu z miękkich skór reniferowych. Niekiedy było im duszno w ciasnej izdebce, wówczas w otoczeniu hałaśliwej zgrai dziatwy wybiegali na zewnątrz — w pole, do lasu.

— A utop się, utop, Pieńku! — wołała dziewczyna, wepchnąwszy Kechergesa w zaspę śniegu — już cię wtedy napewno tatulo wysmaga.

Chłopak zrywał się i puszczał się w pogoń za nią; dziewczyna chyża i zwinna, dobrze go zmęczyła, zanim pozwoliła się schwytać i ucałować w usta wilgotne i gorące.

Życie płynęło jak sen, ale i na jasnym jego niebie Pan Bóg pozwolił się ukazać chmurce. Pomimo wszyst-

kich, prawie wymarzonych warunków szczęścia, troska nie była obcą sercu chłopaka.

Pod wpływem tej troski zrobił pewnego dnia daleką wycieczkę na sąsiednią łąkę, gdzie paść się jego koń. Wierzchowiec nie poznał pana, a gdy Jakut próbował go złapać, zadął ogona i znikł w głębi pola.

— E, tatulo pewnie wysmaga!... — rzekł, patrząc za nim i drapiąc się w głowę.

Wieczorem zwierzył się Ani ze swoich obaw. Dziewczyna jednak zamiast współczucia, okazała tyle gniewu, iż umilkł zmieszany.

— Jedź! jedź!... — krzyknęła — niech cię tam powiozą do miasta... A bądź pewny, że tym razem nie koronę, ale beczkę wsadzą ci na głowę!

Mierzyła go badawczem, niespokojnem spojrzeniem.

Kecherges długo nie ośmielił się wszczynać tej kwestyi.

Chmurka tymczasem istniała i wciąż rosła.

— Że do miasta powieść mogą to mogą — odezwał się raz wreszcie, przerywając zwykle przy wieszczerzy milczenie — lecz żeby mi beczkę na głowę kłaść mieli, to pewnie łzesz... — dodał, spoglądając na kochankę z ukosa.

Dziewczę pobladło.

— Ty chcesz jechać!... — wyjąkała.

Kecherges nic nie odpowiedział, lecz na drugi dzień zabrał się do szukania uzdeczki; szukał jej i na trzeci i na czwarty dzień, szukał sam i z pomocą Ani — daremnie! Uderzony nagłą myślą wybiegł wreszcie raz za oddalającą się dziewczyną.

— Ania! oddaj uzdeczkę natychmiast!

Dziewczyna siedziała już na sankach, krzyknęła na psy, a rozumne, posłuszne zwierzęta uniosły ją z szybkością wiatru. Kechergesowi zdawało się, że obejrzała się, pokazując mu figę; przestał więc mówić o odjeździe. Ale pewnego ranka porzuciwszy śpiącą na łożu dziewczynę, wśliznął się do spiżarni i zabrał schowaną tam uzdę. Gdy jednak po odjeździe Ani zajrzał do czapki, gdzie zgubę schował, znalazł tam zamiast uzdy, garść łuski rybiej. Oburzenie jego nie miało granic.

Chciał jechać zaraz, natychmiast, w nocy jeszcze.

Ania musiała długo prosić, zaglądać w oczy i obejmować go rękami, nim zgodził się zostać jeszcze dzień jeden.

— Jedź, jedź! — mówiła dziewczyna, tłumiąc żal. — Ja wiem, że ty już nie wrócisz!...

Chłopiec zmiękł i został jeden dzień, potem drugi i trzeci, i ani się spostrzegł jak minął dni cały dziesiętek. Wreszcie doleciały ich wieści, że poszukują zaginionego bez śladu chłopca lat dwudziestu trzech, wysokiego, barczystego, członka gminy Kangatas, rodu Esie, zwanego zazwyczaj Kechergesem.

Gdyby piorun padł u nóg psotników, nie przeraziłby ich więcej. Kecherges spojrzął z wyrzutem na Anię; dziewczyna posmutniała. Nie zatrzymywała go już. Chłopak nadał się, osowiał, ale z miejsca nie ruszał. Uciekła mu ostatnia deska ratunku — możliwość skłamania, że siedział u Tarasa. Milczał więc i lękliwie spoglądał na drzwi, wstrzymując oddech, ile razy dał się słyszeć za nimi jaki szmer niezwykły.

Jednego dnia wieczorem, kiedy siedzieli, gawędząc,

drzwi rozwarły się niezwykle szeroko i ukazały się w nich postacie kilku przybyszów.

Kecherges zerwał się i stanął jak wryty.

— Tatulu! to ona!... — krzyknął rozpaczliwie. —
Ona schowała mi uzdeczkę.

Ania wysunęła się naprzód.

— No, no, dobrze! Niechno ja się rozgrzeję!... —
odrzekł krępy, szpakowaty Jakut i rozwiązawszy rze-
mienie podróżnego odzienia, grzał ręce i piersi u ognia.

— I jak ci nie wstyd?... — mówił Taras do Ani. —
Gdyby żył twój ojciec, onby ci...

— Suka, suka! — popędliwie krzyknął ojciec Ke-
chergesa.

Dziewczyna pobladła i wyprostowała się.

— Nie łajcie! — rzekła z dumą. — Nie karmicie
wy mnie i nie odziewacie... Nie panowie wy mnie i nie
książęta... a coby mój ojciec zrobił — darmo o tem
gadać. Ty, Taras, chociaż mój krewny i stary, czego
chcesz ode mnie? Com ja złego zrobiła? Toć on nie
malańki... Choć wy bogaci, ja się was nie boję.

— My popu powiemy, co ty wyrabiasz, on cię
nauczy!

— Powiedziecie! — odparła ciszej nieco dziewczyna
i z pogardą spojrziała na mówiących. — A ty Keche-
ges... — zwróciła się do chłopaka, lecz nagle zdziwiona
umilkła. Nie było go nigdzie.

Za kominem tylko zatrzeszczały drwa, drzwi stu-
knęły i ktoś niezgrabnie wyskoczył na dwór.

— Łapaj!... — krzyknęli przybysze i rzucili się za
zbiegiem.

Taras zabrał rząd na konia i odzież Kechergesa.

Ania, spuściwszy głowę, stała chwilę u ognia, przysłuchując się dolatującemu za drzwiami wołaniu. Gdy wreszcie wszystko ucichło i rozległ się tętent oddalających się kopyt końskich, krzyknęła z rozpaczą, załamując ręce:

— Matulu, zabrali »Pieńka!« zabrali!

Bajagantajski ułus,
18 września 1885 r.

CHAJŁACH

—

Tak krajowcy nazywają deportowanych, jest to przezwisko
obraźliwe, znaczące to samo co »złoczyńca«.

Zbliżało się lato, nastaly ciepła i futrzana bermyca Chabdżija ¹⁾ już nie była potrzebną. Jego żona Kemes, z kawałków sukna, które przypadkiem zabłąkały się do jej pudełka, uszyła mu czapkę. Chabdżij, jak żyje, nie nosił czapki; w czasie upałów czoło zazwyczaj obwiązywał chustką, nie dziw więc, iż poczuwszy europejskie nakrycie na swojej okrągłej, gładko wystrzyżonej głowie, długo przeglądał się w kawałku rozbitego lusterka, robiąc odpowiednie do tego stroju miny.

— Prawdziwy ruski! — wyrzekł wreszcie z powagą, zwracając się do stojącej obok żony, a jego bronzowa, płaska twarz rozjaśniła się szczerym, dobrodusznym uśmiechem.

— Idź już... idź... — wołała Keremes, zlekka uderzając go dłonią po szerokim grzbiecie, za co »prawdziwy ruski« schwycił ją wpół, a powąchawszy naprzód po jakucku jej policzek, pocałował, następnie po rosyjsku w usta: przyczem oboje roześmiali się na całe gardło.

¹⁾ Chabdżij — kuropatwa — przezwisko.

— Adtoffer!¹⁾ Kiedyż ty nakoniec pójdziesz?! — broniła się zalotnie kobieta, popychając męża ku drzwiom.

Chabdzij westchnął, spoważniał nagle, schwycił przygotowane już rękawice i włosianą »machalkę« dla odpędzania komarów, zrobił niedbale trzy razy znak krzyża i ruszył ku wyjściu.

— A nie siedź długo! Jeżeli zastaniesz księcia, to przynieś podarunek! — poprosiła Keremes, odprowadzając go do wrót.

Chabdzij kiwnął głową.

Długo jeszcze stała na dworze, patrząc za oddalającym się mężem, a gdy wreszcie znikł na zakręcie drożyny, westchnęła i, zanuciwszy z cicha piosenkę, zwolna powróciła do jurty. Nie lubiła ona być samą. Cisza pustego domu zdawała się jej nieznośną; — posmutniała więc i zamilkła, niedbale zbierając rozrzucone po ławie gałganki, nitki i inne drobnostki.

Jakże tęskni! Dałby już Bóg prędzej dziecko! Jak ona będzie je pieścić i kochać, pocałunkami okrywać. A jeżeli umrę... błysnęło jej nagle w głowie; tak wiele kobiet umiera przy pojawieniu się tych małych gości z innego świetlanego świata, którego choć dusza nie pamięta, ale wiecznie za nim tęskni!²⁾ Ależ to grzech! Po cóż tęsknić? Czyż jej tu nie dobrze, nie wesoło?... Szczególniej latem, kiedy jest co jeść, kiedy dokoła ciepło i jasno.

Spojrzała w otwarte drzwi, przez które uśmiechała się do niej zalana słońcem okolica.

¹⁾ Adtoffer — przekleństwo.

²⁾ Podanie jakuckie.

· Czyż nie piękne te chmury, to blado-błękitne niebo rodzinne, ta tajga czarna, posępna, a tak miła, tak znana?... Jakże upajająco pachną rozkwitłe lasy modrzewiu! Nie! piękna jest ziemia jakucka, ich ziemia; a choć mówią, że tam na południu są piękniejsze, to pewnie kłamią, bo dlaczegożby tu do nich przyjeżdżali?

Przez uchylone drzwi zajrzały do wnętrza izby rozdęte, wilgotne nozdrza, a za nimi ukazał się czarny, kosmaty, z białą łysiną po środku łeb krowy, za którym widać było jeszcze kilka innych łbów białych, pstrych, wyciągających się ku jurcie, bodących się rogami i przeraźliwie ryczących. Stado z łąk wracało. Uwiązane za kominem cielęta, poczuwszy matki, zaczęły brykać i beczeć w sposób nieopisany.

— He! — krzyknęła Keremes, odpędzając krowy ode drzwi i wyszła ze skopkiem w rękę. Bydła było nie wiele: wszystkiego pięć krów dojnych, czarny duży wół, przedstawiający wraz z siwym koniem jedyną siłę roboczą ich gospodarstwa, cztery jałówki, dwa byczki »łóńczaki«, para cieląt — ot i wszystko. Lecz cielęta często tu zdychają, Bóg więc wie, czy się chować je opłaci. A tu z gospodarstwa trzeba zebrać na zapłacenie podatków i powinności, na sprawienie odzieży i pożywienia podczas lata, na zakupienie naczyń, herbaty i wielu innych rzeczy, bez których obejść się nie można, a które co rok niszczą się i psują, trzeba jeszcze odłożyć na zimę, kiedy krowy nie dają mleka. Zresztą, ona skarżyć się nie może. Bóg jej dał pracowitego męża, łowcę i majstra do wszystkiego, tylko, że... tu uśmiechnęła się filuternie, puściła cielę do ostatniej wydojonej krowy, schwyciła wiadro z mlekiem i poszła do mle-

czarni — niskiej piwnicy, gdzie rzędem stały na ziemi brązowe »czybyczahy«¹⁾, pełne nabiału. Ze starych zebrała śmietankę, w nowe naląła świeżo nadojonego mleka, z innych znowu wylała zawartość do miedzianego kotła, w którym zazwyczaj przygotowywała »sorat«²⁾, powszedni pokarm Jakutów. Chabdzij upewniał, iż go przyrządzała najsmaczniej w całej okolicy; nie przeczyli temu odwiedzający sąsiedzi, gdyż mieli wówczas najczęściej usta zapełnione owym białym, śmietanką polanym przysmakiem, którego, nie szczędząc, obficie dostarczała im Keremes.

Nie Keremes, ale Eumenia! — przypomniła sobie, uwijając się około ognia gosposia. — »Eumenia Ślep-cowa!« Tak poprawił ją pop, gdy przed ślubem powiedział mu swoje imię, to imię, którem zwała ją matka, sąsiedzi, narzeczony... Eumenia!... Eumenia!... Keremes!... Keremes znaczy »srebrzysty lis«, zwierzątko, którego futro bardzo jest drogie, a takie miękkie i jedwabiste, jak jej warkocze, za które to ją pewnie tak przewali, gdyż były one gęstsze i dłuższe, niż się to zazwyczaj zdarza u Jakutek. Keremes daleko piękniejsze imię niż Eumenia. Ona je rozumie. Wie, jak się Chabdzij cieszy, gdy przyniesie z tajgi takiego lisa, a handlarze futra chwala go za to i poją herbatą. A Eumenia!... Cóż to znaczy? Mówią jej, że ona dzika, gdy nie pamięta swego imienia! Na co jej ono. Wiedzieć je obowiązany jest pop i pisarz gminny, którym przecież za to, a nie za co innego płacą Jakuci pieniądze. Tak, ona dzika i nie

¹⁾ Okrągłe, płaskie naczynie, uszyte z kory brzozonej.

²⁾ Sorat — kwaszone gotowane mleko — twaróg.

uczona! A czyż pomimo to wszyscy jej nie lubią, czyż jej nie pieściła matka, nie kochał ojciec, czy Chabdżij powiedział jej choć jedno przykre słowo kiedykolwiek... Niech tam sobie!... Ale co to »jego« nie widać tak długo. Już się zmierzcha! Przecież wie, że ona boi się sama. Co go mogło zatrzymać u księcia?...

Noc zapadła. — Na północy krwawy pasek zorzy zrobił się już tak wązkim i bladym, jakim pozostać miał do jutrzejszego świtu. Ciemniejące stopniowo ku południowi niebo już się ubrało paru lekliwie błyskającymi gwiazdami; przestały świstać na błotach kuliki, para dzikich kaczek, szumiąc skrzydłami, przeleciała i zapadła na pobliskiem jeziorze; — zarośla, łąki, rzeka i bory powlekły się przejrzystą zasłoną letniej nocy biegunowej, a w »tajdzie«, zamajaczyły widziadła. Keremes przymknęła drzwi. Daremnie! Prześladowały ją duchy, stukając w ściany jurty, straszyły dziwnymi głosami, majaczyły w ciemnych kątach izby. Serce jej biło, oczu nie śmiała podnieść do góry. Daremnie próbowała zapomnieć, chyląc się nad robotą u ognia i szyjąc odzież męzowską.

— Kiedyż on przyjdzie nareszcie! Nie! nigdy już nie zgodzi się pozostać samą; koniecznie uprosi Chabdżija, żeby wziął kogokolwiek do chaty, jaką babę starą, jakiego dziada ślepego, niedołęgę, o którego w żadnym już razie nie będzie mógł być zazdrosnym! Byle tylko nie być samej, nie cierpieć...

Nagle u wrót zagrody dały się słyszeć kroki i głos jej męża. Zerwała się, ażeby wybiedz na jego spotkanie, lecz nagle stanęła w połowie drogi, wstrzymana tajemną myślą... Dyabli są niekiedy nieskończenie prze-

biegli!... — Schwyciła więc tlejącą głownię i w chwili ukazania się przybywających we drzwiach, cisnęła ją pod próg. Było ich dwóch; — dojrzała ich wśród kłębow dymu, który buchnął ku górze, a jednym z nich był jej mąż.

— Cóżes ty tak się wylekła? — zapytał, badawczo ogarniając ją wzrokiem.

Zawstydzona Keremes w milczeniu podniosła z ziemi głownię. Drugi był to jakiś cudzoziemiec, wysoki, rudobrody, białolicy, zapewne »nucza«¹⁾. Przyniósł z sobą jakieś węzélki i worki, a gdy je zaczął układać w kącie na ławie, Keremes domyśliła się, że to pewnie ów chałlach, którego tylko co przywieziono do ich miejscowości. Cóż to znaczy? Dotychczas nie zmuszano ich karmić żadnego z tych przybyszów! Pytająco spojrzała na Chabdżija, który był zły i blady. Przybysz rozbierał, porządkował, układał swoje manatki, wreszcie usiadł i zapalił krótką miedzianą fajeczkę.

— Gotuj wieszczę! — rzekł żonie Chabdżij i przysiadł się do gościa.

— Oto mój dom! moja siedziba! — rzekł, wyciągając przed siebie rękę. — Prawda, kiepska! Nie wiem, czy ci tu będzie dobrze! Podczas deszczu leje się na głowę, a w zimie zimno; — lecz ja ostrzegałem, że jestem biednym człowiekiem. Sam mówiłeś, że chcesz mieszkać w jednym miejscu! I prawda: takiemu porządnemu jak ty panu nie wypada włóczyć się z jurty do jurty. Ale sam pomyśl tylko, czy ci będzie u nas dobrze? Tyś powinien mieć dom biały, porządny — tyś

¹⁾ »Nucza« — wogóle Słowianin, człowiek biały z południa.

»nucza«; tobie trzeba jeść mięso i chleb, mieć pod nogami podłogę, na stole talerze i srebrne łyżki, a u nas niema żadnej z tych rzeczy; dom, sam widzisz, kiepski... bydła mamy mało, jesteśmy biedni! Damy, co mamy, lecz pokarm nasz nie wybredny: wciąż »sorat« i »sorat«. Dziki Jakut, sam wiesz, zje wszystko.

— A czy gmina nie ci nie płaci za moje utrzymanie? — spytał nagle milczący dotychczas przybysz.

— Ależ nie! U nas tu inne zwyczaje, u nas »nucza« wożą z jurty do jurty, gdzie oni żyją po dni kilka; lecz ty sam mówisz, że jeździć nie będziesz, że ci to dokuczyło, że chcesz żyć na jednym miejscu. Dobrze! Doskonale! Otóż ja tobie poradzę, poradzę jak przyjacielowi, ponieważ ciebie kocham! Ja w ogóle kocham »nucza«. Dzielny lud, piękny lud, bogaty lud, rozumny lud! Otóż nie mieszkać ty u mnie! Idź jutro na zebranie i powiedz »panom książętom«, że mieszkać u mnie nie chcesz, że jestem biedny, że nie mam nic, że dom mój niewygodny i brudny... powiedz im, a oni znajdą ci piękne mieszkanie, gdzie będziesz mógł siedzieć ciągle. Czy nie tak? Pomyśl sam! W naszej ziemi chleb nie rośnie, wszystko u nas idzie z bydła i odzień i pokarm i pieniądze. Bogaci mają wiele krów, wiele kobył, mają więc wiele śmietanki, wiele masła, mięsa.. mają ciepłe odzienie, mają domy... Dlaczego ty nie chcesz mieszkać u bogatych?...

— Ależ chcę!... — krzyknął przybysz — lecz gmina tu naznaczyła mi mieszkanie!

— U bogatych — ciągnął nie zważając na wykrzyknik słuchacza Chabdzij — byłoby ci dobrze, byłbyś syty, mieszkałbyś czysto! Idź więc jutro lub poj

trze na zebranie i powiedz: ja nie chcę mieszkać u niego, on biedny, źle je i źle żywi, dom brudny i woda cieknie z dachu... o! zobaczysz jak woda u mnie cieknie z dachu, kiedy deszcze padać zaczą... — Pójdiesz? co? — pytał natrętnie.

— Nie zawracaj mi głowy, stary ja wróbel! — odrzekł w cudzoziemskim języku przybysz i odwrócił głowę.

— Nie! więc zawsze będziesz siedział u mnie! — z hamowaną rozpaczą i wściekłością zawołał Jakut.

— Nie wiem! Obecnie lato! obecnie wszędzie dobrze, a później zobaczymy!

Chabdżij pomyślał chwilę, splunął w bok, wstał i podszedł do ognia.

— Co ty grzebiesz się! — krzyknął gniewnie na żonę — dawaj wieczerzę!

Dusił się z gniewu.

— Drewniany pień! — mruknął, wpatrując się w zielonawe, lodowato-spokojne, w ogień wlepione oczy chajłacha, w jego twarz szeroką, na której leżało, choć uśpione, piętno czegoś groźnego i niepohamowanego. — Rozbójnik! Lodowate oczy! — złościł się Jakut. Cała jego wymowa, którą się tak szczycił i którą sobie wyrobił, służąc trzy lata jako dziesiętnik w swej gminie, nie wywarła najmniejszego wrażenia. — Zjadł go czort!

Lecz głośno Chabdżij nie rzekł ani słowa; spluwał tylko gniewnie. Wieczerzę przybyszowi postawiono oddzielnie, lecz on sam zawołał gospodarzy do siebie i dał im nawet do herbaty po garści sucharów, zaoszczędzonych resztek swego więziennego pokarmu.

— A przecież on dobry! — głośno, niby do żony,

rzekł Jakut z chytrym, ledwie dostrzegalnym uśmiechem. Keremes, milcząca, ostrożnie jak cień, suwała się po izbie, za każdym razem obchodząc dokoła kominek, by ani na chwilę nie zasłonić ognia oczom rozgniewanych mężczyzn. Zauważyła jednak parę razy skierowany na siebie niemiły wzrok Chajłacha; Chajłach spostrzegł także, że i ona choć ostrożnie, ale wciąż mu się przypatruje, poprawił więc wąsa i pogładził gęstą czuprynę.

Keremes jeszcze dotąd nigdy nie widziała Słowianina, z wyjątkiem popa i pisarza gminnego, którzy tutaj urodzeni, twarzą zupełnie byli podobni do Jakutów; ten chajłach był więc pierwszym człowiekiem z południa, z jakim zdarzyło jej się spotkać.

— Oj! jaki duży!... A na pysku rosną włosy jak u psa! — ze wstrętem zauważyła do męża, kładąc się spać.

— A czy na długo?

— Na miesiąc!

— Boże mój! tak długo!

— Cóż ja zrobię? — markotnie odrzekł Chabdżij, — rozkazali!... — i przewróciwszy się na drugi bok, zasnął. Długo nie mogła zmrużyć oka Keremes. Wciąż majaczyła się jej postać Chajłacha taka, jaką ujrzała raz pierwszy w kłębach dymu i iskier; wciąż czuła utkwione w siebie wielkie, świecące, cudzoziemskie oczy koloru nieba; zasypiając, widziała bladą, szeroką jego twarz, chylącą się ku niej... włosy jego wstrętnej brody, trącając jej pierś i lica, budziły ją ze snu. Słyszała wiele gawęd o tych »nucza«. Podania jej ojczyzny opowiadały okropności o ich okrucieństwach, a w bajce imię

ich stało się synonimem złego — drżała więc. Spotniała, wylękała, zrywała się z posłania za każdym poruszeniem rzucającego się niespokojnie na łożu chałtacha, a gdy nagle w ciemnościach rozległ się jego gruby głos, wymawiający niezrozumiałe wyrazy, kopnęła męża nogą budząc go:

— W przerebel... Wiem... nic z tego... lepiej... ja was... morderstwo... ja chcę żyć... Matko Przenajświętsza... a za co??...

Głos ucichł, przeszedłszy w niewyraźne mruczenie. Czas jakiś małżonkowie, przytuleni do siebie, z trwogą wpatrywali się w ciemną głębię izby, lecz dzikie wołania już się nie powtórzyły; położyli się więc. — Keremes płakała.

— Nie płacz! — pocieszał ją Chabdżij — miesiąc tylko... jakkolwiek przetrwamy... Bóg da!

* * *

— Nucza... nucza... Wstawaj pić herbatę! Śniadanie gotowe!... — budził Chabdżij na drugi dzień swego gościa... Chałtach zerwał się, przetarł oczy: na kominie wesoło płonął ogień, buchały parą stojące czajniki i kotły; po środku izby kręciła się, zamiatając ją Keremes. Przybysz pośpieszył odziać się; Chabdżij podał mu wody i ustąpił miejsca u ognia.

— Jacy to u was na południu wszystko ludzie biali, rośli i otyli, a piękni... — zauważył Jakut, wpatrując się z podziwem w tęgą postać Chałtacha. — Nie to, co my! A dlaczego? Dlaczego u was rośnie chleb? Dlaczego wy jesteście panowie, a my Jakuci?

Chajłach milczał, zajęty rozczesywaniem brody, wreszcie wytarł grzebyk, zawinął go w papierek i chował do kieszeni, poczem zrobił kilka głębokich, namaszczonych pokłonów przed stojącymi na półce w rogu izby obrazami i usiadł przy stole. W sutej, wypuszczonej na zewnątrz czerwonej koszuli, umyty, uczesany, wyglądał wcale przyzwoicie. Prawda, jego spodnie były nieco zniszczone i wytarte, lecz w każdym razie nie były skórzane, ale manszestrowe; u jego sukiennej kamizelki brakowało paru guzików, lecz z pozostałych dwa były znacznie większe od swoich sąsiadów, metalowe i z orłami; w dodatku kiwnięciem głowy podającej mu filiżankę herbaty Keremes (czem rozśmieszył bardzo Chabdzija) zdradził dobre wychowanie... Poważnie a łaskawie, gdyż, jak się wyraził, postanowił żyć z niemi »po ludzku«, wypił jedną, drugą i trzecią filiżankę herbaty i dopiero w odpowiedzi na pytanie Jakuta, zaczął rozwodzić się w sposób głęboki i ciemny. Ponieważ chciał być wymownym i zbyt wiele użył przekleństw, gestów, oraz tajemniczych terminów galer i zbrodni, Keremes myślała, że wymyśla jej za przydymione nieco mleko, a Chabdzij zrozumiał tylko: wiele chleba, wiele słońca, wiele powietrza!!...

— Od słońca więc rosną... jak siano... — objaśnił żonę. O użyciu chleba miał bardzo małe pojęcie; wiedział, że go ludzie jedzą, lecz wątpił, ażeby mogli od niego tyć.

— A jak nazywać ciebie? — spytał Jakut gościa nieśmiało:

— Kostia Chruszczow!

— Kostia Kru... kru... — próbował wymówić Chab

dziej, lecz się zakrztusił — jakie wielkie imię! My już lepiej będziem nazywać cię wprost: »nucza! nasz nucza...« — Czy dobrze?

Kostia uśmiechnął się pogardliwie. — A niech sobie nazywa, jak chce! Czy on myśli, że Chruszczow to jego prawdziwe nazwisko? Prostak! To tylko tak... dla policyi; a jego nazwisko?... O, jego nazwisko! — dodał znacząco — za jego nazwisko napewno daliby mu sto pałek i powiesili, lub, co najmniej, przykuli do tacek.

— O, tak! prawda! Wszystko jedno, jak zwać... Ty dla nas będziesz: »nucza«, nasz »nucza«, przyjaciel... Czyż obecnie nie należysz do naszej gminy!... Nasz więc jesteś, nasz człowiek... Bądźmy przyjaciółmi... Tyś dobry! Wszak prawda?... — łasił się Jakut.

Kostia rozwalony na ławie, wsparty na łokciu lewej ręki, patrzył leniwie przed siebie; jego gruba, ubrana w czarną jakucką sarę, prawa noga, zarzucona na zgięte kolano lewej, kiwała się przyjaźnie. Prawda, czuł się dobrym, ponieważ był sytym, lecz nie miał ochoty rozprawiać. Chabdzij więc po bezskutecznych kilkakrotnych zaczepkach, wziął wreszcie siekiere i poszedł do roboty; Keremes też się gdzieś podziała, Kostia został sam.

W zakrytej zewnątrz jurcie było cicho i ciemno; piękny dzień słoneczny, otaczający ją na zewnątrz, pękami swych złotych promieni przedzierał się jednak i do jej środka przez mnogie otwory ścian, szczeliny złe domkniętych drzwi, dziury i pęknięcia rozciągniętego w oknach pęcherza, pstrząc jasnymi krążkami i paskami glinianą podłogę izby, igrając na rozstawionych dokoła sprzętach i zaglądając w bezmyślnie wytrzeszczone oczy chajtacha.

Kostia ziewnął, wytrząsnął popiół z zagasłej fajki, schwycił czapkę i wyszedł z domu.

Szedł bez celu, zaglądał wszędzie ciekawie, a niby od niechcienia rozpatrywał wszystko. Był w lesie, był nad jeziorem, był na łące, gdzie pasło się stado i wkrótce wiedział prawie tyle, co i gospodarz, wiedział, wiele ma krów, co u niego leży w spiżarni i jak ją zamyka, gdzie stawia sieci i sidła, gdzie rąbie drzewo...

Włócząc się po okolicy, Kostia wyszedł wreszcie nad brzeg rzeki i przysiadł, ażeby odpocząć. Tu było nieco weselej, niż w głębi posępnej, wiecznie milczącej i nieruchomej tajgi z jej obszernymi jednostajnymi łąkami, z jej czarnymi śpiącymi wśród błot jeziorami. Tu było życie.

Wstęga rzeki, marszcząc się zlekka, dążyła pośpiesznie, skwapliwie, gdzieś w nieznaną dal, jej fale z szelestem szarpały urwiste brzegi. Biała czajka, wylatując nagle z poza lasów, z poza sinych gór, zawisła z krzykiem nad jej powierzchnią. Z głębi wód, błysnąwszy srebrną łuską, z pluskiem wyrzuciła się ryba. Siedząc na urwisku, oblany promieniami słońca, mając przed sobą wdzięczne, błękitne górzyste dale, Kostia zadumał się, posmutniał i zanucił nagle:

- »Jak w kopalniach urząd dostał,
- »Jak lud wieszał, gnębił, chłostał,
- »Morzył głodem, w szachtach tracił,
- »Ale skarbu nie zhogacił
- »Rozgildiajew syn...«

.....
.....

Gdy okoliczne echa powtórzyły ostatnie słowa tej więziennej, długiej a bolesnej piosenki, powtórzyły i zamarty, śpiewak westchnął głęboko i rzucił się nawznak w gęstą, pożółkłą trawę, której kępy osłonione przed wiatrami pnem zwalonym, szumiały wysokie i niepołamane.

Wisiały nad nim w górze blado-błękitne, nieskończenie głębokie niebiosa i zwolna płynęła po nich para puszystych białych chmur — bliźniąt. Śledził za nimi wzrokiem, dopóki nie znikły za krawędzią zwieszających się nad jego czołem kłosów. Niczem niezmacona cisza zapanowała na wybrzeżu. Wystraszone śpiewem człowieka czajki i ptaszęta uciekły, ryby przestały się bawić i odpłynęły na głębię, tylko rzeka szemrała, biegnąc wciąż, lub plusnęła nagle, wałąc się, podmyty jej brzeg. Kostia zamknął oczy i wkrótce usnął.

Spał długo. Obudziły go krzyki i chrzęst łamanych zarośli. Otworzył oczy, drżąc z zimna. Niebo wiszące nad nim było już inne, ciemniejsze i bliższe; tu i owdzie słabo migotały zrzadka porozrzucane na niem gwiazdy; na północy nad lasem paliła się zorza. Był więc wieczór, czy też poranek? Wilgotny od rosy i przejęty jeszcze przyjemnym dreszczem przebudzenia Kostia, nie ruszając się, skierował oczy ku temu miejscu, skąd go dobiegło wołanie.

Tuż nad jego głową, na zwalonym pniu stała Keremes; — wysunawszy nieco naprzód jedną nogę, odziana w czarne, drobne, zalotne »sary«¹⁾, stała niebale, a wdzię-

¹⁾ Miękkie obuwie z wyrobionej skóry bydłcej, z ostrym nieco żądatym końcem i drobnymi fałdami na podbiciu.

cznie, przegiąwszy w tył giętki stan i odrzuciwszy młode ramiona. Bieg czy też wzruszenie umalowało lekkim rumieńcem jej okrągłe policzki, przez świeże rozwarte usta połyskiwał rząd zębów perłowych, a z pod narzuconej na głowę jasnej chusty wymykały się sploty ciemnych włosów i duży, srebrny kolczyk, którego biały blask mocniej jeszcze uwydatniał brązowy kolor jej, zalanego obecnie purpurą zorzy, oblicza. Jedną ręką przytrzymywała gałązki chylącego się ku niej krzewu, a w drugiej, opuszczonej ku ziemi, ścisnęła zieloną łożę; wzrok jej czarnych jak noc, długimi rzęsami, ocienionych oczu, szukał czegoś pośród zarośli. Nie widziała leżącego u jej nóg mężczyzny i jego spojrzenie mogło z zupełną swobodą korzystać z krótkości i prostoty jej ubrania, ubrania dzikiej; — a była młoda i kształtna.

— Postuchajno! — wyrzekł nagle Kostia, podnosząc się i chwytając ją za rąbek koszuli, lecz kobieta, spostrzegłszy go, krzyknęła, szarpnęła się i znikła w zaroślach. Czas jakiś słychać było, jak szybko przedzierała się przez gąszcz, łamiąc gałęzie i pędząc przed sobą zbląkane krowy. Kostia próbował rozgniewać się; wołał, by wróciła, kłął, groził, lecz w końcu roześmiał się, zerwał na równe nogi, strzepnął zielsko z ubrania i z głowy i powoli poszedł ku domowi.

— Gdzieżeś ty, nucza, przepadł? — zagadnął, ujrzawszy go, Chabdżij. — My tu ciebie już dawno czekamy z wieczszą!

— Przepadł? on? On zupełnie nie przepadł, zblądził tylko i ledwie znalazł drogę! — odrzekł Kostia, zadowolnie zaglądając w zarumienioną twarz Keremes. — I zaczął pleść smalone duby o tem, gdzie był i co wi-

dział. A łąał tak zabawnie, że Keremes mimowolnie rozeźmiała się. Ze zdziwieniem patrzył nań Chabdżij, lecz widząc, że »nucza« jest w dobrym humorze, przysiadł się bliżej i zaczął:

— Nucza! nucza! Posłuchaj! Kamień milczy, lód milczy, pień milczy. Jeśli człowiek siedzi, jak zamarzły i milczy, jak pień, serce jego robi się ciężkie. Ptaki mają język i krzyczą, zwierzęta też krzyczą, nawet woda krzyczy, kiedy płynie, i wiatr, kiedy wieje... człowiek ma język, a więc powinien krzyczeć! Ty »nucza«, masz duży język, mądry język, ciebie warto posłuchać, warto zrozumieć, lecz ty nie uwierzysz, jaki ja jestem głupi, taki jestem głupi... że nic nie mogę zrozumieć. Jeśli nie wierzysz, spytaj kogo chcesz, a wszyscy ci to powiedzą!... Tobie, »nucza«, dodał, chyląc się ku niemu i niżając głos... dobrze byłoby mieszkać, gdzieby cię rozumieli, u bogatych, rozumnych, u takich, co umieją mówić po twojemu... bo ty masz język zamarzły, a ja nie mam uszów; ja mam język zamarzły, a ty nie masz uszów; pomyśl: wiele to pięknych i rozumnych rzeczy przepada... Ja tobie poradzę, poradzę jak przyjacielowi, gdyż ciebie kocham: ot jutro lub pojutrze idź do księcia, zwołaj zebranie i powiedz mu: »on jest głupi, nie rozumie; on jest nieuczony i dziki, nie chcę mieszkać u niego!« Dobrze?... Czy pójdziesz?... W dodatku jadło...

Kostia parsknął śmiechem. Rozgniewany Chabdżij odsunął się... Podano wieczerzę.

— Rzuć ty te głupstwa, a będziem żyć jak »ludzie«, — rzekł Kostia, biorąc za łyżkę. Ty nie wiesz jeszcze, jaki ja jestem wesoły... Do wszystkiego... co się nazywa, i do tańca, i do śpiewu, do kart... W kopal-

niach wszyscy mię lubili... O! jak tam wesoło! Pić pewnie i ty lubisz! Tam dużo wódki. A co za figle, co za śpiewy. Chcesz — zanucę ci jeden? Najpiękniejszy! — i zapomniawszy o pełnej łyżce, którą trzymał w ręku, zanucił:

• Znów Łańców ucieczkę zamierzył
Zabrział dzwonek wołając do cel•

.

— Cóż ty durniu! Nie słuchasz? — krzyknął na Chabdżija, widząc, że Jakut wstaje od stołu. Ja z nimi, jak z ludźmi, a on!!

Zapanowała chwila głębokiego, przykrego milczenia.

— No, no! Nie bójcie się! — rzekł opamiętawszy się nieco Kostia. — Ja jestem dobry... doprawdy dobry! — i zaczął pośpiesznie a w milczeniu przebierać swoje manatki... — Ot, na! Weź! Ja jestem dobry, tylko zapomniałem, że wy nie możecie mię rozumieć!... choć zawsze nuta... nuta piękna... Weźże! i tkał w ręce Keremes listek tytoniu. Lecz ta odsuwała się, podnosząc ręce do góry, jak gdyby bała się dotknąć podarunku. Oczy jej poglądały pytająco na męża.

— Czemu nie bierzesz? Ja przecie za to niczego od ciebie nie żądam! — dodał Kostia, mrużąc oczy.

— Weź! — rozkazał Chabdżij, chmurniejac ostatecznie. Siadł plecami do ognia i począł się grzać, spluwając często przez zęby. Keremes zasunęła się w cień. Na kobiecej połowie izby, niekiedy tylko niejasno migła jej biała koszula i stukał cicho nóż, którym krajała tytoń. Kostia też przycichł i siedząc na ławie, długo z pod okna przypatrywał się obojgu; wreszcie szyderski uśmiech wykrzywił mu twarz, odwrócił się i splunął.

Cicho, jednostajnie płynęły dni mieszkańcom jur Chabdżija. Co rano, zaraz po śniadaniu, gospodarz białą siekierę i szedł na podwórze ciosać belki na nową ścianę żarnię, którą zamierzył wybudować tuż obok domu. Kereses brała robotę i natychmiast wychodziła za niego, a usiadłszy gdziekolwiek w cieniu, szyła. Kostia pozostawał sam, wiecznie sam. Przez jakiś czas włóczył się po okolicy, odwiedzał sąsiadów, lecz naprzykrzyło mu się to wkrótce; próbował więc zająć się czemkolwiek zaczął zastawiać sieci i sidła, lecz nie było potrzeby, gdyż przemysł Chabdżij dostarczał ryby i zwierzyzny poddostatkiem. Siedział więc w domu, paląc niemiłosiernie.

Kereses lubiła bardzo tytoń, ale to, co dostawał nie wystarczyło jej nigdy, często więc z rozdrażnieniem odpędzała od siebie kłęby puszczonego przez Kostę dymu, a on, jak gdyby umyślnie, sadowił się zawsze gdziekolwiek w pobliżu niej. Chajłach ofiarował jej wprawdzie kilka razy trochę tytoniu, lecz odepchnięty za każdym razem milczeniem, zaprzestał robić tego przy niej samej zaś nigdy prawie nie miał sposobności widzieć

— Powiedz mi! — spytał go raz gospodarz, gdy jak zwykle, siedział z fajką w zębach na przyzbie, patrząc się jego robotę, — powiedz mi! Czy tam u was na południu są Jakuci.

Kostia spojrział nań zdziwiony.

— Jakuci? Po co?...

Chabdżij wyczytał to zapytanie w oczach Chajłacha; otarł więc pot z czoła rękawem koszuli i, sparszy się na trzonku siekiery, ciągnął dalej:

— Mówisz, iż tam u was wiele, wiele chleba

wiele krów i wołów, dużo stad koni; że są tam wielkie miasta z kamienia... szerokie drogi... Któż to wszystko porobił? Kto tam u was pracuje?... Mówisz, że niema Jakutów!

Westchnął i wyciągnął rękę ku dymiącej się fajce Kostii. Chajłach chciał mu ją podać, lecz w miarę rozumowania Jakuta ramię Kostii kurczyło się, twarz nabrzmiała, zalewając się falą gęstej, gorącej krwi, wargi drgały:

— Kto pracuje, pytasz? Głupcy i durnie... I ja kiedyś próbowałem pracować!! — krzyknął nagle i gwałtownym ruchem schował fajkę za plecy.

— Jeżeli pracować nie będą, to pomrą!... — odrzekł obrażony odpowiedzią i odmową »zaciągnięcia się« Jakut.

Kostia zerwał się.

— Pomrą!! — Niech pomrą... Patrz! Wywrę z gardła!! Zduszę! A żyć będę, żyć chcę!... Niech umierają — i machnął w powietrzu potężną pięścią. — Niech umierają!... ja próbowałem!...

Kopnął nogą leżący na drodze pieniek i poszedł, nacisnąwszy czapkę na oczy.

— Szajtan! — szepnął wybladły Jakut, patrząc chwilę za odchodzącym i splunął przez zęby. Żałował, że rozpoczął tę rozmowę. Wprawdzie jego wielo- i krasomówstwo znacznie zmalało od czasu, jak Chajłach na oświadczenie przyjaźni i rady zamieszkania gdzieindziej, zaczął odpowiadać cichem poświstywaniami. W każdym razie pozostało mu jeszcze dosyć, aby zacząwszy od najodleglejszego przedmiotu znaleźć zawsze drogę do swego »Rzymu« i zrobić w końcu rozmowy wniosek,

iż Kostia nie mógłby zrobić nic lepszego, jak uciec od niego natychmiast.

Kostia rzeczywiście niekiedy, a ostatnimi czasy nawet dość często, uciekał, lecz nie dalej, jak do sąsiedniego lasu, a robił to zazwyczaj pod wieczór, kiedy spodziewał się tam zdybać szukającą krów Keremes. Daremnie! Dotychczas nie mógł jej złowić. Widział ją wprawdzie kilka razy daleko, wśród zarośli; lecz gdy próbował iść za nią, lub zbliżyć się do niej, znikła mu zawsze, mignawszy wśród krzewów, chyża, jak spłoszona sarna. Zaczął więc w końcu urządzać na nią prawdziwie myśliwskie zasadzki. Odpędzał daleko w las krowy i chował się w zarośla, leżąc w nich ukryty nieraz godzin kilka. Bydło przywykło doń i nie uciekało już, zadarłszy ogony, jak to zrobiło, gdy zjawił się wśród niego raz pierwszy. Wiedział on wkrótce doskonale, jak ono się pasie, poznał ścieżki w lesie i ich skrócenia. Daremnie! Ścigana Keremes zawsze mu uciekła i znajdował ją w domu, grzejącą się spokojnie u ognia; wówczas prosiła zazwyczaj Chabdzija, by poszedł z nią odszukać stado, które widocznie zaszło zbyt daleko.

Tak minęła połowa miesiąca.

— Idę dziś do księcia — rzekł Kostia pewnego rana, biorąc za czapkę.

— Po co?

— O! mam ważne powody... Chcę go o coś prosić.

Twarz Chabdzija rozjaśniła się. Dawnoby już był powinien. Czyż on mu tego nie powtarzał co dnia? Kostia słuchał, słuchał z uśmiechem, stojąc u proga i patrząc w ziemię.

— Niech więc nie zapomni: z dachu cieknie, bru-

dno... jedzenie złe, jest biedny i nieuczony... nic nie rozumie, co do niego mówią — wyliczał Chabdżij.

Kostia wyszedł, lecz zrobiwszy nie więcej jak kroków trzysta, obejrzał się, a ujrawszy się samotnym, skręcił w bok, w krzaki.

Biegł na przelaj przez las, przez pnie i doły, przedzierał się przez gąszcze i bagna, spieszył chyłkiem, rozpędzając i strasząc chroniące się tu przed upałem kuropatwy i dzikie kaczkę, aż wyszedł na polankę, z której na przestrzał, między dwoma gajami widać było w oddali jurkę Chabdżija.

Tu zatrzymał się u stóp zarośniętego malinami i głógiem wzgórzka, a znalazłszy odpowiednie miejsce, gdzie nie czuł wiatru wiejącego od północy, gdzie krzewy nie tamowały mu widoku, położył się na czatach. Lecz wkrótce ogrzawszy się promieniami wysoko stojącego słońca, posiliwszy przyniesionym z sobą pokarmem, zdrzemnął się, co zresztą leżało w jego programie działań.

Obudził się wieczorem, wylekły, że może już zbyt późno i pośpieszył natychmiast bocznymi drożynami w stronę pastwiska.

Chwała Bogu! Krowy pasły się jeszcze, część ich tylko wyszła już na drogę i skubiąc trawę, zwolna posuwała się ku domowi. Odpędził kilka z nich dalej i przyczał się za krzakiem rosnącej przy ścieżce łozy.

Niewielki otwór, utworzony przez kapryśnie zwiijające się dokoła liście, pozwalał mu widzieć doskonale całą ścieżkę, biegnącą wzdłuż brzegów jeziora. Ścieżką tą koniecznie musiała iść Keremes. Po chwili ujrzał ją, wychodzącą z lasu. Czas jakiś stała, rozglądając się do-

koła, poczem zaczęła zbliżać się ku niemu, zaganiając w stronę domu rozproszone po łące bydło. Nareszcie! Już blisko tuż, tuż... Przez zarośla mignęła czerwona jej chustka.

Zatrzymał oddech. Chwilę jeszcze. Trzasła złamana jej stopą gałązka i kobieta zjawiała się przed nim, wdzięcznym, swobodnym ruchem, rwąc listki z krzewu, za którym się on ukrywał. Podniósł się na kolana i chwycił ją wpół:

— Czy mię kochasz? Czym piękny?... — pytał, chyląc ją ku ziemi.

— Zabiję!! zabiję!... — wyszeptała — blednąc kobieta, lecz nie broniła się.

Późno dnia tego, przyprowordzony przez Jakuta z sąsiedniej jurty, dokąd zaszedł, prosząc o przewodnika, wrócił Kostia do domu. Nie był u księcia, zabłądził i tylko trafem znalazł ludzi, którzy zresztą przyjęli go doskonale, jak opowiadał na drugi dzień Chabdzijowi.

Keremes schyliła się ku ziemi, kryjąc twarz, zalaną gorącym rumieńcem.

Chabdzij markotny obiecywał sam pokazać mu drogę, lecz Kostia podróż odłożył na później. Oszukany jednak uprzejmością i łaskawością chałtacha, Jakut zabrał się rażno do pracy, pełen tęczyowych nadziei. A pracy było wiele. Trawa wyrastała, czas było poprawić ogrodzenie dokoła sianożęci, oczyścić łąkę z wody, przegrodzić sąsiednią rzeczkę, która już opadła i łatwo dałaby się ująć w karby, wszystko to, a szczególnie ostatnie trzeba było zrobić koniecznie jeszcze przed końcem tego miesiąca, bo inaczej nie będzie co jeść podczas sianokosu. Chabdzij nieśmiało poprosił gościa o po-

moc, tłumacząc, że właściwie i jemu będzie lepiej, gdyż ryby w rzece nadzwyczaj smaczne. Zdziwił się jednak i mocno ucieszył, gdy Kostia, nawet nie przecząc, natychmiast się zgodził.

— Jak niedźwiedź!!! jak niedźwiedź!!! — zachwycony opowiadał żonie wieczorem o swym pomocniku. Lecz Keremes wiedziała o tem lepiej od niego. Czula jeszcze na swych ramionach ślady żelaznych uścisków Chajłacha. Pracował on teraz wprawdzie z Chabdżijem, ale jej pomimo to nie przestał prześladować. Stał się nawet natrętniejszym. Ale jej łatwiej było go unikać.

Po upływie pewnego czasu Kostia zaprotestował, że nie pójdzie dziś do roboty.

— Dlaczego? — pytał Chabdżij, który już przywykł do jego pomocy.

— Dlatego, że nie i basta. Wam zrobić łaskę, to wy już myślicie, że to obowiązek! Wszystko... chcecie darmo.

Jakut zamilkł i pochylił głowę. Do roboty trzeba było iść koniecznie, a jakaś paląca myśl jak błyskawica przeleciała mu przez mózg i uderzyła prosto w serce. Wyszedł, lecz natychmiast prawie wrócił i usiadł w izbie, wpatrując się podejrzliwie w przybysza i żonę.

Keremes zbladła jak płótno.

Kostia zaczął się skarżyć na ból głowy i cały dzień przeleżał na ławie, wróciła więc Chabdżijowi weselość. Nie poszedł jednak w pole, ale siedząc przed ogniem, wyrzynał z drzewa łyżkę, która była wprawdzie użyteczna, lecz niekoniecznie potrzebna. Nazajutrz także

nie poszedł, dłużej tylko coś około domu, pilnie dając na przybyśza baczenie.

Kostia wściekał się. Wyzdrowiał zupełnie z wczorajszej choroby i począł dawną gonitwę za tą kobietą, tak upragnioną a tak nieujętą.

Przestał już nawet ukrywać się, ścigając ją przy mężu, przy odwiedzających sąsiadach, przy wszystkich, natrętnymi, palącymi spojrzeniami.

Keremes truchlała i stawała się jeszcze słodsza, potulniejsza i pracowitsza, niż zwykle. Chabdzij kochał ją, jak nigdy, choć czuł, iż działa się coś, co go przemawiało niepokojem.

Zdychać ją samą, — udawało się Kostii coraz rzadziej.

— Głupia!... Dlaczego mię nie kochasz... chcesz pieniędzy? Masz! Kupię ci pierścionków! Kupię ci chustę... Dam tytoniu!... Uściśnij, ucałuj! — mówił gwałtownie, gdy nareszcie, po wielu wybiegach i całogodzinnych czatowaniach, schwycił ją gdziekolwiek. — Dlaczego mię nie kochasz?... Dlaczego boisz się?... — szeptał całując jej usta, jej oczy wilgotne od rosy wieczornej, od łez może.

Lecz ona, choć nie broniła się, nigdy nie odpowiadała na jego pieszczoty, nigdy nie przychodziła w naznaczone miejsce, nigdy nie odpowiadała na jego pytania. Próżno ją głaskał i pytał, i trzymał, i wściekał się, i kłął, i groził, jak tylko wolniały jego uściski, zrywała się i uciekała chyżo.

Raz nalegał tak długo i natarczywie, że aż, spoglądając z trwogą na niebo, obiecała przyjść.

Czekał więc szczęśliwy a pewny. W oddali usty-

I kroki, serce mu gwałtownie zabiło, lecz z zarośli szedł nagle Chabdżij — i zapytał znacząco, czy nie ziałał, gdzie poszło bydło.

Podejrzywał on już dawno, że Chajłach, nie zadaniając się podawanem mu jadłem, wydają w polu wy. Milczenie Keremes, gdy jej zwierzył się z tą słą, utwierdziło go w tem mniemaniu.

— Jeszcze możesz się z nim spotkać gdzie w le-
— mówił żonie — zły człowiek! — i zaczął sam dzić co wieczór po stado.

Lecz ledwie Jakut wyszedł z izby, w jurcie zjasię Kostia.

Z początku kilka razy udało się kobiecie ukryć od nim i wrócić do izby z Chabdżijem. Lecz krytek było już zbyt mało, a Chajłach zbyt był przebie- . Bładła więc i chudła z dniem każdym, a oczy jej cieciły gorączkowym blaskiem. Ogromne włochate ciel- Kostii nappełniło ją wstrętem, a wspomnienie jego szczot, tchnących całą sprosnością więzienia i zepsu- n wielkich miast południa, oblewało jej lica palącym nieńcem wstydu.

— Tyś pewno chora — mówił Chabdżij, widząc, była roztargnioną, jak drżały jej ręce, gdy nalewała batę w stojące przed nim naczynie.

— Ależ nie!...

W tej chwili wszedł do izby Kostia.

— Gdzie ty, nucza, siedzisz tak długo wieczorem? — ważył z rozdrażnieniem Jakut. — W lesie przecież mo.

— A tobie co do tego! — burknął Kostia, siada-

jąc na ławie, na której przed niedawną chwilą pieścił Keremes.

— Postaraj się o kogokolwiek do domu. Ja nie chcę zostawać samą... — rzekła wreszcie wieczora tego do męża Jakutka, tuląc się do jego boku.

— A więc stało się?! Gdzieżeś spotkała się z nim? Nieszczęście! — krzyknął Chabdzij głosem, w którym drgały hamowana wściekłość i łzy. Uniósł się na postaniu i odpychając gwałtownie, wyciągnięte ku niemu nagie ramiona żony, wołał zapamiętale: — Powiedz! powiedz! suko!

— Ależ nie!... nie!... tylko ja się boję. Ot tak! boję się! — szeptała kobieta, tłumiąc łkania i zakrywając łagodnie ręką usta mężowi.

* * *

Nazajutrz pod wieczór zjawił się w jurcie Chabdzija nowy mieszkaniec, ślepa Upacza. Umiała ona tylko miąć skóry i opowiadać długie, a choć prawdziwe, przez nikogo jednak niesłuchane historie.

Nikt inny nie zgodził się mieszkać w domu, gdzie przebywał »Chajłach«. Napraszał się wprawdzie młody parobczak »Piotiur«, lecz tego sam Chabdzij wziąć nie chciał.

Upaczę napojono, nakarmiono i wyznaczono jej miejsce na jednej ze stojących pod ścianami ław, gdzie też nazajutrz rano siedziała już ze skórą w ręku i nie zważając ani na rozmowy domowników ani na ich nieobecność, snuła dalej wątek przerwanego opowiadania. Zresztą słuchaczów miała teraz prawie zawsze — gdyż

Keremes, wyciągnawszy z komory odłożoną na zimę robotę, jakieś skóry kobyle i jelenie, siadywała obok niej, oddalając się tylko na bardzo krótko, ażeby wydoić krowy, lub przyrządzić wieczerzę.

Kostia nie chodził też do lasu. Gniewny, milczący, leżał po całych dniach na ławie.

Sam gospodarz wreszcie, porzuciwszy robotę, zaglądał niekiedy do izby. Jednakże tylko Keremes zabawiła i pobudzała do opowiadania starą zebraczkę swymi wesołymi, dźwięcznymi, a częstymi wykrzyknikami, zdradzającymi to żywe zajęcie, to inne, stosowne do treści opowiadania, uczucia. Inni milczeli.

Zdarzył się dżdżysty, pochmurny dzień. Kostia wstał niezwykle zły i ponury. Przy śniadaniu pokłócił się z gospodarzem o jado, a choć później zmiękł nieco i dał się przeprosić, to jednak zachmurzona jego twarz każała się domyślać, iż się jeszcze o coś gniewał.

— Czy nie pójdziesz czasem do księcia? — spytał go Jakut jak można najuprzejmiej, zdejmując z kołka uzdeczkę.

— Nie! Albo co?

— Bo ja jadę! Święto, więc na pewno zastanę go w domu. Księżę lubi gości, przyjąłby cię, jak należy... Prócz tego tam dziś zebranie i ty mógłbyś... — dodał Jakut nieśmiało podnosząc nań oczy...

— Nie!... — szorstko przerwał Kostia. Po twarzy Jakuta przemknął cień, dodał więc łagodniej: — Chory jestem... szkoda, że jechać nie mogę. Głowa mię boli, a od jazdy rozbolełaby więcej... — Odszedł od ognia, przed którym stał i położył się na postaniu.

— Śpi? — zapytał wchodząc po chwili Chabdżij. !

Lecz Kostia nie spał, a bacznie śledził za nim, i gdy według jego obliczeń Jakut powinien był odjechać, wstał nagle i wyszedł.

We drzwiach zetknął się z wracającą Keremes, usunęła mu się z drogi, tuląc się do ściany. Deszcz przestał padać, lecz było chmurno i zimno.

Sprawdziwszy więc, że Chabdżija i jego konia rzeczywiście już nie było, Kostia wrócił do izby.

Upacza opowiadała o jakimś Tunguzie, obok niej siedziała zafrasowana Keremes. Kostia czas jakiś stał przed ogniem i patrzył na nią z podełba posepnie, hamując gwałtowne wzruszenie, wstrząsające nim.

— Jestem głodny! Gospodyni, przynieś jadła! — rzekł wreszcie, odwracając się.

Uderzona jego zmienionym głosem, Keremes nie ruszyła się z miejsca.

— Czy słyszysz? Jeść chcę! Masła! — krzyknął, tupnąwszy nogą.

Jakutka wzięła drewnianą miskę i wyszła, po chwili udał się za nią i Kostia. Kobieta odgadła jego obecność po cieniu, który mignął nad otworem do piwnicy i długo zwlekała z ukazaniem się. Kostia czekał chmurny, szalejący. Wyszła wreszcie, trzymając pełną misę masła i drżąca, nie śmiejąc spojrzeć w twarz Chajłacha, siadła u drzwi piwnicy. Ten czekał, patrząc jak wolno układała kawały kory na otworze ich, lecz gdy podniósłszy się próbowała niepostrzeżenie przemknąć mimo, chwycił ją za ramię i objawwszy, próbował przewrócić na ziemię.

Słońce wyrzało niespodzianie z poza chmur i oświeciło okolice. Obszerna, otaczająca dom łąka, pobliskie jezioro, zielona »tajga« z widniejącymi w jej przeło-

mach drożynami, zabłyśły nagle wśród rozproszonych mgieł, jasne, nagie, otwarte... Ogarnięta wstydem kobieta, odepchnęła Kostię i pobięła ku domowi.

— Co rok Tunguz przychodził i prosił o córkę, co rok dawał za nią tysiąc jeleni więcej, lecz Jakut odmawiał. Nie do niższych, ale do wyższych isé nam trzeba — mówił — córkę oddam Jakutowi albo »nu-czy!« Włóczył się więc myśliwiec ze swemi niezliczo-nemi stadami po sąsiednich górach — ciągnęła mono-tonnym głosem Upacza.

Kostia wpadł do izby i podszedł wprost do zdysza-nej Keremes, siedzącej obok żebraczki.

— Nic z tego!

Popchnął ją na wznak i pięścią zatkał usta, aby nie krzyczała.

— Kiedy jelenie wyjadły wszystko pożywienie w taj-dze, wypity wszystkie wodę w strumieniach... — mru-czała ślepa — wówczas znikł Tunguz z okolicy, a z nim razem i jakucka dziewczyna zniknęła z jurty w burzliwą noc jesienną, gdy wyszła popatrzeć, na kogo psy za-szczeakały.

Upacza zamilkła, przysłuchując się ze zdziwieniem płaczowi młodej swej gospodyni.

— Załujesz jej?!

Płacząca nie odpowiadała.

Tej jeszcze nocy wyznała wszystko mężowi.

Chabdżij szalał. Ryczał, kopał i bił bez litości błado w ciemnościach migające ciało żony, która pro-siła tylko, aby bił cicho, gdyż usłyszą... a sama kąsała do krwi wargi, by wstrzymać łkanie. Wreszcie dziki się

opamiętał i schwyciwszy się za głowę upadł, jak dziecko, na łono pobitej.

Od owego dnia nie opuszczał jej ani na chwilę, ani na mgnienie oka. Jak cień chodził za nią wszędzie, śledził najmniejszy jej ruch, najmniejsze spojrzenie i drżał nerwowo, boleśnie, gdy przypadkiem zbliżał się do niej Kostia. Starał się zawsze znaleźć między nim a nią, a pomimo to czuł nieustanny niepokój, trawiła go gorączka. Zanedbane gospodarstwo groziło ruiną. Sąsiedzi zbierali się kosić, już kosili, a on siedział wciąż u komina, dłubiąc cokolwiek, lub patrząc w ogień bezmyślnie.

Słaby, chory, apatyczny, liczył tylko dni miesiąca, liczyłby chwile, gdyby znał ten podział czasu.

— Sześć dni jeszcze! Jakże nieskończenie wiele! Jakże nieskończenie wiele!

A gdy spoglądając w przyszłość, widział w perspektywie całe szeregi podobnych gości, ogarniała go rozpacz, wszystko wypadło mu z rąk, a w głowie roily się myśli okropne. Milczał jednak.

Milczała Keremes, gawędziła tylko Upacza, lecz bardzo już coś niewyraźnie.

— Tfu! Do dyabła! Z nikim ani słowa!... — krzyczał Kostia i próbował świstać lub śpiewać, lecz po chwili milkł, zwarzony otaczającą go atmosferą nienawiści, pogardy i bojaźni, którą boleśnie odczuwał, choć towarzyszyła mu przez życie prawie całe. Nawet „Upacza” przestawała mruczeć, gdy zbliżał się do niej.

— No! no! Dość tych dąsów — mawiał w chwilach dobrego usposobienia, uderzając Jakuta po ramieniu. — Nie bój się, nie zjem ciebie!

Lecz widząc dokoła nieufne tylko lub mściwe spoj-
nia, sam tracił dobry humor. Cieszyła go wtedy ruina
abdżija, jego boleść, radował strach i cierpienia Ke-
nes; stawał się wybrednym w jadle, tak że w końcu
kut był zmuszony zabić dla niego krowę, gdyż jego
ci i potrzaski nie dostarczały już zwierzyny.

A na świecie tymczasem jaśniało słońce, pachniały
ry, falowały jeziora, gasły i zapalały się w jednym
całunku złączone zorze świtu i zachodu, ale dla nich
to chmurno i posepnie. Siedzieli w dusznej i ciemnej
nie, śledząc i jątrząc się wzajemnie.

Znudzony Kostia parę razy wyszedł wprawdzie
przechadzkę, lecz znalazłszy się w gęstwinie lasu,
zawał jakiś niepokój, ogarniał go strach nieokreślony,
niczny. Milczenie boru mówiło mu okropności. Widział
rzuczone wśród pni i liści trupy takich jak on »przy-
godów« z rozplataną głową lub kulą w sercu. Cóż!
czyż on nie jest sam? Kto go lubi? kto go kocha? Kto
nie się za nim!?... Zginął bez śladu!...

I zdawało mu się, że widzi wśród zarośli przy-
jęoną postać z bronią w rękul...

— Co oni tam robią!...

Wracał więc szybko do domu podejrzliwy, gniew-
ny; zmuszał Jakuta do próbowania podanego sobie
lżenia.

Ów strach nawiedzał go coraz częściej. Niekiedy
dził się w nocy i leżał nadśłuchując, co się dzieje za
słoną łoża gospodarzy, a nie mogąc usnąć, przewra-
cał się na pościeli z boku na bok, dręczony to myślą
głej śmierci, to obrazem Keremes i wspomnieniami
zmany z nią rozkoszy.

Raz zdało mu się, że ktoś idzie ostrożnie, lekko stąpając po podłodze izby, zerwał się więc i schwycił ze stołu zapomniany tam nóż. Lecz było to złudzenie. Jego oczy wpatrzone w ciemności jurty, nie dojrzały nic, a do uszu dochodziło tylko chrapanie śpiących. — Legł więc, lecz żelaza nie wypuścił już z ręki: chłodne jego dotknięcie wywołało całą masę niejasnych a znanych obrazów. Wyrężony, spotniały i drżący wpatrywał się w nie, czując, iż jeżą mu się włosy i lodowacieje krew w żyłach. Widział się na tle takiego zmroku z nożem w rękę, pochylonego nad śpiącym bliźnim, widział blade, krwawe ludzkie postacie, kurcze i boleści zabijanych... i z głuchym jękiem przewrócił się na bok.

Weszło słońce i uderzyło promieniami swymi w zamknięte drzwi jurty, a znalazłszy w nich szczelinę, wpadło do izby i zajrzało w oczy rozbójnikowi. Widma znikły.

Kostia wstał i wyszedł na dwór odetchnąć świeżym powietrzem. Gorący, purpurowy blask młodego dnia oblał go i olśnił. Stał chwilę, przysłaniając oczy dłonią. Wśród wielkiego, ogrodzonego płotem z żerdzi podwórza leżały krowy jeszcze senne i żuły wczorajszy pokarm. Czarny byk, spoczywający nieco na uboczu u wygasłego dymokuru¹⁾, podniósł się i nastroszywszy kosmate uszy, patrzył nań zdziwiony; w oddali na łące biały ogier, pasąc się, pędzał swoje kłacze. Kostia uśmiechnął się. Resztki niedawno przebytych cierpień znikły w jego mętnych oczach. Podszedł ku ogrodzeniu.

¹⁾ Dymokur — zapalone kupy nawozu, w celu odpędzenia od bydła komarów.

parłszy się o jeden ze słupów, z lubością śledził za zegółami tej dzikiej, stepowej miłości.

Powróciwszy do izby, niedługo leżał spokojnie na ojej pościeli.

Po chwili zerwał się i tając oddech, zbliżył na cach do łoża Chabdżija.

W jurcie było już o tyle jasno, iż mógł zrobić wszystko, nie trąciwszy o żaden z rozstawionych po ie przedmiotów. Bez szelestu uniósł nieco skórzanej słony i zająztał do wnętrza. Małżonkowie spali, obvszy się.

— Keremes — zawołał przytłumionym głosem.

Kobieta zerwała się i siadła na łożu.

— Pójdź-no! — szepnął groźnie.

Lecz ona nie ruszała się, szeroko otwierając zane oczęta.

Kostia wyciągnął ku niej rękę, lecz nagle ujrzawy wlepione w siebie błyszczące oczy Chabdżija, ścisnął pęć i ciężko opuścił ją na jego czoło. Mężczyźni poęli się z sobą borykać, przewaga jednak była po stro: Chajłacha. Daremnie Keremes starała się pomódz pżowi. Kostia nie czuł uderzeń, nie czuł dłoni, silących ; ścisnąć jego krtań, a schwyciwszy za gardło Jakuta, pał na jego głowę ciosy, zdolne byka ogłuszyć. Chabij bronił się coraz słabiej, wreszcie rozwarł ręce, rolnił uścisku i rzucony przez Kostię, potoczył się łoża, zrywając za sobą zasłonę. Jak przez sen widział remes broniącą się jeszcze czas jakiś, zmuszoną uledz końcu — i omdlał.

— Suka! Ukąsiła! Czego wyjesz? — zawołał w pót

z gniewem, w pół ze śmiechem zrywając się Kostia i ocierając z twarzy broczącą krew.

— Zabity!.. Nie żyje! Ratunku!.. — zajęczała Keremes, lecz Jakut ocuciwszy się, już odepchnął ją i nakrył głowę zerwaną zasłoną.

W kącie mruzczała wystraszona Upacza.

Keremes odurzona tem wszystkim co zaszło, siedziała na ziemi, oparłszy się plecami o łóżko; dopiero wtedy, kiedy odziany już Kostia rozniecił ogień, przypomniała sobie, że jest naga i wstydliwie naciągnęła koszulę.

— Cóż ty! długo będziesz klepała pacierze!! — krzyknął na nią Chajtach. — Niewinność jaka... Myślałby kto — panienka... Wstawaj! wstawaj! i ty! — krzyknął na Chabdżija, trącając go nogą, lecz dziki wyszczerzył zęby i ukąsił go za obuwie.

— Pies!.. pies... istny pies! — wołał wesoło Kostia, znowu trącając.

— Werr! wrr...

Jakut zerwał się drżący z pianą na ustach.

— Bryś! — krzyknął pobladły zbój. Cofnął się krok w tył i chwycił za nóż.

Tym razem musiał sam postawić czajniki i zaparzyć herbaty; mleka i masła przynieść kazał Jakutce, a rozkazał tak groźnie, iż ta nie ośmieliła się nie usłuchać.

Życie zaczynało wracać do zwykłego trybu, Keremes wydoiła krowy, Chabdżij podniósł się z ziemi i odział.

— Ty tak nie patrz na mnie, jakbyś mię chciał zjeść, ale lepiej napij się herbaty — mówił mu z uśmie-

chem Kostia. — Nauczyłem cię troszeczkę rozumu i nie więcej! I o co to wszystko! o co? O jedną babę! Tfu! Pluń na to! Ty myślisz, że ona mnie jednego kochała! Nie wierz!... miała ona już na pewno tysiące kochanków! Wierz mi, iż każda baba myśli tylko jakby męża oszukać! Czyż nie ona pierwsza zaczepiła mię?...

— Łziesz! łziesz! Zabij mię, ale łziesz! — krzyknęła, zalewając się łzami Keremes. — Tyś mię wziął przemocą!

— Te... te.. te — odrzekł flegmatycznie Kostia. — A kto wypędzał męża wieczorem do lasu po krowy, żeby zostać sam na sam ze mną?

Keremes zamilkła ugodzona w samo serce.

— I ty mu wierzysz? Wierzysz? — pytała gorąco męża, podając mu nalaną filiżankę herbaty. Ten milczał, lecz filiżankę wziął wtedy, gdy ją Keremes postawiła na stole.

Jakutka łkała, zanurzwszy głowę w poduszki, Chajłach śmiał się.

— Wierz jej, babskie łzy, to rosa poranna...

Lecz Chabdżijowi zrobiło się nagle niewymownie żal żony i nie dopiwszy herbaty schwycił czapkę i wybiegł z jurty.

— Idź! idź! do księcia... skarżyć... — sztychł Kostia — a świadków! świadków nie zapomnij wziąć z sobą... świadków!...

Chabdżij rzeczywiście poszedł do księcia. Głodny, obdarty, zbity włókł się te kilka oddzielających go odeń wiorst, Bóg wie jak długo. Matka, żona i siostra księcia, gdy wszedł do chaty krzyknęły, nie poznawszy go, tak był zmieniony cierpieniem. Samego księcia nie było

w domu. Jeszcze wczoraj pojechał z robotnikami po znalezionej przez siebie w pobliżu kość mamutową.

— Dziś zapewne będzie z powrotem. Niech więc zaczeka. Lecz co to za sprawa tak ważna i pilna i co takiego ma na twarzy? — pytały otoczywszy go kobiety.

Jakut bąkał coś niewyraźnie, lecz ugłaskany i nakarmiony, wybuchnął nagle bolesną skargą.

Opowiedział im nocną scenę, zamilczawszy o jej przyczynie i końcu i połykając łzy ciekące jak groch po twarzy, pokazywał sińce i ślady razów na ciele.

Kobiety spojrzały po sobie i zrozumiały. Obrzuciły Chajłacha przekleństwem i lamentowały, kiwając głowami i wykrzykując:

— Wszyscy oni tacy ci przybysze z południa! I po kiego dyabła ich tu przysyłają? Za co nas karzą? Za co? Za jakie grzechy? Niechby już sobie siedzieli, tam gdzie nabroili.

— Prawo! takie już prawo! — rzekła smętnie stara, ledwie nie stuletnia ich matka — prawo! — Umilkły więc, ogarnięte mistycznym strachem przed tą tajemniczą, dziwną istotą, mającą kształt zadrukowanego papieru, a tak żywą i potężną, że może sprawiać ludziom bardzo wiele cierpień i boleści. Wiedziały one, że dość było tego jednego słowa, aby mężowie ich opuszczali głowy ze drżeniem... Kto wie, co tam nadrukowano w tych książkach? Może tak być powinno?

— Ale też i Keremes, ktoby się spodział? A więc ją złapał?... — pytały natrętnie Chabdżija. — Jak to było? Jak to było? Niech powie. Czy dawno?

— Lecz Jakut, pod wpływem jakiejś upartej myśli, niespokojnie obracał w rękę czapkę, którą mu tak nie-

dawno uszyła Keremes! Niedawno! o jakżeż to było dawno! Jak dawno. I już nigdy nie wróci!...

Chabdźij zerwał się i zaczął żegnać...

— Idźcie więc! Księcia czekać nie będzie? — pytały kobiety.

— Nie!

Odprowadziły go do wrót i stały, patrząc, jak szedł ze spuszczoną głową.

Wieczór zbliżał się, słońce nie zaszło jeszcze, lecz ukryte za lasem mało dawało światła, a na ścieżce panował gęsty zmrok. Gdzieniedzie tylko poprzez gałęzie strzelał złoty promień słońca.

Chabdźij szedł, co chwila potykając się o korzenie, niekiedy zatrzymywał się i wypoczywał, spoglądając tęskno w dal.

— Ach gdyby Bóg dał spotkać księcia!

Lecz księcia nie było widać nigdzie.

Już zupełnie stracił nadzieję ujrzenia go, gdy na skrócie ścieżki, prowadzącej do jego domu, ukazali się dwaj jeźdźcy, w których poznał natychmiast księcia i jego robotnika. Za sobą prowadzili konia, obciążonego kośćmi.

Chabdźij zatrzymał się. Księżę ¹⁾ zrównawszy się z nim, przystanął i pochyliwszy się na siodle, zapytał:

— Co nowego? Skąd i po co idzie i co mu potrzeba?

A domyślając się, że sprawa Chabdźija musi być

¹⁾ Jest to urząd obieralny i odpowiada naszemu wójtowi gminy, dostaje się on zazwyczaj najbogatszym i najwięcej wpływowym.

ważną, zlął z konia i puściwszy go na trawę, siadł na ziemi.

— Opowiedz od początku, jak było — rzekł do Jakuta, zapalając fajkę. Książę był to krępy, szpakowaty mężczyzna o surowej, nieco dumnej twarzy.

— Każdy człowiek! — zaczął skarżący się głosem byłego dziesiętnika, lecz nagle, zapominając o swojej wymowie, schylił się do nóg księcia i obejmując je wzbuchnął:

— Ja zazdrosny!... zazdrosny!... zazdrosny!... o weź go... weź!

Książę więcej zdziwiony, niż wzruszony, odepchnął go.

— Powiedz porządnie! Czego trzeba? — pytał.

— Weź go!...

— Kogo?

Chabdżij wskazał na dom.

— Jego!...

Książę pokręcił głową.

— Chajłach kocha jego żonę — objaśnił parobczak księcia.

Książę zamyślił się.

— Cóż on zrobi? Każdemu zdarza się nieszczęście. Niech pocierpi! Pozostało przecież już niewiele dni do końca. Za parę dni odbiorą od niego Chajłacha.

Lecz gdy Chabdżij, uspokoivszy się wreszcie opowiedział mu wszystko jak było, książę postanowił pojechać do niego. Rozkazał więc robotnikowi zdjąć z koni juki i, położywszy na każdej z nich trzy zielone gałęzie na krzyż na znak, że nie są zgubione, zawrócił ku za-

dzie Jakuta. Robotnika i konia wziął też ze sobą wszelki wypadek.

Wkrótce ujrzeli snop iskier, wylatujący z komina y.

Pierwszą rzeczą, którą zobaczyli, wchodząc do izby, a czerwona szyja i szerokie plecy grzejącego się nad ogniem Chajłacha. Ponuro a bacznie przyglądał się, gdy, stojąc po środku izby, bili pokłony i czynaki krzyża przed obrazami świętych.

— Jak się masz, nucza — rzekł uprzejmie książę, lając mu rękę.

Chajłach od niechcienia wyciągnął dwa palce.

— Co porabiasz? Co wiesz? Czy dobrze ci tu? — ał z westchnieniem nieco zmieszany urzędnik gminy, lając na ławie.

— Nie!... — odrzekł Kostia — a ty po coś przy-
nał? co wiesz?

Książę odchrząknął.

— Wy tu, podobno, pobiliście się z gospodarzem!...
słuchajno... dlaczego ty go bijesz? ty nie masz prawa...
powinieneś się poskarżyć!...

— Komu?

— Mnie!...

— A ty kto taki? Taki sam Jakut jak i on!... Kruk
kowi oka nie wykole!... zresztą nieprawda, ja go zu-
nie nie biłem!...

— A to co? — spytał książę, pokazując na po-
ioną twarz Chabdżija.

— Albo ja wiem! — odrzekł obojętnie Kostia
patrzac nawet we wskazanym kierunku — sam se
pewnie zrobił.

Książę zamilkł i wyjąwszy nóż, zeszkrobał nim na czole i twarzy kroplami osiadły pot.

— A dlaczego ty ruszasz jego żonę! — zapytał niezwykle surowym tonem.

— Ruszasz... — przedrzeźniał Kostia i przystąpiwszy bliżej, — chłop jestem — krzyknął i ruszam... — i tak uderzył pięścią w stół, że ten aż jęknął i trząsał gdzieś.

Książę pobladł i odsunął się nieco.

— Ty się nie gniewaj — rzekł łagodniej — a powiedz jak i co... poproś gminę... gmina ci nie odmówi i da, ale inną kobietę. Ta kobieta ma już człowieka.

— A jeżeli ja innej nie chcę?

Książę zamilkł i otarł pot z czoła.

— A ty ot lepiej spytaj, jak mię karmią, co mi dają?... — zawołał gwałtownie Kostia. — Sorat i sorat... Czy ja ciele, czy co? Tfu! Do stu dyabłów! Toć to tu gorzej, niż w kopalniach, niż w katordze... Świnie wy wszyscy i basta... Chcesz z nimi żyć po ludzku, a oni... Ja was... — i energicznym zamachem przesunął kułak tak blisko nosa księcia, iż ten cofnął się, spoglądając z ukosa na wiszący u boku Chajłacha nóż.

— Czegóż ty się na mnie gniewasz? Cóż ja ci zrobiłem złego? — rzekł książę łagodnie. — Ot! lepiej zabierz się i pojedziemy tam, gdzie ci dadzą mięsa i wszystkiego...

Kostia odwrócił się doń tyłem.

— Wszyscy wy jednakiej wiary... Gadaj sobie... A mięso przywieź tu... Tu mi dobrze! Nie pojedaj! — odrzekł.

— Jakże, nie pojedziesz? Termin się skończył...

już zrobiliśmy rozkład powinności, ty nam zepsujesz hunki... Umieścimy cię teraz u dobrego człowieka!...

Kostia milczał, nie obracając się nawet, umilkł i książkę, a posiedziawszy w zamyśleniu chwil kilka, zaczął zbierać się w drogę.

— Do widzenia, nucza! — rzekł zatrzymując się przed Kostią. — przestań więc, bo to nie ładnie! A ty abdzij staraj się: pokarm dawaj porządny i w nim nie sprzeciwiaj się panu! — rozkazywał groźnie kutowi, okiem zaś dawał mu znać, by udał się za nim.

— A ty nie odjeżdżasz? — spytał Kostia roboka księcia, widząc go powracającego z Chadżijem chaty.

— Ja nie stamtąd, a stąd — wymijająco rzekł kut.

— Łziesz!... przecież ja widziałem ciebie u księcia. Jakut zająknął się i udał, że nie rozumie.

— Spirydyjon Winokurów!

— Dureń jesteś! — rzekł z pogardą Kostia, splunął i odszedł.

Było już bardzo późno, ale Jakuci nie myśleli się spać.

Keremes, przystawiwszy do ognia czajniki i kotły, ała się wraz z mężem do głównej spiżarni, niewielkiej, czworokątnej budowli, stojącej niebo na uboczu.

— Jutro będziemy mieli dużo gości!... Jutro weźmy Chajłacha... — mówił Chabdżij, wynosząc z kątów chatki ocalałą żywność. Niegdyś byłem bogaty, a teraz tu wszystkiego mało... aż wstyd! Goście będą głodni!

Keremes objęła męża wpół rękami.

— Znowu będziemy bogaci! Bóg da. On pójdzie...

a ty wszystko zapomnisz? Wszystko?... - przez lzy szeptała kobieta, tuląc się do niego.

O tak zapomną o przeszłości i będą żyć jak dawniej.

Roili jak małe dzieci, nie wiedząc, że przeszłość nie znika. Nie! Oni uciekną stąd w góry do Tunguzów, będą włóczyć się z nimi po lasach, tamtych przynajmniej nikt nie zmusza żyć z przybyszami.

Chajłach stał na progu i widział przez otwarte drzwi, jak tlejące łuczywo błędziło z kąta w kąt po spiżarni. Światelko migało w ciemnościach jak gwiazdka, przedzierając się na zewnątrz przez szpary źle dopasowanych ścian budynku.

— Coś wyprzątają?... Coś knują, knują niezawodnie! — I twarz zbója poczerwieniała, a oczy zabłyśły niespokojnie. Skrył się do chaty na widok powracających Chabdżija i Keremes.

Niepokój jego rósł w miarę zbliżającego się świtu. Nie mógł sobie znaleźć dogodnego miejsca. To chodził, to kładł się, to siadał — i znów zrywał się i chodził.

Jakuci śledzili go bacznie, popijając w kąciku herbatę. Nikt do niego nie odzywał się ani słówkiem.

— Herbaty nawet nie dali! — myślał z goryczą. — Nóż zapomniany skradli.

Nagle chodząc, potknął się o pęk leżących w kącie rzemieni.

— Co to?

— To moje. Ko... konie pętać! -- wyjąkał robotnik księcia, wrywając mu ramię z ręki.

— A! — Kostia zbladł jak chusta... wargi mu zadrgały, twarz wykrzywiła się, czoło pokryło się guzami

skurczonych mięśni. Przeszedł się z wolna wzdłuż izby, ciągnąc za sobą po ziemi prawą nogę, która znowu poczuła dawno zdjęte z niej łańcuchy i błyszczącymi oczyma wpatrzył się w ostrze leżącej w kącie siekiery.

— Nie! Nic z tego!... Ani ja, ani ty! — ryknął i schwyciwszy żelazo z błyskawiczną szybkością, wznosił go i stanął nad wieczerzającymi.

Jakuci w osłupieniu patrzyli nań, nie ruszając się z miejsca, lecz gdy świsnęła siekiera i najbliższej Chajłacha siedząca Upacza potoczyła się bezwładnie na ziemię, rzucili się ku wyjściu. Jednym tygrysim skokiem dopędził ich Kostia. Keremes biegła ostatnia.

— Mam cię... raz więc jeszcze... — wyszeptał ochryplym głosem. Chwycił ją i odepchnął w głąb jurty.

Dniało. Ciężkie, czarne przez jutrzeńkę pędzone chmury, kupiły się ku północy, tworząc ruchomy, gruby a potężny wał, który, płynąc ku środkowi nieba, gasił z kolei gdzieś migocące jeszcze gwiazdy, a za sobą zostawiał obnażone z ciemności blado-różowe świtanie. Czas zwijał swój czarny płaszcz.

Uciekający zatrzymali się.

— Keremes!... — wyszeptał Chabdżij, szukając łożny oczyma — Keremes!! Gdzieżeś ty?! — powtarzał w obłędzie, zawracając ku jurcie. — Gdzieżeś ty?! srebro moje! słońce!

Drzwi chaty były zamknięte.

Słyszał jak Chajłach łamiąc ławy i sprzęty, zakładał je ze środka, słyszał jego sapanie i przekleństwa, lecz nie słyszał co mu rzekł, znikając w kłębach pokrywającej drogę mgły towarzyszy.

— Keremes — szeptał cicho iieszczotliwie. Nagle drgnął: w głębi jurty rozległ się okropny krzyk, krzyk trwogi, ratunku, błagania.

Chabdżij rzucił się ku drzwiom i uderzył w nie pięścią. Lecz krzyk uciekł już z tego miejsca i brzmiał pod jednym z okien. Tam więc biegł Jakut. Lecz głos wciąż uciekał, odzywając się coraz w innych kątach. Chabdżij ścigając go, krążył dokoła swej chaty, wreszcie u jednego z węglów krzyk zamarł zduszony. Jakut przyległ do ziemi, bijąc ścianę rękoma, odwalając nogami pokrywający ją nawóz i glinę, wreszcie ucichł, skupiwszy się cały w słuchaniu.

Tu blisko, zaraz poza cienkimi balami z modrzewiu czuł, widział prawie, jak się szarpało, ciężko dysząc, dwoje ludzi, słyszał stuk uderzeń, chrzęst kości, usłyszał raz jeszcze czyjś słaby, żałosny jęk, który wreszcie zamarł na wieki, okropną, powolną gammą konania. Chabdżij słuchał dalej i słyszał wciąż ten jęk, choć w jurcie zapanowała już cisza.

Ocknął się dopiero, gdy jacyś konni, zbrojni ludzie otoczyli jego zagrodę.

Zaczęli go wypytywać, lecz odurzony mruczał tylko coś niewyraźnie. Przybyli, ostrożnie zbadawszy wnętrze jurty przez szpary i okna, podważyli drzwi siekierą i wpadli do środka.

Na podłodze izby leżał trup zamordowanej Keremes. Z rany, otwartej na jej pięknych młodych piersiach, jeszcze się sączył strumyk koralowej krwi, której cała kałuża zebrała się w zagłębieniu gliny.

Nad tą okropną kałużą skurczony siedział Chajłach i chlupał w niej ręką.

— Robię masło! — rzekł z uśmiechem, podnosząc na wchodzących błędne spojrzenie.

Jakuci rzucili się na zabójcę.

— Pozwól! — pozwól mi go zabić! — błagał Chabdzij, obejmując kolana księcia. Lecz ten go odtrącił.

S. Kołomyśk, 1887 roku.

W OFIERZE BOGOM





Tam, gdzie rzeka Szeroka, wybiegając ze skalistych wąwozów, na rozległą wypływa dolinę, w bliskości wód jej na środku niewielkiej polanki, zieloną poroślej murawą, stoi słup drewniany, rzeźbami ozdobiony. U tego słupa rok rocznie gromadzą się w sąsiednich górach koczujący Tunguzi. Już w pochodzie łączą się oni w liczne karawany, tworząc malownicze szeregi, złożone z setek reniferów, przeplatanych dziesiątkami ludzi, i wkraczają na dolinę wesołymi tłumami, których gwarne i pełne wrzawy odgłosy zagłuszają plusk toczących się wód rzeki.

U podnóża gór rozrzucone w półkole ogniska migają wśród lasu, na tle wieczornych cieniów, niby błyskotliwa przepaska, przetykana delikatną zielonością wiosny i szarą, przezroczystą tkaniną pni i konarów.

Jest to najprzyjemniejsza pora w dolinach górskich: komary i inne owady nie dokuczają jeszcze, powietrze jest rozkosznie chłodne, wszystko dokoła rozwija się i kwitnie, a tylko na wierzchołkach gór ciepłem nie tknięte leżą zimowe śniegi. Nad śniegami rozpostarte blade, przezroczyste niebo nie ciemnieje nocami, gwiazdami nie błyska, ale nieustającą jaśniejze zorzą, a

łączy zachód dnia uchodzącego ze wschodem następującego.

U słupa na polance w ciągu całego tygodnia gromadzi się lud, zbiera się starszyzna, schodzą naczelnicy rodów, poważni starcy i radzą nad ogólnymi potrzebami, odbierają podatek ze skór i rozdzielają ciężary.

A młodzież tymczasem weseli się; idą tańce, zalecanki, urządzą się wyścigi. Po dolinie brzmi śmiech i krzyki, rozlegają się uderzenia topora, echa pieśni; ziemia dudni pod racicami rozpędzonych reniferów, w powietrzu świszczy rzemień »momoków«, zarzuconych na rogi przeznaczonych na rzeź zwierząt, a szklanne i srebrne ozdoby dzwonią na piersiach kobiet, pojawiających się wszędzie, gdzie jest praca, gdzie życie wre.

Tak bywało od czasów niepamiętnych.

Roku jednego wszakże zdarzyło się inaczej.

Na dolinie, jak zwykle, zebrało się dużo ludzi, ale gwar ich rozmów nie zagłuszał szumu rzeki, młodzież nie płażała na majdanie, nie było widać reniferów rozpędzonych w gonitwie, ani słyhać śmiechów i pieśni.

Wspólne narady nie udawały się także: ludzie małemi gromadkami zbierali się u oddzielnych namiotów. Twarze ich były smutne, spojrzenia mętne, rozmowy leniwe. Tak umiłowany przez Tunguzów żart i śmiech rzadko pojawiał się wśród rozmawiających, mroźny ogólnym chłodem.

Nie rozchodzili się jednak, oczekiwali niecierpliwie przybycia starego Selticzana, bez którego nie ważyli się rozbiierać głównych spraw. Stary tymczasem nie przybywał.

— Nie jedzie stary, nie jedzie... i nie przyjedzie!—

mruczał jeden z gromady, siedząc wśród towarzyszy, kołem otaczających ognisko. Był to mężczyzna lat może pięćdziesięciu, na Tunguza nie wyglądający, otyły, po jakucku odziany i jakuckim srebrnym pasem opasany, z miną nadętą bogacza, znającego swoją wartość.

— Komużbo pilno nawiedzać ginących!.. — dodał jeszcze, odymając wargi.

— Przeznaczenia nie unikniesz — chmurno odezwał się, naprzeciw niego, po drugiej stronie ogniska siedzący starzec biednie odziany, jak miedź śniady, jak mech pomarszczony.

— To prawda! — powtórzył mu trzeci. — Nie unikniesz... nie uchowasz się. Czyżem ja nie uciekał, nie chował się? I cóż stąd?... Wiadoma rzecz... — i, wzruszony, po raz setny może zaczynał opowiadać dzieje swojego nieszczęścia, którym za każdym razem przysłuchiowano się z równą uwagą.

— Kiedy nadeszła wieść o klęsce, znajdowałem się właściwie na szczytach Bur-Jangi i zabierałem się spuścić w doliny, ale się zatrzymał; zacząłem zwlekać. I Bóg dość długo miał miłosierdzie nade mną — jam spyszniał od tego... Aż jednej nocy zbudziłem się przerażony, z bijącym sercem... Nad słuchuję... słyszę — coś niby strzał, niby głośnie wołanie. Wysuwam głowę z pod nakrycia i znowu słyszę niby szum w lesie, niby dalekie wystrzały. Psy skowyczały i wyły, jak gdyby ujrzały niedźwiedzia. Wychodzę z namiotu, patrzę, — księżyc świeci, a w głębi doliny jakiś ogromny cień, minawszy wzgórze, idzie w lasy. Psy przypadły do nóg moich, ja ręką zakryłem oczy, nie mogąc patrzeć. Serce tłuło

się w piersi, niby ptak wylękły, nogi zdrętwiały od przerażenia.

— Och! — rozległo się westchnienie słuchających.

— I cóż? Sto reniferów padło naraz. Nie czekając dnia, teje nocy ruszyliśmy dalej. Uciekaliśmy, nie zatrzymując się nigdzie, a stada nasze wciąż malały; więc rozdzieliłem je na trzy części i wyprawilem w różne strony; po upływie kilku dni powrócił syn a za nim córka — oboje z pustymi rękami. Postanowiłem wówczas uciekać, na kraj świata, gdzie nikt nie chodzi. Ale czy jest gdziekolwiek takie miejsce, gdzieby nikt przedtem nie był? Ze zdychających nie brałem niczego, nawet uździenic. Wszystko zostawiłem... A kiedy padł przodownik, nie zdjąłem ze łba jego wzorzystej przepaski, odziedziczonej po pradziadach.

— Ach!...

— Kobiety zalewały się wówczas łzami — ciągnął dalej, zachęcony współczuciem otaczających — ale kupcy rosyjscy tak radzą: nie zabieraj nic, bratku, »jego« ofiarom, wszędzie »on« znajdzie swoją własność, odszuka ją. Więc posłuchałem, wszystkom rzucił i uciekałem. Nakoniec zapędziłem się już tak daleko, że sam przestraszyłem... Być może, że nikt tam jeszcze nie był przede mną. Nigdzie drzew, ani krzewów nawet — tylko same kamienie, śnieg wszędzie... i wicher... Nie było można rozbić namiotu dla braku drągów, a posyłać po nie do lasu bałem się. Wykopaliśmy więc jamę w śniegu pod zrębem skały i w niej gnieździłiśmy się. Dobrze nam było, radość zaczęła powracać do serc naszych, bo mór ustał. Minął dzień jeden, drugi, a z renów żaden nie zachorował. W milczeniu strwożeni czekamy dalej...

Nie tylko mówić o »nim« unikamy, ale i myśleć, bo może i »on« o nas zapomni! Reniferów nie spuszczaamy z oczu i tam idziemy, gdzie one nas prowadzą, nocując, jak Czuczke wśród stada. Tak nam przeszedł czas jakiś. Żona zaczynała już się uśmiechać, ja sam myślałem, że wszystko już dobrze będzie, że z czasem przymnoży się bogactwa, aż znowu nagle obudziłem się w nocy targany niespokojnością. Księżyc świecił, jak wtedy i wszędzie dookoła jasno było i cicho. Reny zbite w kupę spały na śniegu, tylko tam na powietrzu wisiał cień jakiś, nie od kamieni idący, ale sam pojedynczy...

— Och!...

— Ostrożnie wysunąłem się z pośłania, nabiłem broń i, nie odziewając się, nago zacząłem skradać się do »niego«. »On« mnie nie zauważył — stał na kamieniach i przypatrywał się memu dobru. Ale, kiedym w pośpiechu zaszeleścił, nastawiając podpórki, obrócił i utkwiał we mnie swoje ogromne gorejące oczy. Wystrześliłem między nie... Co się potem stało — nie wiem. Czyli uderzył mię, czy też obrzucił swoim tchnieniem — nic nie wiem! Jak burza przeleciało coś nade mną, a kiedym oprzytomniał, nie miałem już ani jednego renifera. Tumara był nędzarzem...

Opowiadający umilkł, ręką machnął i, zerwawszy się na nogi, stanął z głową opuszczoną na piersi, z wyrazem bólu w twarzy.

Młodszy z otaczających podnieśli się także; tylko starcy nie ruszyli się z miejsca, a utkwivszy wzrok w opowiadacza, czekali dalszego ciągu.

— No, i cóż dalej?...

Tumara podniósł głowę, otworzył usta, ale w chwili,

kiedy wzrok jego, wybiegłszy po za obręb koła, zagłębił się w dal, na twarzy jego ukazało się zdumienie, usta zadrżały, a z oczu potoczyły się łzy. Wszyscy natychmiast obrócili się w kierunku jego spojrzenia.

W pewnem od ogniska oddaleniu, wsparty na grzbiecie białego, jak mleko, renifera, stał siwowłosy Tunguz w staroświeckim narodowym stroju. Za nim, trzymając za cugle wierzchowego renifera, wysuwał się młody chłopak, twarzą i ubraniem do niego podobny.

— Selticzani! — krzyknęli wszyscy — przyjechałeś nareszcie... ty — ojciec nasz!... A my już myśleli, żeś ty nas ginących opuścił! Co nowego? Coś tam usłyszał i widział za górami? Co porabia lud Memela? Żyją jeszcze? — Czy też może, jak my, ostatniem oddychają tchnieniem? A ty co myślisz robić, panie nasz? Przychodzisz-li sam, czy z całym narodem? Powrócisz w góry? — Czy też pójdziesz nad morze? — wypytywali przybyłych.

Selticzani, synowi oddawszy cugle, wszedł pośród otaczających ognisko, każdego przywitał podaniem ręki i siadł obok kniazia¹⁾, ubranego po jakucku, który pośpiesznie usunął mu się z miejsca; poczem wydobywszy z kapiucha małą chińską fajeczkę, powoli napełniał ją tytoniem.

Gromada przycichła i kołem rozsiadła się znowu.

— Już dwa miesiące temu, jak mór przedostał się za szczyty — spokojnym, poważnym głosem odezwał się starzec. — Lud Memela przerażony rozproszył się, pociągnął nad morze, ale innemi drogami, ażeby omi-

¹⁾ Kniaź w gminie tunguskiej znaczy tyle, co u nas sołtys.

nąć miejsca kłęski. Tu nie macie ich co czekać. A mój obóz przybędzie wieczorem.

— Ach, Selticzanie, któżby wąpił, że ty przyjdiesz. Tyś mądry, śmiały; ty, my wiemy nie boisz się niczego... — wykrzyknął książę wyciągając rękę po dymiącą się fajeczkę sąsiada. Po twarzy starca przemknął cień.

— Nikt nie uniknie swojego przeznaczenia... — odparł chłodno.

— Aleś ty do szczęścia się urodził, Selticzanie! Ciebie Bóg kocha... Czyż nie tak? Padłóż u ciebie choć malutkie kozłatko, gdy naokoło całe stada gina?...

I znów zachmurzyło się oblicze starca.

— Kocha ciebie Bóg, Selticzanie!... — wzdychając, powtarzał książę.

— Kocha mnie dlatego, że starych przestrzegam obyczajów. Dobro moje nie powstało z łez ludzkich, ale dały mi je góry, skały, lasy i wody! — sucho odrzucił starzec.

— To prawda! I szciodrą była ręka twoja — podchwycili obecni. — W dni kłęski tyś podtrzymywał naród swój, dzielił się.

— A komuż łatwiej pomagać, jeśli nie tobie? Co ja mogę dać, na przykład? — ja, który mam tylko towary i długi? Czyż długi będę rozdawał na te ciężkie czasy? Zgoda... nic nie mam przeciw temu... wszak i jam Tunguz... Tylko co komu przyjdzie z moich śmierdzących długów? One nie rodzą reniferów... — zakończył, śmiejąc się książę.

— To prawda! zginiemy bez ciebie, Selticzanie!... Od kogóż dostaniemy?... Kto posiada liczniejsze od twoich

stada? Kto lepsze ma serce?... Czyj ród znamienitszy i bogatszy? Czyi synowie zręczniejsi strzelcy i udatniejsi myśliwi? Czyje córki, dorastając, przykuwają spojrzenia naszej młodzieży?... Czyżes ty nie najpierwszy pomiędzy nami? Kto nie cierpiał, nie lękał się, nigdy nie kłamał i nie oszukiwał, tak jak my, łatwo korzący się przed losem? Ty — Selticzanie! I gdzież się udamy, jeśli ty się nad nami nie ulitujesz? — wołali ze wszech stron.

— Bóg widzi, że się podzielę z wami! Po tom tu przyszedł! — odpowiadał wzruszony starzec.

— Tumara!... Tumara!... — wołał tymczasem książ, szukając opowiadającego — a ty kończ swoją historię! Zobaczysz, Selticzanie, co będzie dalej.

Znowu zapanowała cisza. Tumara, siedzący w pierwszym rzędzie radzących, prawą ręką pogładził się po prawem uchu i, pomilczawszy chwilę zaczął opowiadać:

— Mówiłem wam już, jak straciwszy renifery wzięliśmy na plecy rzeczy nasze, dzieci i zawrócili w doliny. Dzieci nam chorowały od zgniętego mięsa i rychło pomierały. Myśmy także postabli od tego pokarmu. Ale co w taki czas znaleźć może myśliwy w pustyni..

— To prawda!

— Niebawem zabrakło zupełnie pożywienia. Zjedliśmy wszystkie nasze zapasy i skórzane wory, i stare rzemienie, i zatłuszczone fartuchy kobiet. Nic już nie zostało, co mogło mieć smak. Czyż my, koczujący w górach, z głodem się nie znamy? A i Tumara czyż był ostatni wśród »dobywających?«

— Pierwszym był!... — zaświadczyli słuchacze.

— Ale tymczasem stała się rzecz taka... Dużo nas było, a pozostało tylko czworo: ja, żona, syn i córka.

Szliśmy wciąż, spragnieni widoku ludzkich twarzy... Wstępowałyśmy do wszystkich znanych miejsc, do wszystkich starodawnych legowisk i wszędzie znajdowali wystygłe popioły ogniska... Ludzie pouciekali, przez niebezpieczeństwo rozpędzeni... My w naszej wędrówce coraz bardziej oddaliliśmy się od nich...

A kiedy, spuściwszy się z gór, ujrzelśmy drągi namiotów, skórą nie pokryte, siły nas opuściły... Mimo to jednak szliśmy dalej, nie ustawali w szukaniu. Nie tak to łatwo bowiem człowiekowi wyrzec się życia i umierać w śniegach, nie dawszy żadnej wieści o sobie... Grzebaliśmy w śmieciach, rozrzucałi wilgotny popiół zimnych ognisk, szukając okruszyn jądła, a ogryzaniem kości, porzuconych przez psy, podniecaliśmy jeszcze nasz głód. Aż przyszło do tego, żeśmy nie mogli patrzeć bez drżenia na własne nasze dzieci pełne ciała i ciepłej krwi. »Tumara, dla ocalenia rodziców niechaj umrze dziewczyna« — powiedziała nakoniec żona. Żal było dziecka; patrzyła na nas, nie rozumiejąc. »Talo«, mówi jej matka, według starego obyczaju, kiedy ród ginie, naprzód umiera córka...«

— Racya!... — potwierdzili słuchacze.

— »Idź, Talo, umyj się w śniegu i po raz ostatni wyjrzyj na świat boży...« Dziewczyna zrozumiała i chciała uciekać, ale ją zatrzymali; więc płakała i prosiła: »Zaczekajcie do wieczora; Bóg może co ześle... Ja chcę żyć... ja się boję!...« Więc my czekali i wypatrywali. Dziewczyna co chwila wychodziła z namiotu, dłonią osłaniała oczy i spoglądała w stronę lasu, a za nią za każdym razem szła matka, nóż schowawszy w rękawie. Zaczynało już szarzeć. Dziewczyna coraz częściej wy-

chodziła i coraz dłużej wystawała w progu, a ja leżałem w cieniu, oczekując co z tego będzie. Nagle słyszę na dworze krzyk... Serce zamarło we mnie. Wchodzi żona z nożem w rękę i zatacza się, jak pijana... »Zabiłaś?!...« »Nie, Bóg ulitował się, — mówi — zwierz idzie lasem na dwa stąd strzały!... «Porwałem się z miejsca i z synem wybiegłem za drzwi. Pod namiotem siedziała dziewczka, z wyciągniętymi przed siebie rękami, a w lesie, niedaleko stał zwierz...

— Stał zwierz!... — powtórzyli słuchacze.

— Czyliż trudno myśliwemu zabić pasące się zwierzę? Ale członki moje wyschły od głodu, żyły osłabły od męki i, skradając się do zdobyczy, ledwie mogłem utrzymać broń w trzęsących się piszczelach. A kiedy ugodzony kulą zwierz zaczął uciekać w krzaki, jak wilki rzuciliśmy się za nim... I tak, Bóg pomógł — zostaliśmy przy życiu, aby znów jutro umierać...

Tumara umilkł, głowę spuścił i znowu prawą ręką pogładził się po prawem uchu. Otaczający milczeli. I w owej chwili nateżonej uwagi wydało im się, że słyszają plusk każdej oddzielnej fali w rzece, uderzenie każdej gałąski w lesie wichrem kołysanej. Nagle, w pośród tych jednostajnych dźwięków zabrzmiał inny, odrębny odgłos, który wszystkie twarze rozjaśnił, wszystkie głowy obrócił w tę stronę, skąd dolatywał.

Syn Selticzana, młody Miore, pochylił się do ojca i szepnął:

— Ojczy, nasi idą!...

— Tak, idą!...

Rzeczywiście nadchodził tabor.

Starzy pozostali na swoich miejscach, ale młodzi

jeden po drugim wysuwali się z koła, gromadnie zbierając się na skraju zarośli, skąd lepiej było widać cały oddział, ukazujący się w skalistych wrotach doliny.

Przodem, na ciemno-płowym reniferze jechała młoda dziewczyna. Bogato srebrem ozdobiona jej odzież kazała się domyślać, że kochaną i pieszczoną była w rodzinie. W rękę trzymała »oszczep-palmę«, na głowie na rozpuszczonych włosach miała przepaskę, wyszywaną kolorowymi paciorkami. Jadąc, oczyszczała drogę, ścinała gałęzie i sęki, które mogły zaczepić o juki lub odzież postępujących za nią. Kiedy podnosiła oręż, promienie słońca płomiennymi błyskami odbijały od stalowej powierzchni jego ostrza, które chwilę, jak błędny ognik, unosiło się nad jej głową, następnie spływało wzdłuż połyskującego srebrem fartucha, aż wreszcie, rzucone wprawna ręką, ginęło w kępach zieleni.

— Choka!... Chogaj!... — wykrzykiwała zachwycona młodzież.

Dziewczynie towarzyszyły dwa czarne psy, które to wybiegały naprzód, to wracały się, wszystko oglądały i obwąchiwały, niczego nie pomijając. Za nią długim szeregiem szły objuczone renifery. Na niektórych siedzieli ludzie; kobiety stare i młode, niedorostki, dzieci; te ostatnie na wierzchu jak w workach przywiązane, tłuste, grube, nieruchome, prawdziwe bożki domowe.

Na samym końcu karawany dwóch uzbrojonych łowców pędziło przy pomocy psów stado nieobjuczonych bydła i samic z kozłętami.

Hałas, tętent i wrzawa, strwożone pochrząkiwania samic reniferowych, poszukujących zagubionych w odmęcie kozła, brzęk dzwonek, grzechotanie kołatek,

zawieszonych na szył przodujących zwierząt, krzyki ludzi, nawołujących się lub porządkujących stado — cały ten wir kipiącego, bujnego życia, rozgłosnem echem napelnił dolinę, zlewając się w uszach słuchaczy w jedną znaną pieśń szczęścia i dostatku w wolnym, koczowniczym bycie.

Patrzącym rozgorzały źrenice i, niezdolni powściągnąć wybuchu uczuć, zaczęli głośno wypowiadać wrażenia swoje, wywołane obrazami i twarzami, przesuwanymi się, niby niknące cienie.

— Ot, stara Nioren!

— Dzielna starucha!

— Takimi były dawniej wszystkie Tunguzki.

— Tak powiadają...

— Patrzcie, jak zręcznie kieruje reniferem.

— Wielka rzecz!... Mówią, że niedawno Selticzanowi urodziła syna... — to lepsze.

— Nic w tem niema szczególnego... żona Majan-tylana — starsza, a urodziła także...

— Cicho! Patrzcie, Sala, synowa starego, o której śpiewają pieśni.

— Alboż ich nie warta?

— Prawda i to!...

— Gadajcie, gadajcie, a jak Miore usłyszy, to wam da!...

— Cóżto nam zrobi?... Nie boim się go...

— Patrzcie, patrzcie!.. Laubzal!... Zleci!...

— Naprawdę!... renifer dzikowaty... niepotrzebnie posadzili malca!...

— Zuch chłopak!.. zobaczycie, będzie miał stary z niego pociechę...

— A Czun-Me?...

— Hm!... Czun-Me... Czun-Me... — westchnęli niektórzy, szukając spojrzeniem dziewczyny ze stalowem ostrzem nad głową.

— Mówią, że książę chce ją swatać dla syna...

— Ech! nie da mu stary ulubionej córki, nie da...

Kiedy przejeżdżał starszy syn Selticzana, znakomity myśliwy, znany pod przydomkiem »Odblask lodów«, rozmawiający z uszanowaniem zamilkli.

A kiedy zniknął w krzakach ostatni ren karawany i kołyszące się gałęzie lasu zamknęły za nimi, Selticzana podniósł się z miejsca, lekkim skinieniem głowy pożegnał obecnych i odjechał. Znaczyć to miało, że wszystkich wkrótce oczekiwać będzie u siebie.

Wieczorem dokoła rozbitego namiotu starca dużo zebrało się ludzi; zeszli się prawie wszyscy chwilowi mieszkańcy doliny. Gospodarz kazał zabić kilka reniferów i przyjmował gości. Po tak długim poście, najadłszy się do syta mięsa i tłuszczu, uczujący z lekkomyślnością prawdziwych Tunguzów, zapominając o minionych cierpieniach, zaczęli tańczyć i przyspiewywać wesoło:

»Chugaj — chegij! chegij! — chyjra!

»Chyjra — chumgoj! Chumgaj — choka!

»Chaka — echando! — charga!...

»Chorgo — czoo... o... cza!...«¹⁾

Starzy, siedząc u ognia, przypatrywali się bawiącym i w takt poruszając głowami, wtórowali:

»Chugaj — chegij! chegij! — chyjra!

¹⁾ Znaczy — łado-łado! dana! dana! przyspiewek.

— Jak myślisz, Oltungaba, a może Bóg cofnie karzącą rękę i pozwoli wesołości powrócić między góry? — zapytał Selticzian, zwracając się do jednego z gości, jak miedź ciemnego, jak mech pomarszczonego starca.

— Życie nasze, Selticzanie, to cień padający na wodę — odpowiedział w zamyśleniu Oltungaba. .

* * *

Następnego poranku ludność doliny w niezwykle uroczystym obudziła się nastroju. Dzień zapowiadał się bogatym w wydarzenia. Czas był przesłiczny, niebo czyste, błękitne, chmur ani śladu.

Kiedy zgromadzeni na wiec zajęli swoje miejsca: starsi i dostojni członkowie rodów w pierwszym szeregu, młodzi z tyłu za nimi, a dzieci i kobiety jeszcze dalej poza obrębem koła, Oltungaba, ulegając wielokrotnym zaproszeniom, wszedł w środek i, kłaniając się przemówił:

— A więc, bez względu na moją starość żądacie?..

— Do kogóż zwrócić się mamy?

— Są młodsi, potężni wróżbici!..

— O, Oltungaba! Któż z nas śmiały prorokować w twojej obecności!.. — wołano ze wszech stron.

Starzec milczał i na wzburzoną gromadę z podobą patrzył.

— Ty się wahasz... a dla wielu ostatni to, być może, nastąpił dzień.

— Nie o sobie ja myślę, ale dawne na pamięć przywodzę obyczaje... Cóż wam powie język mój?... Trudny dzień potrzebuje trudnego, a ciężki ciężkiego...

I poco nadaremnie budzić niebezpieczeństwo!... Jeśli nie znajdzie się mążny, mnie umierać przyjdzie?!

— Niechaj wszyscy pomrzemy!... Wszak ty nam dobrze życzysz, Oltungaba?... Myśmy już postanowili...

— Niechże więc tak będzie! — zgodził się nakoniec wróżbita po krótkiej chwili namysłu.

Dwóch najznamienitszych czarodziejów podało mu czarodziejski kaftan z długą frendzlą i mnóstwem metalowych godeł i brząkał. Rozpuszcili następnie siwe włosy starca i włożyli mu na głowę rogatą żelazną koronę. Jednocześnie podżyły Tunguz, paż wróżbity, suszył przed ogniem bęben. Kiedy wysechł dostatecznie i wyprężył się, uderzeniem pałeczki spróbował jego sprężystości: ponury, znany odgłos poruszył echa doliny i przerwał rozmowy. Wówczas na środku koła rozpostarto białą reniferową skórę, głową obracając ją ku południowi. Stary siadł na niej, zapalił fajkę i, połykając dym, zapijał go wodą; potem resztkami tej wody bryzgnął na wszystkie cztery strony świata i, obróciwszy się twarzą ku słońcu, wpadł w zupełną nieruchomość. Długo tak siedział ze spuszczoną głową, włosami spadającymi mu na oczy i wzrokiem, utkwionym w oślepiająco białe wierzchołki gór. Nakoniec lekki dreszcz wstrząsnął jego ciałem, przykra czkawka wydobyła się z piersi. Dreszcze i czkawka powiększały się stopniowo, aż przeszły w nieustające, trochę udane, a trochę rzeczywiste konwulsje i jęki. Wśród otaczających dały się słyszeć łkania.

Starucha jakaś padła, wijąc się w kurczach.

Jednocześnie tuż obok czarownika na ziemi pojawił się mknący cień czarny — między nim a stojącym

na niebie słońcem zawisł orzeł. Przejmujący krzyk rozdarł powietrze. Tłum ludzi pochylił się, jak trawa, wichrem porwana.

Kto krzyczał?... Czarownik, czy orzeł? — Nikt nie wiedział.

— Niedobrze, niedobrze... — szeptali ludzie.

— Cicho!

Uderzono w bęben: silny, posepny odgłos kilkakrotnie jak grom zahuczał.. Orzeł uleciał w dal.

I znowu zapanowała cisza... Przerzywały ją tylko niewyraźne mamrotania czarownika... Po chwili, niby z oddalonego lasu, niby z głębin rozpadlin górskich, zaczęły płynąć pojedyncze dźwięki i zlewać się w jakieś harmonijne brzęczenia, niby szmery pszczolnego roju, luźń ówiania nawołujących się ptaków. To Oltungaba potrzasał dzwoneczkami. Stopniowo dźwięki rosły, wzmaczały się, przybliżały, przechodząc w szum wodospadu w plusk deszczu, lejącego strumieniami, a w pośród nich coraz częściej odzywały się głuche, bolesne westchnienia. Nagle bęben został podniesiony w górę... Straszliwie wstrząsany, gradem sypiących się razów zalewany, zaręczał on, jak stado drapieżników na widok łupu.. i w jednej chwili mistrzowską ręką na miękką rzucony skórę, umilkł, chociaż drgać nie przestał.

— O, Goloronie!... — jęknął wróżbita, twarz zakrywając rękami.

I znowu cisza. Słyszeć tylko było czkawkę, poziewanie i niewyraźne mamrotanie czarownika; taka, jak poprzednio, muzyka i także odzywały się westchnienia Górą, ponad tymi dźwiękami, płynęły naśladowania zmieszanych krzyków orłów, jastrzębi, wron i czajek.

które, niby krążąc stadami, wrzeszczały i krakały naprzemian z niezrozumiałymi zakłęciami wróżbity, niby, poruszone nadziemskim widokiem czegoś groźnego, spieszyć chciały powiadomić o tem panów swoich, w powietrznych przebywających światach.

Stopniowo zakłęcia stawały się wyraźniejszymi, słowa — zrozumialszemi, aż wreszcie z ust wróżbity wybiegła pierwsza zwrotka hymnu:

- »Czy słyszycie szum od morza?...«
- O, tak! — odpowiedział paż.
- »Ja, który jestem pierwszy wśród stworzenia...«
- Zaiste — potwierdził paż.
- »Ja wśród wybranych najpierwszy...«
- Zaprawdę — powtórzył paż.
- »Niech przyjdą pałacy, jak tarcza słoneczna!...«
- Niech przyjdą!
- »On sam, podobny chmurze... Kruk ognisty poprzedza go...«
- «Dziecię zagadki!...«
- Dziecię zagadki...
- »Ja syn twój... Ja marny, stopami depcący ziemię, błagam ciebie!...«
- Błagam!...
- »Pomóż słabemu sercu w tej trudnej drodze...«
- O, pomóż!...
- »Bęben — mój zwiastun, a wiatr — moje skrzydła!...»
- Prawda...
- »Do was zmierzam, otoczony wieńcem skrzydlatych i niespokojnych...»
- Skrzydlatych i niespokojnych...

- »Szpony ich rozwarte — gardziele naprężone...«
— Naprężone...
— »I góry jęczą, a drżą wnętrzości ziemi...
— O!...
— »A ja wciąż idę, nieśmiały, ale niepowstrzymany...«
— Zaiste...
— »Obrońco mój — panie mój, wołam ku tobie...«
— Dobrze...
— »Przecz ja z cierpiącego narodu!...«
— Czyż nie...
— »Potężny dopomóż, rozgniewany ocal, groźny —
ulituj się!...«
— Prosimy!...
— »Jeśli błędę — nie daj zginąć na bezdrożu!...«
— Nie daj!...
— «Ocal zbłąkanego, prowadź mnie...
— Idziemy...

Podniósł się starzec, a ożywiając się coraz więcej, zaczął tańczyć.

Taniec wyobrażał pochód. Czarownik niezwykle mi wyrażeniami opisywał napotymane przeszkody i obrazował je giestami. Paż, wtórując, szedł za nim, chwilkami podtrzymywał go za łokieć. Tak doszli do celu — do kresu. Uroczysty, spokojny, podniósł wieszczbiarz milczący swój bęben ku niebu i zaśpiewał:

»Ty, Etygar, wężowi podobny, w podziemnych krajach żyjący, władający powietrzem, chorobami i samą śmiercią.

— O, Etygar!...

»I ty, Iniany, podobny do człowieka z ogromnymi skrzydłami, ty, chroniący od zguby stada...

— Iniany!...

»I ty, Arkunda, obdarzony mocą jasnowidzenia!...

»I ty, Nomandaj, którego przerażający krzyk w łód serce zamienia!..

»I ty, żelazno-pióry Ławadabaki!...

»I ty, którego poznajemy tylko po cieniu!...

»Pytam was, czego potrzebujecie i jaka waszego gniewu przyczyna?...

»Powściągnijcie podwładnych waszych; wstrzymajcie prześladowanie wasze! Czyż nie widzicie, że giniemy, a jeśli zginiem, kto składać wam będzie ofiary?

— Kto będzie?...

»Ku wam idę, w długim zaplątawszy się odzieniu, bezbronny!... Latami przygarbił się mój grzbiet; oczy szeroko rozwarte nie widzą.

— Prawda! — pochwyił znowu paż, który był umilkł, nie śmiać powtarzać wszystkich groźnych zaklęć.

»Idąc ku morzu i wracając do morza, koczujem...

— Zaiste...

»Wy lubicie czarne renifery, lubicie pstre renifery. Czyżby wam one przestały już się podobać?...

— Czyżby przestały?

»Cha! cha! cha!... Tańcząc, zapomnieliście o nas, a weselać się, ominęli nas...

»Żądacie może drogich futer, srebra, szklanych upiększeń, barwistych sukien, słodkiego ciasta, wódki?...

— Co za pyszności!... — cmokał paż.

»Głupcze! Cóż znaczy dla potężnych zabrać choćby wszystko!...

»Wybierzcie więc z pośród nas dziewczkę, która

nie poznała mężczyzny, a my ją naznaczym i żaden młodzieniec nie dotknie się jej...«

Milczenie.

»O, Goloronie ognisty, przeleć nad ziemię, zwiastując!...

Milczenie.

Oltungaba uderzył w bęben i wśród sypiących się i jak grom huczących razów dały się słyszeć urywane, groźne i jakby z daleka płynące słowa:

»Zbywające psom dają! Niech się naród upokorzy, człowiek posłusznym będzie. Inaczej pogina podobni mgłę porannej.

— Och! Cóż my dać mozem, nie posiadający niczego?...

— »A więc ja wam powiem, jak dawniej bywało; niech będzie ten, który jest dumny; ten, który jest bogaty; czyi synowie — to strzały lecące, a córki to — piękności; kogo kochają wszyscy, czyje myśli dobrotliwe, rady mądre, serce mężne, ręka szczodra, dusza dobrego życząca... My chcemy widzieć grozę przerażenia, błądź oblicza, lzy ostatecznego rozstania...

Oltungaba umilkł i bęben upuścił.

— »Nie! — wyrzekł, zamyśliwszy się chwilę — imienia ja nie powiem... Powiedzieliby może: Oltungaba zazdrosny. A mnież krew ludzka na co? Czarownikowi nie potrzeba nic więcej prócz bębna. Ja już wszystko powiedziałem...«

Pobieźnie dokończył reszty obrzędu i ponury, wyczerpany zajął swoje miejsce w szeregu widzów. Dla niego i dla szanowniejszych gości podano herbatę, dla innych zaś młodzież niezwłocznie zaczęła bić renifery

i stawiać na ogień kotły. Wszystkiemu temu nie towarzyszyła jednak wesołość i ożywienie, jakie w podobnych razach opanowują zazwyczaj siedziby tunguskie. Obecni rozmawiali z wielką powściągliwością, zniżając głos do szeptu prawie. Względem rodziny Selticzana, zachowywali się z wyróżniającą grzecznością, a na gospodarza starali się nawet nie spoglądać.

Selticzana, jak gdyby niczego nie spostrzegając, był spokojny i uprzejmy, jak zwykle, próbował nawet związać rozmowę z Oltungabą, ale czarownik milczał pośpnie; wówczas starzec zaczął głośno rozpowiadać, jak to się ten rok przeżyło za górami. Posypały się różne anegdoty myśliwskie, które opowiadał z takim humorem i dowcipem, że wkrótce otaczały go same śmiejące się i rozweselone twarze.

Tylko Miore, najulubieńszy syn jego, stojąc za ojcem, ponuro spoglądał na wszystkich.

Powoli zapanował zwyczajny przed jedzeniem nastrój umysłów.

A kiedy wydobyto z kotłów aromatycznie woniące kawały mięsa, wszyscy już zupełnie o smutku zapomnieli; wówczas na chwilę zasepił się Selticzana, którego porzucili dotychczasowi jego słuchacze, a Miore, uważnie śledzący za ojcem, jeszcze się bardziej nachmurzył.

— Doprawdy, jak widzę, chcielibyście zjeść staro, — nie mogąc dłużej wytrzymać, bryznął chłopak gniewnie przechodzącemu Oltungabie.

Ten ze zdziwieniem i gniewem popatrzał na niego

— Młody jesteś i nieświadomy...

— No, dobrze, ale z tego nic nie będzie — odrzekł łowiec i, potrząsnąwszy głową, odszedł na bok.

Ta krótka rozmowa nie uszła uwagi innych i wywołała różne postronne gawędy.

Selticzian pod koniec uczty odzyskał zwykłą sobie uprzejmość, jak przystoi na gospodarza, ugaszczającego drugich i nie żałującego dobytku.

Ale kiedy wrócił do siebie pod namiot, nie ukrywał zatroskania swego i zamyślony siedział przed ogniem, na nic nie zwracając uwagi; nie widział nawet wieczery, którą żona przed nim postawiła.

— Jedz, Selticzanie!... Nie smuć się, panie nasz; my twoje sługi wierne... — przemówiła ona nareszcie, trącając go w ramię.

Starzec pytając wzrokiem powiódł po rodzinie, z miłością wpatrzonej w niego, i uśmiechnął się. Zjadł sporo i ze smakiem, gdyż, według wyobrażeń tunguskich, niema w życiu takiego wydarzenia, które byłoby w stanie odebrać tłustej reniferzynie jej smakowitość.

Następnego ranka wcześniej obudził się od innych, i, nie rozniecając przygaszonego ognia po raz pierwszy może od czasu, jak został gospodarzem, ostrożnie, nie budząc nikogo, pocichutku wymknął się z namiotu.

Słońce nie ukazało się jeszcze nad górami, ale świeciło gdzieś tam już nad ziemią. Jutrzenka znikła, a na nieboskłonie rozpostarło się światło dzienne. Gdzieś niedziedzie na powierzchni górskich śniegów, wśród błękitnawych cieniów rozpadlin, rysowały się złociste linie krawędzi. A tymczasem niżej, w dolinach wszystko jeszcze spało; spał las, we mgły spowity, spali pomęczeni

ludzie i ognie spały, zaledwie żarząc się w przygasłych ogniskach, i renifery po krzakach na mchach leżące i wieczorną przeżywające strawę; gulgotała tylko woda, płynąca w rzece, i kuropatwy górskie krzyczały na się, opuszczając rosą pokryte nocne legowiska i wzlatując już na oschłe wierzchołki drzew.

Starzec długo i uważnie przypatrywał się znanej dolinie. Nagle zadrżał: w oddaleniu przed jednym z namiotów ujrzał stojącego człowieka, który także zdawał się przyglądać okolicy. Bystry wzrok Selticzana poznał Oltungabę, a namiot należał do kniazia. Starzec zachmurzył się i wszedł do domu. »Wstawajcie, dzieci! Ej! Czun-Me! — rozpal ogień... Dość już spania w taki dzień!...«

Wszyscy zerwali się i zakrzętnęli, opanowani trwogą. Starzec z upodobaniem przypatrywał się, jak od wieków ustanowionym porządkiem; obecni bez żadnego gadania rozdzielili między siebie zajęcia: kobiety stawiały na kominie czajniki i kotły, wynosiły na dwór pościele; mężczyźni, opatrując rzemienie i broń, gotowali się iść w las przeglądać stada. Ruch się uspokoił, kiedy podano herbatę. Poważnie zasiedli wszyscy dookoła deski, służącej im za stół, ale, że gospodarz milczał, nikt nie śmiał rozmawiać: wszyscy jednak, nie wyjmując starej Nioren, byli wzburzeni. Młode kobiety i dziewczyny z niewypowiedzianą trwogą spoglądały na starego ojca. Miore zasępioły był i gniewny, a »Odblask lodów« z uszanowaniem, nie pozbawionem jednak pewnej ciekawości, przyglądał się starcowi.

Selticzana, napiwszy się herbaty, zjadł cokolwiek i wypalił fajkę, poczem odezwał się do młodszego syna:

— Idź, chłopcze, obejdz ludzi!...

Miore nie ruszył się z miejsca.

— Czy słyszysz?!...

Dopiero za powtórnem groźnem wezwaniem chłopak podniósł się i zaczął zapinać switę, ale zamiast iść, nagle rzucił się do nóg ojcu:

— Tyś postanowił... tyś postanowił!... O, ojcze, nie opuszczaj nas! Rodowi nie zgadzają się... Ja mówiłem wczoraj z młodymi, oni rzekli: niech wyzdychają wszystkie nasze renifery, my żyć będziemy przemysłem... A jeśli już tak chcą koniecznie, to... niech zarzną tłustego kniazia!...

— Głupiś, dziecko moje!... — uśmiechnął się starzec. — Nie wiadomo jeszcze, co zrobię, ja chcę zobaczyć naród... Idź, mówię tobie...

— O, panie nasz, dlaczego nas łudzisz nadzieją?...

— Nie paplaj! powiedziałem już!...

— Nie puszczą nas, uchoźmy lepiej pokryjomu.

— Powiedziałem już!... — uparcie powtarzał stary.

— O, ojcze! uciekajmy, uciekajmy... — prosili, wyciągając do niego ręce, ale starzec uderzeniem nogi w pierś odepchnął od siebie Miorego, najnatarczywszego ze wszystkich i krzyknął:

— Przekłete kruki, przestańcie szarpać serce moje!...

— Istotnie — odezwał się »Odblask lodów«, dotąd pośepnie milczący — dlaczego Miore nie słucha, kiedy ojciec rozkazuje? — Chłopak, który, jak upadł, tak leżał i płakał, podniósł się i w milczeniu opuścił namiot.

* * *

U słupa na dolinie znowu zebrał się naród. Zeszli się wszyscy, od małego do największego. Uzbrojeni, w najlepszą odzież przybrani, rozsiedli się kupkami według rodów, świecąc w słońcu ozdobami, popisując się wzorzystymi futrzanemi sukniemi, opuszonemi długimi frendzlami.

Bawili się, mocowali, a niczem nie zdradzali, po co tu przyszli.

Ród Selticzana wyróżniał się wpośród innych do-
borem broni, bogactwem odzieży, siłą, zręcznością i du-
mną niezawisłością postawy. On sam siedząc na czele
swoich, wielką na wszystko dawał bacność.

— Osłabł naród, zmarniał... — odzywał się od
czasu do czasu. — Takież było pokolenie Tumara? Gdzie
Leljel, nie ustępujący w dzielności naszemu rodowi?
Gdzie Nilken?...

— Jak ty nas opuścisz, i my osłabniem i rozpro-
szym się — odpowiadali mu rodowi.

— Po mnie zostanie ›Odblask lodów‹ — nie syn
mój, ale towarzyszył!...

Smutniały twarze należących do rodu Selticzana,
a starzec, patrząc na nich, ociągał się.

Wśród zgromadzonych tymczasem coraz większe
zapanowywało wzburzenie, chodziły jakieś dziwne, głu-
che pomruki. I tak się jakoś stało, że ród Selticzana
coraz bardziej się wyosabniał. Nikt do nich nie pod-
chodził, a za zbliżeniem wszyscy milkli. Miore jednak
i kilku jeszcze młodych, nie zrażając się tem, wciąż się
snuli pomiędzy gromadami.

Wieczorem rozeszli się wszyscy, ale wzburzenie
nie uspokoiło się, przeniosło tylko pod namioty, doo-

koła oddzielnych ognisk. Do późnej nocy siedzieli Tun guzi i rozmawiali półgłosem, zaniepokojeni zjawieniem się każdego obcego. Niektórzy z nich ostrzyli oszczepey.

— Taki człowiek nie umiera bez wypadków! — mówili.

Na trzeci dzień stawili się wszyscy w pełnem uzbrojeniu.

Wielu młodych wojowników przyniosło z sobą kopie i, opierając się na nich, stało poza kołem. Narady nie były rozpoczęte, ale wśród tłumu krążyły burzliwe szmery namiętnych, powstrzymywanych wybuchów. Co chwila spojrzenia wszystkich zwracały się na Selticzana, który, wspaniale odziany, siedział wpośród wzruszonych członków swojego rodu, sam jeden spokojny i pogodny.

— Czyż pozwolimy się staremu oszukać?... — szeptali inni.

— Czyż pozwolimy, żeby nas stary oszukał?... — zapytywał książę, przechodząc od jednych do drugich.

— Cóż to? — zapytali go w jednej gromadzie — myślisz może, że ci łatwiej zawładnąć będzie córką, jak starego nie stanie?... Nie spodziewaj się, nie odda wam jej nigdy »Odblask lodów...« Nie zapomni on tobie tej sprawy...

— Jakiej sprawy?!... Bogdajby wyzdychały wszystkie moje reny, bogdajem do końca życia na jednym pozostał miejscu, jak ruski w drewnianym domu, jeżeli to prawda... — zaklinał się książę — Oltungaba nie taki człowiek!...

— Oltungaba wódkę pije!...

Kniaź, zmieszany, nie wiedział zrazu, co odpowiedzieć.

— Głupcy!... — wykrzyknął nakoniec i, gładząc się po obu uszach, pobiegł poskarżyć się innym.

Wszystko to jeszcze większe spowodowało wzburzenie i wywołało gadania, które przedostały się nakoniec między Selticzanych krewniaków do uszu Miorego.

— Ojczy, ciebie oszukują... — namiętnie wykrzyknął młodzieniec, podchodząc do niego. — Ty chcesz umierać, a to wszystko robota kniazia: on przekupił Oltungabę! On myśli, że jak ciebie nie stanie, nie będzie jemu równego pośród nas... Ojczy, błagam ciebie, wstań spokojny i uchodź!... Namioty nasze zdjęte, młodzież gotowa, renifery posiadlane; zanim się obejrzą, my będziemy w górach. A choćby się i spostrzegli, czyż my nie dzieci twoje?!..

Zasepiło się oblicze Selticzana.

— Niech pozwą Oltungabę, niech będzie sąd! — zawołał wstając.

— Oltungaba!... Oltungaba!... — podchwyciły liczne głosy z rodu Selticzana.

— Oltungaba!... Oltungaba!... — wołano zewsząd.

Posępny, jak mech ciemny, jak gołąb siwy, starzec niechętnie wszedł w koło.

— Czy prawda, żeś brał od kniazia podarki?... Żeś nas dla miłości jego oszukał?... — krzyczeli wszyscy.

— Czekaście, niech mówi jeden. Czyż nie widzicie, że ja mam tylko dwoje uszu, gdzie się nie zmieści sto głosów...

— Niech więc gada jeden!

Wystąpił jeden z najszanowniejszych naczelników jednego z najpotężniejszych rodów, siadł i zaczął robić pytania:

— Brałeś podarki?...

— Jakże nie miałem brać. Czyż to ja nie żyję z dobroci ludzkiej? Czyż mi ich nie dawał i Selticzani i ty? Dawał i kniaź, ale o nic nie prosił i ja niczego mu nie obiecywałem... Czyż to nie grzech przypuszczać?... Czyż można mówić coś podobnego?... Toć człowiek umierać będzie!... Wstydźcie się!... Ludzi spytajcie!...

Wezwano świadków, wezwano kniazia; wszyscy stanęli cokolwiek wylekli pośród groźnego koła. Ale badania niczego nie wyjaśniły; dowiedziano się tylko, że Oltungaba odwiedzał namiot kniazia, tak jak i drudzy i korzystał z jego szczodroblowości.

Kniaź zaklinał się, oba uszy gładził obiema rękami i z nadzwyczajną skwapliwością niezwykle szeroko opowiadał o swojej bezinteresowności, swoich zasługach, swojej gorliwości w interesach plemienia wobec władz i swoim poświęceniu szczególnie... w sprawie płacenia podatków.

Oltungaba opowiadał pogardliwie i monosylabami.

— Nie wierzysz mi, Selticzanie — zwrócił się nakońiec do starca. — Zapomniałeś, jakem ja ciebie kochał i uczył, kiedyś był chłopcem? Jakem ci radził w kłopotach, opowiadał o dalekich krajach, o starych dziejach... Czyż ja nie byłem rówieśnikiem twojego ojca?... jego przyjacielem wówczas, kiedyś ty jeszcze czołgał się po ziemi? A potem, kiedyś ty wyrósł, czyż nie pyszniłem się tobą, a ty, czyś rad moich nie słuchał? Kto wśród nas najpierwszym był wojownikiem i łowcem?

Czyja mowa mądra była i przezorna?... Ty, Selticzanie, zawsze byłeś prawdziwym Tunguzem; my wszyscy o tem wiemy.. a czyż za prastarych czasów na śmierć szli najgorsi? Przysięgam, starcze, tobie i całemu narodowi, że powiedziałem prawdę. Powiedziałem, co mi głos z nieba przykazał!... Bogdajby twarz moja wykręciła się na plecy moje, a ciało wyszło, jak liść tytuniowy... bogdaj wypadły moje oczy, a żyły osłabły, jak złe wysuszone nici... i... niech zgorzeje ręka moja, jak gorzeje serce od poniewierki... — tu szybkim ruchem włożył rękę w płomień ogniska.

Wszyscy z miejsca się porwali, a Selticzanie odtrącił starca od ognia.

— Oltungabo, przebacz i wy obecni, przebaczenie!... — odezwał się wzruszony. — Grzech o złe posądzać!... Ja odejdę... jam już postanowił, narodzie mój!... Odejdę wezwany... Gdybym został, wybyście odejść musieli... cóżby to więc warte było?... Jedno jajko zawsze zgnije... Czy człowiek może być człowiekiem bez reniferów? Czy Tunguz może być Tunguzem bez Tunguzów?... Ja odejdę, ale pamięć o mnie zostanie z wami!... Bywajcie zdrowi!... Niech rozmnażają się stada wasze!... Niech dzieci wasze wyrosną na mężów!... Niech radość nie omija namiotów waszych!... Niech w kotłach waszych nie zabraknie pożywienia, w rogach prochu, a w sercach dobroci!... Ja odchodzę, ale myśli moje łagodne, jak promienie zachodzącego słońca... Już idę!... Narodzie mój, żegnaj cię!... Żegnajcie!

Szybkim ruchem rozerwał na piersiach wzorzysty *datys* i po rękojeść wbił sobie nóż w serce.

Stał chwilę, gasnącym wzrokiem wodził po wszystkich, potem zachwiał się, potoczył — i upadł.

Tłum jednym ogromnem odezwał się westchnieniem.

Oltungaba pośpiesznie przykląkł obok umierającego, obnażył jego pierś i, oparłszy dłoń prawej ręki około rany, lewą wyciągnął ku słońcu i zawołał:

— O ty, bóstwo, ponad wszystkimi stojące!... Pomóż nam!... Obroń nas!... Nie najostatniejsi my, nie najpodlejsi jeszcze, jeśli takie wyhodowaliśmy serce!...

— Takie serce!... — jęknął tłum.

Im wszystkim, nawet tłustemu kniaziewi, zdało się w tej chwili, że serca ich biją taką samą gotowością ofiary, jak to, które stygło pod dłonią Oltungaby.

— Ten był wojownikiem!... — szepnął po chwili wieszczbiarz i na twarz, drgającą kurczami konania, narzucił podniesiony z ziemi >dałys<.

Irkuck, 2 marca 1893.

W MATNI



I.

W głębi ciemnej jurty jakuckiej, na niskiej drewnianej ławie, pod ścianą, naprzeciw ognia leżała chora kobieta. Zajmowała najlepszy kącik w izbie, najsuchszy i najjaśniejszy, gdzie zwykle sypiają gospodarze domu. Otaczano ją taką troskliwością, na jaką tylko stać było mieszanców jurty; zimne ściany nad jej pościelą zasłonięto białym futrem zajęczem, a samo pościele ułożono niezwykle wysoko i miętko.

Ogień tlił się na kominku. Na tle brudno-rdzawego zmroku izby jasno odcinało się tylko białe łożo chorej i biała jej postać. W cieniu, na uboczu, głowę i ręce wysunąwszy na światło, siedziała na pieńku Jakutka i szyła obuwie. Miarowo szeleściły żyłne nici, przeciągane przez skórę. Chora oddychała ciężko i głośno. W kącie, jak amor gołe, jakuckie pachole bawiło się z pięcioletnią dziewczynką po europejsku ubraną. Dzieci budowały coś z patyczków i rozmawiały przyciszonym głosem.

— Gospodyni... gos-po-siu!... — z trudnością przemówiła chora.

Jakutka z niechęcią położyła robotę i wstała poprawić ogień.

— Toch nado?

— Popatrz... wyrzyj!... Nie gniewaj się, że tak często... ale boję się, że nie doczekam... Czy nie widać jeszcze?

Dzika pochyliła się nad chorą i wpatrywała się w jej twarz wychudłą: starała się odgadnąć, co mówiła po wyrazie oczu, po ruchu ust, gorączką spieczonych

— Ach, nie rozumie... Co za męka!

— Toch?... Toch skazywaj... — pytała Jakutka.

Chora wskazała drzwi.

— Eng... eng!... — kiwnęła głową, poprawiła kołdrę i poduszki, które się osunęły i wyszła.

W jurcie zapanowała zupełna cisza; nawet dzieci umilkły i oczy na drzwi zwróciły. Chora leżała bez ruchu; głowa jej opadła na bok, oczy zamknęły się, długie rzęsy rzucały cień na zapadłe policzki. Płomień ogniska, porwany podmuchem wpadającego przez otwarte drzwi powietrza, buchnął jaśniej i jaskrawym blaskiem oblał białe futro na ścianie, fałdy i zagięcia pościeli i na poduszce rozsypane, gęste, złote włosy, niby nimbus otaczające twarz chorej. Na maleńkim stolyczku, tuż u wezłowania, polyskiwał złoty zegarek, stały szklanki, flakoniki i rozmaite podrózne drobiazgi.

— Zosiu, chodź tu... Gdzie jesteś?... — szepnęła chora...

Dziewczynka podniosła się, otrzepując sukienkę.

— Tu jestem, mamusiu.

Pobiegła do matki i położyła kędzierzawą główkę na jej poduszce. Mały Jakut wstał także i poszedł za

nią; oparł się o krawędź pościeli i jął skubać koronkowe obszycie poszewek.

— Boli, mamusiu? bardzo boli?... — pytała dziewczynka, wpatrując się w twarz matki.

— Niema tatusial... nie przyjeżdża... — skarżyła się chora.

Skrzypnęły drzwi; na progu ukazała się Jakutka.

— Musi być oni... Nikt inny być nie może... Dwóch jedzie!... — krzyknęła radośnie — swegom poznała... Jeszcze daleko: z tamtej strony jeziora!

Chora poruszyła się gwałtownie i szeroko rozwarła duże, gorączkowe błyszczące oczy. Jakutka pojęła, że jej nie rozumieją i ruchami zaczęła objaśniać, pokazując na dłoni, jak stąpają konie.

— Jeden — mój chłop, dwa — twój chłop — powiedziała po rosyjsku.

— Jadą!... nareszcie!... Gosposiu, zabierz ot to... prędzej! — zawołała chora, pokazując rozrzucone rzeczy. Wzruszona podniosła się na postaniu.

— Uczesz mię... Zosiu, daj grzebień... Umyj dziecko...

W jurcie zapanował ruch. Ale podróżni byli jeszcze daleko, więc kobiety zdążyły wszystko załatwić, nim oni przyjechali. Chora uczesana, w czystym białym kaftaniku czekała długo i już ją siły opuszczać zaczęły, gdy na podwórzu zatętniały kopyta końskie, zabrękały wędzidła, rozległ się szmer głosów i kroków ludzkich.

Drzwi rozwarły się szeroko i w kłębach mroźnego oparu ukazał się na progu wysoki mężczyzna. Stał

przy drzwiach i jął śpiesznie szarpać rzemienne pętlce swojej podróźnej odzieży.

Jakutka dorzuciła drew na ogień.

Chora w skupieniu wpatrywała się w tę postać niezgrabną, od stóp do głów zaszytą w puszyste, śniegiem usypane futra.

Nareszcie kaptur, zakrywający twarz przybyłego, zsunął się na ramiona i drogie, dawno niewidziane oczy spojrzały na nią z wyrazem posępnej trwogi.

— Widzę cię więc... widzę!... — szepnęła, wyciągając ku niemu ramiona.

Reszta odzieży w jednej chwili znalazła się na podłodze i przybyły ukląkł przy łożu chorej.

— Ukochana!... odważyłaś się więc!...

— Nie mogłam dłużej... nie mogłam — szeptała, a łzy jak grad płynęły po jej twarzy...

— Dlaczego nie uprzedziłaś? przyjechałbym do miasta. Wyobrażam sobie, jak cię zmęczyła droga.

— Pisałam kilkakrotnie i z miasta i z drogi. Wiadocznie nie otrzymujesz wszystkich listów... Spieszyłam się... Tutaj, powiadają, nastanie wkrótce wiosenne bezdroże, a latem do ciebie dostać się niepodobna, chyba konno lub piechotą... Czy nie tak?... Oni tak mówili... W mieście zaczęłam chorować... Tam epidemia... dyfteryt... Bałam się o Zosię... Bałam się, że... ciebie mogę już nie zobaczyć...

Lekki rumieniec oblał jej przeźroczystą twarz uśmiechnęła się i położyła kształną, wychudłą rękę na kędzierzawej głowie męża. On zdjął tę rękę i przycisnął do piersi.

Cóż?... nie pytasz o córkę?... Zosiu, chodź.. przywitaj się z ojcem.

Mężczyzna wstał i z pewnem zakłopotaniem powiódł wzrokiem dookoła. W kącie izby wpośród gromady Jakutów stała jego dziewczeczka. Spotkawszy się z wejrzeniem ojca, twarzyczkę odwróciła i cofnęła się w tył.

— Zosiu, nie bądź dzika! — rzekła matka.

— Chodź do mnie córeczko, — odezwał się ojciec.

Dziewczynka nie ruszyła się. Wówczas podszedł i chciał ją wziąć na ręce, ale dziecko z krzykiem odskoczyło od niego.

— Nie ruszaj mię — zawołało. — Mamo to nie tatuś... zupełnie niepodobny... Nie taki, jak na portrecie... Boję się!... Ubranie brzydkie... Broda duża!... On obcy!... Jakut!...

Schwycił ją na ręce i począł całować. Dziewczynka płakała i wrywała się; żeby ją uspokoić posadził na pościeli, przy matce.

— Nie dziw się Olesiu, — rzekła chora — zmieniłeś się... I ja dostrzegam w tobie coś nieznanego...

— Czyż ta kruszyna może mię pamiętać? Nie miała przecie pół roku...

Przy boku matki dziewczynka powoli zaczęła odzyskiwać śmiałość. Na rzęsach błyszczwały jeszcze łezki, ale twarzyczka wypogodziła się i wielkie, błękitne oczy zwróciły się na ojca z wyrazem badawczym, prawie wyzywającym.

— Istny portret mamuńci.

— Nie zupełnie... Podbródek i czoło twoje, tylko oczy może...

— A czy grzeczna? czy posłuszna? — spytał Aleksander, pieśczośliwie biorąc dziecko za rękę i zamieniając z żoną znaczące spojrzenie.

— Dobra dziewczynka... Ubrania nie drze, nie bzdzi; przy myciu nie płacze... Prawda, Zosiu?... Mój Boże znowu...

I zaniósł się kaszlem głuchym, do jęku i do bólu.

Aleksander zerwał się, ale nie wiedział co robić. Dostrzegła to gospodyni, podbiegła, objęła w pół ciała i ostrożnie położyła jej rękę na piersiach. Atak się skończył. Nareszcie ucichła i osłabiona upadła na podłogę. Twarz jej stała się woskowo bladą, na czoło wystąpiły duże krople potu, a w piersiach, konwulsyjnie dyszący wrzało i skrzypiało. Aleksander błady stał obok z dłońmi na ręku. Dzieweczka już się oswoiła i bawiła puklami jego włosów. Chora otworzyła oczy, spostrzegła to i uśmiechnęła się blado.

— Nie bój się... To nic... Będę zdrową... zolaczysz... Byłoby zbyt okrutnie... Będę zdrowa... wówczas Olesiu, wszystko pójdzie, jak z płatka... Pisałeś, że masz domek... Czy i ogród?... Siadaj, opowiedz!... Domek, czy jurta?... Czy duży?... Czy tylko jeden pokój?... Może trzeba będzie przerabiać?... A czy masz obórkę?... krowę trzymasz?... Zobaczysz, jak ja prędko wyzdrowieję świeżem powietrzu i mleku... Moje cierpienia w znacznej mierze spowodowane są zgryzotą i niepokojem... Wszak byłam silna, pamiętasz, i taka zdrowa!... O Boże!... co mię karzesz!...

Znów kaszleć zaczęła. Aleksander ostrożnie podtrzymał ją i podtrzymywał. Tym razem atak był jeszcze

silniejszy i trwał dłużej. Na końcu z flegmą buchnęła krew.

— Ratuji!... doktora... — jęczała chora, wpatrując się w męża gasnącym wzrokiem.

On milczał posepnie. Do miasta było trzy dni drogi. Żaden lekarz nie zgodziłby się jechać tak daleko na prywatne wezwanie.

— Albo weź mię do siebie!...

Nie odpowiedział także. Było to również niepodobieństwem.

Jechać trzeba było przeszło 100 wiorst drogą złą i mało uczęszczaną. A w domu jeszcze gorzej było niż tutaj. Ona nie wiedziała, nie domyślała się nawet, jak on żył, bo całej prawdy nigdy jej nie pisał. Tam, u niego zupełnie było pusto! Tutaj przynajmniej byli ludzie. Można było kupić masła, mleka, świeżej śmietanki... Chora tem tylko żyła, zwilżając od czasu do czasu spieczone wargi.

Żona milczenie jego zrozumiała i domyśliła się wszystkiego.

— Nie trzeba, najdroższy... nie trzeba... Tak tylko powiedziałam. Czy ja wiem, gdzie dogodniej!... Do miasta — tydzień drogi, a za tydzień — umrę... W domu pewnie nie przygotowane... Nie pomyślałam... Cierpienie umysł mąci... Drogi bym nie zniosła... Po doktora któżby pojechał?... Ty?... Nie, ciebie ja nie puszczę... Ani na chwilę nie puszczę... Dość długo... Tyś mój... teraz wyłącznie mój... Wszak prawda?... Tyś tu nikogo nie kochał?... — pytała przyciszonym głosem.

On rękę jej tulił do piersi i odwracał oczy — napełnione łzami.

— Ty płaczesz?... Myślisz, że niema nadziei?... A więc niech się stanie, co się stać ma... wcześniej, czy później... Nie żałuję, że przyjechała... Czułam, że koniec blisko... Ach, gdyby rok!... choć jeden rok, choć miesięcy kilka... z tobą, razem przepędzić... wróciłoby wesele i zdrowie. I szczerze byłabym wynagrodzoną za wszystko... Tak tęskniłam... tak pragnęłam ujrzeć choć raz... choć na krótką chwilę... Trwożył mię też los Zosi... Nie miałam jej komu zostawić... Krewnym nie chciałam... Wychowaliby ją na twego wroga... Ograniczeni i nienawidzą ciebie... Oschłe serca... Ty ją wychowasz w niedostatku, ale w otoczeniu prostem... wśród przyrody i pracy... wyrośnie na człowieka... jak ty — czystego i niezłomnego... To dobre dziecko... ma serce i główkę... kochaj ją... Ach, znowu w głowie się mąci...

— Za dużo mówisz, wypocznij. Posłuchaj, ja opowiadać będę.

— O, tak, opowiadaj! O sobie powiedz. Czyś tęsknił?... Czyś wspominał... Czyś spodziewał się nas zobaczyć?... Co za szczęście!... gdyby wróciło zdrowie... Serce tak rwało się do ciebie!... Opowiedz, jak spędziłeś cały ten czas... Coś robił... Czy zboże siejesz?... orzesz?... Sam orzesz?... Zchłopiałeś?... O, ty, mój chłopie!... Ja też chłopką się stanę... zobaczysz... Tyle spokoju, co przy pracy na roli...

— Zboża jeszcze nie siałem... Jakuci bardzo niechętnie dają ziemię. Już od roku staram się o nią i proszę daremnie... Władza obiecała przynaglic ich...

Chora uważnie spojrzała na męża.

— Czyż to Jakuci dają ziemię, a nie rząd?...— spytała.

— Owszem, rząd daje. Ja powinienem otrzymać

piętnaście dziesięcin ziemi zdatnej do uprawy, jako pozabawiony praw i skazany na osiedlenie. Ziemia tu uważana jest prawie za własność rządową; Jakuci są tylko dożywotnimi dzierżawcami... ale cóż z tego: faktycznie oni nią władają i nie chcą, — rzecz prosta, ustępować...

— Czy mało mają? nie wystarcza dla nich? Można by przecie wziąć w dzierżawę — przekonać ich wyperswadować... Bo cóż ty zrobisz, jeśli nie dadzą?...

— Nie jest tak źle, Julio... Dajmy pokój... nie mówmy o tem — przerwał niechętnie. Bądź tylko zdrowa, a wszystko się ułoży...

Julia wpatrywała się w niego wiarą i miłością.

— Wierzę. Ty zawsze znajdziesz sposób wyjścia. Czy masz towarzysza w bliskości? Pisałeś, że gdzieś za Ałdanem. Co to za Ałdan?

— To wielka rzeka, wpadająca do Leny. Bardzo piękna rzeka. Chata moja stoi na samym jej brzegu. Najbliższy towarzysz mieszka na przeciwnym brzegu, o wiorst piętnaście. Ale on należy do innej gminy. Razem nas nie osiedlają.

— Ale widujecie się?... Widywać się wam wolno?...

— Widujemy się... niekiedy... Obecnie on u mnie mieszka... Pocziwy, bardzo pocziwy...

— A przedtem byłeś sam?

— Sam.

— Pomyśleć, serce się krwawi... całe dni słowa do nikogo przemówić!... Nieraz w myśli widziałam las śniegiem zasypany, małą chałupkę z blade migającym światłem wśród nocy, jak wieczność długiej, a w tej chałupce ciebie... samego — godziny, dni, tygodnie całe...

Jakżeś musiał tęsknić!... Teraz nie będziesz sam!... — zakończyła, chwytając go za rękę.

— Teraz ty będziesz ze mną... Wyzdrowiejesz... pewny jestem. Klimat tutejszy surowy jest, ale jednostajny, a głównie niezmiernie suchy. Chorych na piersi nie spotkałem między krajowcami... A co za powietrze w mojej sadybie!... Co tam za gaj modrzewiowy! Dwóch chłopów drzewa nie obejmie. Dokoła sosny, jodły... W górach rosną cedry... Będę przynosił do domu gałązki... Aromat ich leczy podobno... Chata nasza będzie pachnieć, jak pałac wschodni... A w lecie, jak tam cudnie! Od rzeki wieje chłód. Zwierzyny, ptactwa — moc. Założymy ogród, kupimy krowę... Będzie wszystko, jak ty zechcesz... Będziemy żyć jak chłopci... a ludzie... Bóg z nimi...

Chora usnęła, ukołysana jego szeptem.

— Cudzoziemcze, kolacya podana — wezwała go gospodyni.

Ostrożnie oswobodził palce z uścisku Julii i poszedł do stołu, gdzie siedziała już Zosia i Jakuci. Głodu nie czuł, tylko straszne zmęczenie, będące następstwem nie tyle drogi stu-wiorstowej, odbytej konno i pośpiesznie, ile tylu silnych i niespodzianych wrażeń. Siadł około Zosi i opiekował się nią, ale sam niczego nie tknął, i nie odpowiadał nawet na pytania Jakutów.

— Kiedy myślisz wyjechać? — zaczął go gospodarz.

— Nie rusz go... biedaczek!... — westchnęła gospodyni.

— Alboż ja go wyganiam... Tak tylko spytałem... przez ciekawość.

Po wieczerzy Aleksander wziął dziecko na kolana.

— Cóż, Zosiu, spać ci się chce?... A gdzie ty

z. sypiasz?

10. — Z mamą.

15. — Teraz ze mną spać będziesz. Czy zgoda?

20. Dziewczynka kapryśnie wydeła usteczka.

25. — Bądź grzeczna. Z mamą nie można. Mama
30. chora. Ja ci rybkę za to złapię, maleńkie kaczątko,
35. jak do domu pojedziemy, zobaczysz... Chodź, dziecko
40. moje... — I nieznacznie, opowiadając rozmaite historye,
45. zaczął jej zdejmować trzewiczki, pończoszki, rozpinąć
50. ubranie.

55. — Mama powiada, żeś ty, tatusiu, dobry — szcze-
60. biotała dziewczeczka, obejmując szyję ojca gorącemi, pul-
65. chnemi rączkami. Ani myślała zasypiać. W białej ko-
70. szulce, różowa, śliczniutka kręciła się u niego na kola-
75. nach, zarzucając go pytaniami. By ją do snu prędzej
80. skłonić, Aleksander położył się sam obok i nie spo-
85. strzegł się, jak zapadł w sen kamienny.

90. Zbudził się nagle z uczuciem przerażenia, z zamę-
95. tem w myślach, z sercem ciężkiem, jak ołów. — Co to
100. mogło znaczyć? i gdzie on się znajdował? zapytywał
105. siebie i wodził oczami po grubych belkach nisko zwie-
110. szającego się pułapu. — Nie u siebie, to pewna... Może
115. u którego z kolegów... Na kominie słabo tleje ogień...
120. ktoś mówi... Jakuci?... Jął się wsłuchiwać w szmer
125. głosów.

130. — Wszystko umie. Po jakucku gadać — mistrz!
135. Konno jeździ, kieruje, sieci zarzuca lepiej, niż Jakuci.
140. Wszystkie ziemie, wszystkie drogi poznał — wielki
145. łowiec!

— A czemużby nie miał być? Myślę, że książę nie próżno oni czytają! Czy łagodnego jest obyczaju?

— Grzech skarżyć się! przedtem był dobry pałak tak powiadali ludzie z Ałdanu, a tu, gdy w okolicie przejazdem się zatrzymywał. Płacił... zawsze płacił. Al dzieci i żona zmieniają ludzi.

— O tak! A pani? czy dużo pieniędzy przywiozła

— Musi być przywiozła. Ma piękną odzież, złoty pierścionki, zegarek... Pani jak się należy... południowo

— Czy myślisz, że umrze?

— Pewno. Bardzo się męczy. Żonę moją siłą pozbawiła, razy dwadzieścia w nocy wstawać zmusza. Podtrzymywać trzeba; dusi ją. Taka wielka pani bez podtrzymywania nie może...

— Gdy umrze, to pamiętaj kumie, zawołać mięczy trumnę robić, czy mogiłę kopać... Nie zapomnij. Cudzoziemiec dobrze pewnie zapłaci... Oj zapłaci!... ni wykręci się!...

— Cicho, zdaje się nie śpi.

Głosy umilkły. Aleksander uniósł się na poście i jął przysłuchiwać się innym cichszym dźwiękom. Choroszeptem siliła się objaśnić coś Jakutce.

— Julio, powiedz, czego ci trzeba, ja przetłómacz

— Nie śpisz już? Nie kazałam cię budzić, zmęczony jesteś. Powiadają, żeś usnął w ubraniu.

— Jakże się czujesz?

— Lepiej, mój drogi. Mówią, że dzień piękny; zawsze wtedy mam się lepiej. Powiedz gosposi, proszę aby poszukała w rzeczach rondelka z pokrywką i ugotowała w nim mleka. Chcę cię ugościć kakao, dawaj pewnie nie piłeś... Sama z przyjemnością wypiję fili

żankę... Będzie ucza — roześmiała się. — Czuję się dziś tak dobrzel... Dzień, dwa, a ruszamy w drogę.

Istotnie, do samego wieczora nie było zmiany w stanie chorej. Otucha wstąpiła w serce Aleksandra. Odważył się nawet wyjechać po wino do miejscowego protojereja. Wina nie dostał, bo go nie było, ale napisał list do towarzysza i dowiedział się, że oczekują »zasiedatiela«, z którym może i doktor przyjedzie obejrzeć ciała Tatarów-osiedleńców, którzy w tajemniczy sposób — wraz z domem spalili się w jego noslegu¹⁾.

— Zanocuj pan. Koń wypocznie... A będzie zamieć, wierzaj mi; ja, stary człowiek, znam się na tem. Pogwarzylibyśmy przy samowarze i buteleczce. Słyszałem, że niedaleko od pana był tajemniczy pożar.

Aleksander słyszał istotnie jakąś posępną plotkę, ale ponieważ przyjął sobie za zasadę nie rozmawiać nigdy z »osobami« o jakuckich sprawach, więc nic nie odrzekł. Zamieci zaś nie lękał się, choć go istotnie zaskoczyła w pół drogi.

Nizko zsunęły się ciężkie chmury, wiatr wzmógł się i zahuczała burza. Świszcząc, podniosły się tumany śniegu, wiatr porwał je, zmieł na pył i rzucił nim o las z jękiem się chylący. Okolica zatoneła w mlecznym odmiecie.

Aleksander nasunął na twarz kaptur, poprawił się na siodle i wolno puścił cugle koniowi. Koń kroczył

¹⁾ Nosleg — jednostka jakuckiego samorządu, odpowiadająca gminie włościańskiej. Jakuckie osady nie tworzą wsi, ale oddzielne kolonie, rozrzucone częstokroć na olbrzymiej przestrzeni. Są gminy rozległości naszych powiatów, nawet gubernii.

śmiało — od czasu do czasu uchylał głowę, by obwąchać drogę lub o kopyto oczyścić śniegiem zabite nozdrza. Do domu mieli niedaleko; droga nie rozdwajała się nigdzie: zbłądzić było prawie niepodobna. Jeździec, jak żółw w skorupie zamknięty w swej futrzanej odzieży, zamyślił się głęboko, ukołysany szumem zawieruchy. Przed oczami miał obraz jurty jakuckiej, gdzie w purpurowym blasku ogniska umierała jego żona... Po co ona przyjechała?... po co?... po co?... Zginie, a śmierć jej na jego pozostanie sumieniu. Dlaczego nie wyrzekł się jej zupełnie?... Jeśli szczerze pragnął, by o nim zapomniiała, powinien był zniknąć zupełnie, zerwać wszelkie stosunki, nie pisać, na listy nie odpowiadać! — On zaś nie tylko pisał, ale całował papier, którego miały dotykać się jej ręce... dusza jej odczuła to, widać... w zimnych rozumowaniach, którymi silił się dowieść jej konieczności wiecznego rozstania, domyśliła się utajonego wołania... Przyjechała i... ginie!... A może!...

Fala gorącej krwi spłynęła mu do serca. Nie dokończył myśli przez zabobonną trwogę... Nie śmiał marzyć...

Koń, który cały czas szedł szybko, stanął i głośno zarżał... Aleksander drgnął i spojrział w dal. Otaczał go mrok gęsty, wśród którego hałas śnieżny ocean, ale jemu się zdało, że w zwichrzonych tumanach mignęły czerwone iskry, a wiatr przyniósł w odpowiedzi słabe echo rżenia. — Jurta musiała być już blisko. Otrząsł więc śnieg z odzieży i ściągnął cugle. Po kwadransie przywiązywał wierzchowca do słupa w podwórzu sadyby.

Chorą zastał znacznie gorzej. Nie zwróciła się nawet ku niemu, gdy wszedł, tylko zlekka poruszyła spu-

zoną na piersi głową. Siedziała pochylona naprzód mimo osłabienia, gdyż najmniejszy ruch w tył, wywołał okropny kaszel. Pot kroplisty oblewał jej ciało; spodyni wciąż musiała zmieniać na niej bieliznę i zarywała już zrzędzić. Aleksander pośpieszył zastąpić ją tem i teraz dopiero zauważył, jak Julia okropnie była wychudła. Wyglądała jak szkielet powleczonej białą, rzejrzystą skórą. Nie mogła mówić i tylko czasem abo ścisnęła dłoń jego.

— W tych dniach obiecują doktora — powiedział, przystając z chwilowej przerwy. Chora ostrożnie oparła się o poduszki.

— Nie warto... ja muszę!... Kochaj Zosienkę... Abyłko prędzej!... Boże mój!... jakże ja cierpię!...

I znowu krztuszenie się, od którego zdawało się, że pierś jej pęknie, kaszel, krew, poty, wreszcie zupełne wyczerpanie i woskowa bladeść twarzy. Tylko szeroko warte oczy płonęły wciąż, jak pochodnie; gdy zwracały się na męża, strach cierpienia mieszał się w nich łagodną tkliwością.

Minęła noc. Nad ranem chora usnęła. Aleksander uważał, siedząc przy niej na niskim stołeczku. Czuł się zbitym. Od widoku tych męczarni i jego rozboleła piersi, serce krwią nabiegło, głowę ścisnęła żelazna ręcz. Widział wciąż przed sobą zsiniałą twarz Julii oczami na wierzch wyszłemi. Nie wiedział już, czego ugnąć...

Ze zgrozą odpędzał od siebie myśl o końcu ostatnim, gdzie był chłód rozpacz i obojętność na wszystko.

— Słaby jestem, słaby, jak małe dziecko!...

Umarła nazajutrz, a on nie przyjął ostatniego jej technienia. Wyczerpany zdrzemnął się z czołem opartem o krawędź pościeli. Zbudziło go gwałtowne szarpanie.

— Umarła!... żona umarła... — szeptała wystraszona gospodyni...

Chora leżała na wznak, z głową spuszczoną na piersi, z oczami szeroko rozwartymi; martwą żrenicą patrzyła gdzieś przed siebie, a na rzęsach nie zaschły jeszcze łzy. Aleksander siedział, jak gromem rażony. Nic nie widział, nic nie słyszał, nie myślał, tylko ścigał jakieś urywki błędnych słów, lecących mu przez głowę niby liście, jesiennym wiatrem pędzone.

W jurcie zaś wszczął się ruch i po trochu zaczęli schodzić się ludzie.

— Cóż więc?... po duchownego posłać?... dół kopać. czy co? Trumnę każesz robić, czy jak? — pytali go.

On niecierpliwie, prawie z gniewem potrząsnął głową.

Strwożeni odstępili od niego. Siedział więc dalej bez ruchu, głowę nisko spuściwszy, tyłem zwrócony do obecnych. Na kominie ogień trząskał; ludzie chodzili na palcach, rozmawiali szeptem. Podano wieczerzę, przyniesiono pościelę: gospodyni rozebrała i ułożyła spać dzieci. Sąsiedzi znowu zaczęli się zbierać. Aleksander nie ruszył się.

— Ten cudzoziemiec zupełnie nie myśli grzebać żony! z rozpaczą wykrzyknął gospodarz.

— Cudzoziemcze!... panie cudzoziemcze!... Kogóż najmować będziesz?... Odpowiedz!... — zagadali obecni.

Aleksander podniósł głowę i westchnął.

— Nie smuć się tak! Młody jesteś, jeszcze się ożeni — pocieszała go Jakutka.

— Popa, myślę, nie będziemy sprowadzać... Daj mi i drogę zawiąło — doradzał gospodarz. — Tu blisko jest staruszek, co umie czytać modlitwy. Czyta wszystkich... u bogatych i u szanownych nawet czyta... paszport, po świece wysłę sąsiada... Potroskam się do ciebie, cudzoziemcze... Doprawdy żal mi ciebie... Taką ładną żonę straciłeś!... A dół wykopiemy z kumem do dółki... trumnę drugi kum zbije... Czy zgoda? Hę? Niech go weźmiemy... Jak myślicie ludzie?...

— Co się pytać... Czyż nie szkoda cudzoziemca?!

— Policzymy, co kosztować będzie — to lepiej: staruszek z modlitwą — pięć rubli... — zagiął Jakutka; — świece, paszport, kadzidło — dwa ruble tyle kosztować będzie... nie mniej!

— Skąd mniej! To już od wieków określona cena!...

— A teraz dół — piętnaście rubli, trunma — siedem, równo... trzydzieści!... Prócz tego...

Aleksander otworzył portmonetkę.

— Mam tylko dwadzieścia rubli.

Umilkli.

— Cóż pocniemy? Przecież mi jeszcze należy się za ciebie za mleko, za mięso... za kłopot też cokolwiek zarobować winienes. A bydłęcia czyż nie zabijem? temu, co trupa odziewać będzie, za pracę, czy nie damy?

— To ja sam — rzekł Aleksander i wargi mu drżały. — Nie trzeba też staruszka z modlitwą!...

— Dobrze, lecz wtedy ciała nie położymy na pierwszym miejscu pod obrazami, tylko koło drzwi...

— Połóżcie, gdzie każe!

— Nie, cudzoziemcze... Nie wolno!...

— Zobaczymy!

— A co, mówiłem — szepnął ktoś w dalszych szeregach. Gospodarz pogardliwie wydał usta.

— Skąpisz... dla swojej kobiety skąpisz... a ona, biedna, tyle tysięcy wiorst jechała... niczego nie szczędziła... życie postradała...

Aleksander przymknął oczy; kąty ust konwusyjnie mu drżały.

— A byczek?

— Byczka też nie trzeba.

Jakut w zakłopotaniu musnął się po brodzie.

— Co tego — to już nie można... Bez zabitego bydlęcia żaden Jakut człowieka chować się nie zgodzi... — wyrzekł gorąco. — Od tego kości za życia próchnieją... chorujemy... Wiesz co, cudzoziemcze, dam ci oskard, siekierę i wszystko — rób sobie sam... A kobietę twoją do spiżarni złożymy, gdyż wcześniej, jak za tydzień nie skończysz.

Aleksander chwilę rozmyślał. Istotnie nie skończy, szczególnie teraz, gdy czuje się tak słabym... Więc cały tydzień!... A Julię położyć w spichrzu, gdzie pył śniegowy sypać się będzie przez szczeliny na twarz jej i promienne oczy... Poczuł ból w piersiach, jak gdyby ktoś poruszył nóż ostry, w serce wbity.

— Pieniędzy nie mam. Chcecie, kwit dam...

— Co nam po kwicie! — Myślisz może, drogo żądam? Doprawdy tanio, prawie darmo. Samych tyleż kosztować będzie. Ile odzieży przytem porwać trzeba, pokarmu zjeść... więcej wydasz, niż dostaniesz... Zre-

sztą przez poszanowanie dla smutku twego... ustąpimy rubla.

— Powiedziałem, że mam tylko dwadzieścia.

— Więc sprzedaj rzeczy — odezwał się ktoś z obecnych.

— Zgoda! — kupcie więc zegarek...

Wyciągnął ku nim drżącą rękę z zegarkiem Julii na dłoni. Jakuci obstąpili go z ciekawością; najszanowniejszy przyłożył złote cacko do swych sterczących ciemnych uszów.

— Mówi... — szepnął z uśmiechem.

— Mówi?... — pytali inni i każdy chciał usłyszeć, co mówi, ale nikt nie myślał kupować.

— Chyba w mieście sprzedasz... miejskim Jakutom. Nam zaś potrzebna odzież, perkal, futra... Pierścionek złoty jeszcze kupić możemy...

Obrączki sprzedać nie chciał, ale otworzył im kufer. Otoczyli go tłumnie, zaczęli chwytac i pokazywać sobie różne rzeczy.

— Widzicie, suknia jedwabna. Co chcecie, cudzoziemcze, za jedwabną suknię?... Przerobić, będzie odzież dla człeka...

— Srebrne łyżki, ręczniki, pończochy...

— Cudzoziemcze, podaruj!... Na co ci to... przecie kobiece... Jabym zaniósł swojej babie...

— Cudzoziemcze, daj to...

— A może to...

— I mnie...

Aleksander odłożył niektóre z cenniejszych przedmiotów: łyżki srebrne, futro, szal i zamknął kufer. Suknię jedwabną podarował gospodyni.

— Byłaś dla niej dobra — powiedział.

Przy tej okazji Jakutka wyprosiła sobie jeszcze kilka drobiazgów.

Skończyły się wreszcie targ i umowy. Jakuci udarli w dłonie na znak zgody i rozeszli się. Gospodar położyli się spać. Aleksander został sam i jął odziewać do ostatniego snu swoją Julię. Starannie umył ją ciepłą i zimną, jak marmur, ubrał w najlepsze, jak znalazł rzeczy, fałdy i draperye, starał się ułożyć wdzięcznie i pięknie, jak niegdyś... Nie mógł przywyknąć do tej myśli, że ona już nie czuje i nie rozumie... Łazarz nabiegały mu oczy, gdy układał i prostował skostniałe jej członki — gotów był ryknąć płaczem i nad zimne jej ciałem chylił się nisko, jak drzewo pod burzę poddmuchem.

Minęła noc. O świcie przyszedli Jakuci-majstrowie i ciało przenieśli na ławę w przedni kąt izby — i w ścianie nad niem przebili dziurę, aby wpuścić strugę z mnego powietrza. Twarz umarłej pod lodowatym jej technieniem stała się natychmiast jak alabaster twarzą i przezroczystą. Następnie Jakuci zabili byczka i, wesoło gwarząc, poczęli gotować mięso, ciosać deski i robić trumnę.

Aleksander obojętnie przyglądał się ruchowi. Nigdy go nie zajmowało, nawet Zosia; ubrał i nakarmił dziewczeczkę, ale nie przemówił do niej ani słowa. Dzieciorz błąkała się z kąta w kąt wpośród Jakutów. Ci jedni powtarzali najnowsze plotki sąsiedzkie, naradzali się jak zbić deski, by trupa pomieścić, a sobie pracy oszczędzić, stukali narzędziami, sapali i pluli.

Wieczorem, gdy Aleksander położył się na tej s

mej ławie, na której umarła Julia, Zosia przysunęła się do niego.

— Tatusiu, ty już nie płaczesz? — zapytała.

— Chodź tutaj.

Dziewczynka wdrapała się pośpiesznie obok niego.

— Mama elbiut'... — rzekła po jakucku.

— Mama umarła — poprawił ją. — Teraz nie masz już nikogo, prócz ojca.

— Wszyscy Jakuci?...

— Są i towarzysze ojca, ludzie bardzo dobrzy, ale daleko... Między Jakutami także znajdują się dobrzy... Chcesz kochać ojca!...

Dziewczynka pochyliła główkę i z zajęciem zaczęła przyglądać się guzikowi u jego bluzy.

— Chcę! — szepnęła po chwili.

W ten sposób znowu zawiązała się przyjaźń między nimi.

Pogrzeb miał się odbyć nazajutrz. Wskutek zasp, utworzonych przez zamieć, nie można było trumny powieźć na saniach. Jakuci zawiesili ją na długiej żerdzi na sznurach i ponieśli na ramionach. Miejscami śnieg był po kolana, potykali się i przerzucali drąg z ramienia na ramię. Trumna kołysała się strasznie. Aleksander, idąc za nią z łopatami, słyszał jak ciało umarłej tłuło się w jej wnętrzu. Nareszcie dobrnęli do wzgórka pod lasem, gdzie było cmentarzysko; trochę drewnianych płyt i krzyży grobowych pod śniegiem, a na uboczu wązki, głęboki, świeżo wykopany dół... Ostrożnie, pokrzykując i udzielając sobie rad, zaczęli Jakuci spuszczać trumnę. Aleksander chciał ją otworzyć — by raz jeszcze

zobaczyć twarz zmarłej, ale Jakuci oparli się temu stanowczo.

— Co chcesz z nami zrobić, cudzoziemcze! Przecie i my mamy żony i dzieci!... Nikt nie sprowadzi na siebie nagłego nieszczęścia!... Otwieraj sobie, jeżeli chcesz, ale my odejdziemy... Nie wypuszcza się tego, co już raz zamknięte... Sam trumny do dołu nie spuścisz więc zostanie do wiosny!...

Był pewien, że spełnią pogroźkę.

Spuścili ją w dół i śpiesznie zaczęli zasypywać bryłami zamarłej ziemi, które z głuchym łoskotem rozbijały się o wieko trumny.

— Ostrożnie!... — krzyknął mimowoli Aleksander. Wydało mu się, że przebija deskę i ostrymi kawałkami lodu ugodzą w twarz i ciało Julii.

— Uspokój się cudzoziemcze!... Ludzie przecie jesteśmy... w Boga wierzymy... Przykryliśmy balami, jeżeli się należy... Spać będzie twa nieboszczka niby w kołysce...

Zręcznemi i zgodnemi uderzeniami szybko zapali dół, i zwrócili się do Aleksandra, który stał już odurzony.

— Cudzoziemcze... panie... chodź!... idziemy... śpij się... Grzech!... nie oglądaj się nazad!... — krzyczy spuszczając się ze wzgórza i w biegu łamiąc łopaty. Aleksander postąpił kilka kroków za nimi, lecz nagł wstrzymał się i zawrócił...

Słońce podniosło się jaskrawe, promienne. W chwili gdy odrywało się od horyzontu, z obu stron ukazały się dwa tęczowe jego widma. W powietrzu unosił się delikatny pył lodowatych igiełek — pozostałość wczorajsz

zamieci. Załobnie wyglądały lasy czarne, przez wiatr obdrapane. Śniegi dokoła były zdeptane. Na płaszczyźnie jezior i łąk wiatr wydał fale zmarszczek, podobnych do wzburzonych wód. — Na stokach wzgórków, wpośród krzewów, u przeszkód, które zmieniły kierunek wichury, piętrzyły się ogromne wydmy i zawały. Miejscami rozcinały je wązkie, niby pługiem rozryte wydmuchy. Ich wierzchy i krawędzie dymiły się z lekka: tam pełzał konający wietrzyk i zdmuchiwał puder z niedość ubitych śniegów.

Na podwórzu, przy jurcie, przekroczywszy przez ogień, zgromadzili się Jakuci i ostrożnie, z poza dymu spoglądali z trwogą na czarny punkt, widniejący na wzórku.

II.

Wiele mil przejechali podróżni głuchym, ciemnym borem, nim rozstąpiły się zwarte szeregi drzew, zmrok pobladł i obciążający konary puch śnieżny, stał się bardziej przejrzystym. Drożyna wyrównała się i wybiegła na obszerną łąkę, gdzie ostatnie cienie boru, wydłużone i rozjaśnione, kładły się na śniegi iskrzące w promieniach zachodu. Jasne blaski daleko za tajgą gasnącego słońca bieżyły w te tropy za podróżnymi, przedzierały się przez las, przez spletaną sieć gałęzi, po tajemniczych, okiem nie dających się dostrzedz drogach, złocąc w przelocie czarne kolumny drzew.

Koń Aleksandra niecierpliwiał się, wyrzucał głową, wstrząsał trendzlą, ale naprzód nie puszczały go sanie

z kibitką, obitą wołokiem, które ciągnął gruby byk. Na byku siedział zgarbiony Jakut w bufiastej sukman i nucił piosenkę. Obaj nie śpieszyli się wcale. Aleksander w zamysłeniu patrzył przed siebie, koniowi popściwszy cugle. Lecz gdy wyjechali z zarośli i ukazała się boczna drożyna, wiodąca na przełaj do małego domu pod gajem, Aleksander zręcznie wyminął Jakuta i w głębokim śniegu klusem pojechał w tę stronę. Jego wierzchowiec powitał dom kilkakrotnem rżeniem. Na podwórzu z radośnem skowyczeniem wyskoczył duży czarny pies.

— Ajaks!... dobry pies!... Poznał pana! — gadał do niego Aleksander, zsiadając z konia. Pies skoczył na niego na piersi i próbował liźnąć go po twarzy. Jednocześnie w drzwiach jurty ukazał się niewysoki, brodaty mężczyzna w ogromnej futrzanej czapce, futrzanem obuwiu i reniferowej burce, niedbale na ramiona narzuconej. Chwilę wpatrywał się w przybyłego, nim go poznał, poprawił okulary i podszedł żwawo z wyciągniętą ręką. Aleksander tę rękę w milczeniu uścisnął i dalej zdejmował juki i siodło.

— Czy pomódz? — spytał go towarzysz, trzymając się zdaleka od konia, który szczyrzył zęby i groził ukąszeniem.

— Lepiej nie, Jakóbie. Wrony złościć się zaczęły.

— Droga ciężka; schudł Wrony. Cóż żona?

— Żony niema, umarła... — cicho wyrzekł Aleksander.

— Umarła!... — powtórzył Jakób, cofając się na mowoli.

Aleksander głowę spuścił i drżącymi rękami od-
ał dalej popręgi.

— Umarła... — powtarzał Jakób.

Sanki wjechały w podwórze. Aleksander wyjął
ibitki owiniętą w futra dziewczynkę i poniósł ją do
ty. Jakób pośpieszył przymknąć za nim drzwi.

Rozebrali dziecko i postawili na ziemi. Tarła za-
une oczki rączkami i kaprysiła trochę. Aleksander
lakutem wnosili przywiezione na saniach rzeczy.

— Nie płacz, panienko! — perswadował jej łago-
ie Jakób.

— Mie jestem panienka!

— Ale herbatę pewnie lubisz i placek z masłem?...
raz dostaniesz, poczekaj!

Dziewczynka spojrzała na niego przez paluszki.

— Pan będzie towarzysz!

— Będę towarzysz! będę wuj Jakób!... Zgoda?

— Pocziwi ludzie?

— Najlepsi ludzie! Mądra jesteś, jak widzę!

— Siadaj-no do stołu, a ja tymczasem placek za-
iotę. Jak ci na imię?...

— Zosia!...

Pośpiesznie wdrapała się na wskazane miejsce
oparła łokcie na stole.

— Będiesz u tatki za mamę?... Czy może Ja-
tka jesteś? — dopytywała się, śledząc gospodarke
róża.

Twarz mężczyzny powlokła się smutkiem.

— Niezupełnie... troszeczkę!

— A ja jestem zupełnie córeczka... Doprawdy —
tem!... Tatusiu, on nie wierzy, głową kiwa!...

Aleksander, który wniósł właśnie z Jakutem ostatnie skrzynię, spojrzął na nich zamglonym wzrokiem i stanął u komina chmurny, milczący. Rozmowa urwała się

Uwagę Jakóba zajął całkowicie podpłomyk, który piekł się na żelaznym blacie. Od czasu do czasu spoglądał jednak ukradkiem na przyjaciela. Uderzyła go w nim wielka zmiana.

Śniada twarz porysowała się i zapadła, wężkie usta jeszcze się mocniej zacięły, podbródek naprzód wysunął, a duże ciemne oczy utraciły poprzednią żywość. Stał zgarbiony z rękami opuszczonymi wzdłuż ciała. Jakób nie śmiał ani go pocieszać, ani pytać, gdzie żona umarła, gdzie pochowana. Ten człowiek zawsze sam sobie wystarczał. Krępowala go przytem obecność przewodnika Jakuta.

— Co słyhać w domu?... Cóż Jakuci?

— A nic. W czasie twojej nieobecności nawet tu nie zachodzili. »Kapsie niema, herbaty nie daje!« Słyszałem tylko, że znów wypływa historia z Tatarami. Istne pantofle Abu-Kazema.

— Słyszałem i ja. Zasiedatiel przyjeżdżał?

— Nie, ale oczekują go... Czy masz zamiar pogadać z nimi?...

— Pójdę.

Jakób zamyślił się.

— Jakuci są bardzo wzburzeni... — odezwał się po chwili.

Aleksander wrzuszył ramionami.

— Cóż ja temu winien!

Przewodnik skończył pić herbatę i czekał na ob-rachunek. Aleksander wymówił sobie, że mu przedtem

pomoże załatwić kilka gospodarskich czynności. Miał zwieźć z jeziora lód na wodę, gdyż żałował konia, a czas już było lód tak umieścić, by nie stopniał na wiosennem słońcu. Wody ze śniegu lub z przerebli nikt tu nie używa do picia, gdyż cuchnie. Wziął więc Jakut swego wołu i sanie i spuścili się w wąwóz, gdzie leżały szeregi dużych kryształowych tafli, przygotowanych jeszcze z jesieni.

Zorza już gasła. Gwiazdy jarzące, tłumnie wyległy na niebo. Przy blasku ich pracowali długo. Po odjeździe Jakuta, Aleksander dobrą jeszcze chwilę sam kręcił się po podwórzu: przesuwał, ustawiał, otrzepywał, śnieg zrzucał ze stogu, jasła czyścił dla konia. Jakób podejrzewał go, że umyślnie nie wraca, by uniknąć rozmowy, gdyż niejedno mógł zrobić jutro. Nareszcie wszedł znuzony i okryty szronem.

— Tatusiu, spać!... — płaczliwie zawołała Zosia.

— Chciałem ją rozebrać, — rzekł Jakób — ale niegrzeczna... nie dała się... Cóż, wszystko skończyłeś?

— Prawie wszystko.

Wziął córkę na ręce i zaczęli szeptać coś z sobą tajemniczo. Jakób zamknął czytana przed chwilą książkę i w zamyśleniu patrzył w ogień. Aleksander znalazł się wkrótce obok niego. — Dziecko usnęło. Długo milczeli oba, nie wiedząc od czego zacząć. Wszystko wydawało im się tak błahe, a smutek jednego z nich tak ciężkim i nieuleczalnym.

— Nie smuć się! Czas wszystko złagodzi — szepnął nakoniec Jakób, kładąc rękę na ramieniu towarzysza.

Aleksander spuścił oczy, a wargi mu zadrżały.

— Tyś miał w życiu choć cokolwiek... Teraz ma córkę... Ja nic nie miałem.

— Daj pokój!

— Co zamierzasz robić?... Czy będziesz prosił aby przenieśli cię bliżej miasta?

— Nie sądzę. Nie myślałem o tem... Plany zostały też same: gospodarstwo... Co tu innego możebne?

Jakób spuścił głowę.

— Wątpię, czy dadzą ziemi...

— Wątpisz, czy tutaj dadzą, cóż więc mówić o okolicach podmiejskich...

— W pobliżu miasta więcej towarzyszy; łatwiej do stać co potrzeba, a teraz będzie ci znacznie więcej potrzeb.

— Rozumie się, byłoby lepiej. Ale co o tem mówić!... Nim przyjdzie odpowiedź na prośbę, minie mi się parę. Mogą odmówić... na pewno nawet odmówią a ja tymczasem stracę rok cały. Wiosna za pasem - znowu nic nie zasieję. Przytem przeprowadzka związana jest zawsze ze stratą... Nie można zabrać wszystkie drobniaków, na pozór nic nie znaczących, z których składa się gospodarstwo... Zresztą, jeśli mam ci prawdę powiedzieć, to wolę tu zostać. Tutaj, dadzą ziemi więcej, jeśli się dać zgodzą. Zbuduję młyn, zasiewać będę dużo i handlować mąką, na północ ją wysyłać. Konkurencji nie będę miał żadnej; wszyscy tu mielią zboż w ręcznych żarnach, sieją mało. Wszędzie ceny na mąkę wysokie; możnaby coś odłożyć na powrót.

— Więc ty myślisz tu tak długo pozostać? - z przerażeniem nieledwie zapytał Jakób.

— Kto wie?...

— Gospodarstwo może nic nie dać. Będziesz mu

trzymać robotników, starać się tanio kupić, drogo zedać i mało płacić. Nie lękasz-że się w tych wawkach ostatecznie zatracić... duszę?

— Co mi po niej?... A ty swojej nie zatracasz?...

Jakób chciał mówić, ale Aleksander przerwał mu wo.

— Mój drogi, oddaliśmy, cośmy mieli. Reszta na! Kruszyna tego zostało i... liche. Biorąc jałmużnę Jakutów, czyż nie stawiamy siebie w fałszywych wawkach? Czyż nie gubimy tej samej duszy, o którą się szczysz?

Jakób nie zgadzał się, lecz milczał. Wszak powtórzył ciągle w sporach, w rozmowach każdemu, kto miał słuchać: żyć jak pies, czego sam przykład dawał, nie nie prosić, żadnych szczególnych praw dla siebie czekać i... trwać, tylko trwać! Rozumiał, że było to i siły większości, mocno już znękaney. Te kilka rubli omogi rządowej nie wystarczały na najskromniejsze rzeby. Braki trzeba było głodem łątać, na co Aleksander obecnie w żadnym razie nie mógł się ryzykować. Pocóż więc spierać się i przykrość mu robić!

— Myślisz, że mi to już nie zbrzydło? — mówił jej Aleksander. — Ilekroć dziesiętnik przywiezie te wałki masła, mąki, mleka różnego gatunku, zebrane odrobinie od większych może jeszcze, niżli ja, biewów, czuję, jak gdybym został wypoliczkowany. Nigdy miałem odwagi sprawdzać, czy waga i gatunek odviadają obietnicom gromady. W rezultacie kniaziewie ziesiętnicy okradali mnie i gminę, dawali mniej, niż rali i zamieniali lepsze rzeczy na gorsze. Nigdy nie starczało! I co kwartał wojna o rozmiary jałmużny,

ten targ poniżający! Że Jakuci starają się zmniejszyć datki, to rzecz zupełnie zrozumiała. Takich jak my ma oni na karku setki, więc wcześniej, czy później, skończyć się to dla nas musi, nie z filantropii bowiem kamia oni osiedleńców, lecz z obawy, ze zwyczaju. Go przekonają się, że im od nas nic nie grozi, odmówi. Czy nie mieliśmy już przykładów? Czy nie odmówi tobie domu?... A ma się skończyć, to im wcześniej, te lepiej!... Teraz mam jeszcze środki, mam siły... Aby wyjść z błędnego koła prawie zawsze użyć trzeba trochę przymocy... A raz to konieczne, bo niema co rozważać, niema się co zastanawiać... Ja chcę wrócić do życia więc biorę ziemię. Niech się obrażają, później się przeproszą. Ja mam prawo do tego i nie ustąpię. Mam zresztą córkę, taką dobrą, jak i inne dzieci — zakończ tonem stanowczym.

Jakób siedział ze spuszczoną głową, Czuł, że między nimi zaczął się wznosić mur, którego żadne nie mogły obalić dowodzenia, milczał więc i było mu przykr

— Ognisko domowe!... zawsze i wszędzie to samo...-
rzekł sobie w duchu.

Nie rozmawiali dłużej i uściskawszy sobie dłonie poszli spać.

Aleksander jak zwykle wstał pierwszy. Sypiał mały Zajrzał do konia, rzucił mu siana, narąbał drzew, rozniecił ogień, czajnik postawił, ciasto zagniół na płacie a Jakób i Zosia wciąż jeszcze spali; siadł więc przy kominem i doglądał piekącego się podpłomyka. Ajał umieścił się tuż przy jego nogach, i zmrużywszy oczy odwracał od ognia dużą swą głowę. Nagle nastaw uszy, otworzył oczy i zawarczał. Drzwi zlekka stuknęły

— Trzymaj psa, cudzoziemcze!

— Cicho, obudzisz dziecko.. Ajaks pst?..

Zgarbiony i pokorny wszedł Jakut ubogo odziany, użną głową i niezwykle wypukłemi oczyma.

— Jak się masz? Co słysząc? Mów!.. Siadaj!.. —
a! go podaniem ręki Aleksander.

— Co ma być! Nic nie słysząc!..

— Cośkolwiek a słysząc! Siadaj.. Zasiadatiel był?

— Był — niechętnie odpowiedział Jakut. — Głupi
zie! bardzo głupi!..

Nieznacznie rozglądał się po jurcie swemi dziwnemi
yma, za które przezwano go »Żabie Okiem«.

— Dziewczyne przywiozłeś?— spytał, zniżając głos.

— Przywiozłem.

— Ziemi będziesz żądał?

Aleksander nachylił się i zaczął poprawiać placek.

— Myślisz, że ci żałuję? — rzekł Jakut — Bierz
sił starczy, będziesz miał dobry kawałek chleba...
mia tutaj urodzajna, oj, u-ro-dzaj-na!.. My, biedni,
się przy tobie pożywimy. Robota będzie, pieniądze
lą!..

— Słuchaj, »Żabie Oko«, nie wiesz, ktoby się zgo-
t zrobić koryto?... Takie duże, żeby można było dzie-
kapać, bieliznę prac...

— Takie koryto! możebym i ja podołał..

— A łódkę?

— Na co ci łódka? Drogo będzie kosztowała. Pra-
ziwej łódki nikt nie zrobi prócz Tusa.

— Płużysko wyciąłeś mi?

— Wyciąłem, schnie. Możesz zabrać.

— Przynieś mi. Teraz nie będę mógł czuć z domu wychodzić.

— O tak! Przyniosę. Słuchaj, Liksandra, moja bieta przysłała dla twojej dziewczyny gościńca. Dzień będzie tęsknić do mleka... Biedna sierotka!... — mów to, wyjął z pod poły nieduże wiaderko z kory brzowej i podał mu je.

— Ojczy, kto to taki? — zaszczębiotała rozdzona Zosia.

Siedziała na pościeli i uważnie przypatrywała Jakutowi. Ojciec wziął ją na ręce, zaniósł przed o i począł ubierać. Złociste włosy, koszulka europejska i biała, rączki pulchne i gołe, rumiana buzia, wszystko zaciekało sąsiada. Przysiadł się bliżej i czarnym zgrubiałym swym palcem dotknął ubrania i ciała dzie-

— Co ona jada? — spytał z namysłem.

— To samo, co i wszyscy.

— Och!... och!... — wzdychał. — Słuchaj, ciu ziemcze, czy nie przywiozłeś czasem soli i herbaty? Bardzo soli potrzebuję... Cieleńta mają biegunkę, zdechły.

— Soli sam potrzebuję. Nie byłem w mieście. Trzeba będzie poprosić Kapitona. Czy on ma mi nie wiesz?

— Kto go wie. Pewnie ma. Bogaci są ludzie, i się i myją!

Aleksander ubrał Zosię i obudził Jakóba.

— Wstawaj, śpiochu! Herbata na stole!

— Dawno już nie śpię — upewniał tenże.

— Ładnie nie śpisz! Takeś chrapał, że aż i...
Oko zląkł się, myśląc, iż to Ajaks warczy.

— Nie czekajcie na mnie.

Ubiarał się leniwie, a oni tymczasem zasiedli do stołu.

— Przyjdź później, Żabie Oko, proszę cię, i przyjdź z sobą drąg żelazny. Trzeba oczyścić przerębel... narzła w czasie mojej nieobecności. Siekierą wody dostaniesz... — mówił Aleksander Jakutowi na odrobinę. — Maję przyprowadź albo lepiej, przyszlizaj; muszę jechać do Kapitona.

— Nie zapomnij wziąć i dla mnie soli.

— Nie zapomnę. Maję wypraw natychmiast.

Wkrótce po jego odejściu zjawiała się Maja, dziesięcioletnia córeczka Żabiego Oka, ładna, ale strasznie udu i oberwana Jakutka.

— Dziecka i ja mógłbym dojrzeć! Na co tu ona?... — protestował Jakób.

— Pierwszy dzień — nudzić się będzie. Niech się obawia, pozna swoich sąsiadów, — tłumaczył się Aleksander. Kazał Majce umyć się, podarował jej swoją koszulę, z tym warunkiem, aby ją natychmiast włożyła i polecił nie odchodzić od Zosi. Dziewczynki wyprosiły sobie pozwolenie odprowadzenia go nad brzeg jeziora.

Dolina, w zachodnim kącie której stała sadyba Aleksandra, przedstawiała obszerną, podługowatą równinę. Jezioro długie, wąskie niby rzeka przedzielało ją na dwie części. Te, gdzie mieszkał Aleksander, prawie całkowicie wypełniał mokry »kałtus« z ogromnymi kępinami, wykładającymi z pod śniegu, niby okrągłe brukowce zlewybrukowanego placu. Na pierwszym brzegu jeziora rozciągały się gładkie, równe, jaskrawo białe przestrzenie łąk z rozległym widokiem na gaje, kępy, zarośla, a rozrzucone tu i ówdzie białe stogi w oprawie czar-

nych, otaczających je płotów. Ściana ciemnego boru jednolitem półkolem obiegała dolinę; ponad nią blademi liniami zarysowały się odległe góry. Gaj u sadyby Aleksandra nie łączył się z borem; stał oddzielnie niby piękny, leśny bukiet, rzucony na brzeg przepaści. Przepaść roztwierala się tuż za domem; na dnie jej płynęła rzeka Ałdan. Błękitne przestworze, wiszące nad nią, niby okno, rozrywało ciemny pierścień lasu, pozwalając oczom biedz dalej. Chętnie one zwracały się w tę stronę. Tam zawsze było inaczej! czy w czasie mgły, gdy białe podnosiły się opary, czy w zamieć, gdy kłębiły się płatki śniegu, czy—gdy błąkały się perłowe chmurki! Ale najpiękniejszym był błękit, jak lza czysty, przejrzysty, a nieprzenikniony i nieskończenie daleki.

Jezioro jednym końcem dotykało przepaści i groziło wylaniem się do niej w razie większego podmycia brzegów, drugim uciekało w lasy. Po tej stronie, gdzie stała sadyba Aleksandra, na trzy od niej staje, mieściła się nad brzegiem jeziora jurta Żabiego Oka. Droga do niej wiodła w zimie przez jezioro, po lodzie. Jurtę otaczały płoty i zabudowania. Od ocieniającego ją gaju wybiegał i ciągnął się wzdłuż jeziora rząd drzew, tworząc na żółtej tarczy »kałtusa« piękną, powietrzną kolumnadę. Między drzewami przyświecała płowa dal lasu i wijąca się pośród kęp wstęga głównej drogi.

W sadybie Żabiego Oka Aleksander napił konia i wyjechał na przeciwległe łąki, oblane jaskrawem światłem wiosennego słońca. Nad śniegami drżały tęczowe miraże silnie ogrzanego powietrza, unosiło się ciepłe tchnienie błękitów, gorzała ziemia w oslepiającym blasku od jej łona odbitych promieni. Wrony, zziębnięty,

niecierpliwie szarpał cugle... Aleksander popuścił mu wodze. Szybko przejechał łąki i mijał w pędzie nędzną wioskę, gdy wywabiona szczekaniem psów wyskoczyła z jednej jurty młoda Jakutka. Wrony zachrapał i w bok się rzucił przerażony brzękiem srebrnych blaszek, zdo-
biących jej warkocze.

— Liksandra!... Liksandra!... — krzyknęła, przeska-
kując przez płot. — Poczekaj!...

Aleksander z trudnością wstrzymał rozhukanego
konia.

— Jak się masz, Toj! Brzęczysz, jak dzwonnica!
Nastraszyłaś mi konia. Nie wiesz, czy Tus w domu?

— Nie wiem; zdaje się, niema go.

— A twój ojciec?

— Też niema. Wszyscy u Kapitona. Tam zebra-
nie. Książ przyjechał.

— Wciąż z Tatarami? Czy co innego?

— Nie wiem. Co wiedzieć wolno nam, kobietom,
prócz garnków i... pościeli! — rozśmiała się i zalotnie
przymrużyła podłużne, cygańskie oczy.

— Widzisz, — poczęła cicho, poufale opierając
rękę na łęku siodła — przywiozłeś, powiadają, dziew-
czynę. Otóż chcą pisać do gubernii, że dziewczyny nie
przyjmują, że ciebie tylko jednego obowiązani są trzy-
mac. A więcej nie wiem...

Aleksander wzruszył ramionami.

— Niech piszą. A cóż Tatarzy? Co powiedział
doktór?

— Żona twoja, Liksandra, podobno była piękność...
I córeczka też piękność... Nie widziałam jeszcze nigdy
w życiu dzieci ze złotymi włosami... Ona podobno ma

złote... Czyż doprawdy ani razu nie pocałowałeś żony?... I ona tak... umarła... napróżno!... Przyjechała po to tylko, aby zobaczyć i... nic więcej!... Biedaczka!

Aleksander zmarszczył brwi i ściągnął uzdę.

— Głupia jesteś, Toj!

— Cudzoziemcze! o! cudzoziemcze!... Przygotuj podarunki, przyjdę córkę oglądać! — krzyczała za nim Jakutka — Jakóba wypędź na ten czas! — dodała ze śmiechem.

Jurta Kapitona stała na innej łące za gajem, o dwie wiorsty. Między nią i wioską leżało wielkie okrągłe jezioro, obrosłe trzcina i szuwarem. Kniazia nie zastał już Aleksander u Kapitona; większa część krajowców też się rozeszła; byli tylko najbliżsi sąsiedzi. Gospodarz, gruby Jakut z choremi, krwią zaszłemi oczami, przyjął Aleksandra uprzejmie; posadził za stołem, częstował herbatą i w rozmowie o różnych rzeczach próbował wybadać, co robić zamysła, gdzie córkę umieści, jak sobie pocznie bez kobiety.

Wiele szczegółów z jego podróży i ze spotkania z żoną było widocznie znanych Jakutowi. Aleksander odpowiadał oględnie. Mydła, soli i herbaty sprzedał mu Jakut chętnie, dziwił się jednak, że nieboszczka, chociaż za bogatą uchodziła kobietę, nie przywiozła nic z miasta.

— Zupełnie musiała być południowa pani. Uczona. Nie wiedziała, biedna, że tu dokoła głuchy las, że jeśli człowiek czego nie ma, to choć się kładź i umieraj... nie dostanie! Dobrze, jeśli dadzą sąsiedzi... A dadzą wtedy, jeżeli dać mogą...

Był między gośćmi i Tus, szczupły, szpakowaty

starszy z płaskim nosem i ostrym podbródkiem, z twarzą tak ciemną i pomarszczoną, jak gdyby uwędzoną w dymie.

— Poczekaj, pojedziemy razem — wstrzymał go Aleksander, widząc, że się zabiera do odejścia.

— Razem, a to po co? Przecież ty jedziesz do kniazia.

— Nic bez soli, nic bez żartu! Jaki przykry stary! Poco a poco?!... Weselej będzie cudzoziemcowi!... — poparł Aleksandra gospodarz.

— Wiemy, jak polowała mysz z żabą!

Jakuci zaśmiali się.

Całą drogę Aleksander objaśniał Tusowi, o co mu chodziło.

— Na co ci łódka?... i taka dziwna... cienka, mała!... Obcasem ją przebijesz... Rzeka nasza — gniewna woda!

— Podoba mi się taka. Zrobisz, czy nie?

Tus wydał wargi.

— Rybę łapać myślisz? czy co? Utoniesz!...

— Nie lękaj się.

Tus gładził brodę dłonią i patrzył, namyślając się, na wyciągnięty ku niemu zadatek.

— Cóż! czy jeden tylko doktor ma dziś brać pieniądze? — roześmiał się wreszcie i wziął papieraek.

III.

Sadyba kniazia nie różniła się od innych zamoczonych siedzib jakuckich. Kilkanaście budynków: jurty,

obory, spichrze, stogi siana, ogromne, czarne pagó: wyrzuconego z chlewów gnoju — wszystko to sta skupione na pochyłości niewielkiego wzgórza, nad brgiem jeziora. W dali widać było ciemne lasy, białe śniegi, blade sylwetki rozrzuconych tu i ówdzie ju w pobliżu — śniegi pożółkłe od dymu i śmiecia, krzewy i drzewa niemilosiernie objedzone przez bydło i cała sieć dróg większych i małych, prostych i krzywych, zbiegających się do osady, niby promienie do środka. Ale miała owa osada coś, czego nie miały inne: czarny dom w rosyjskim stylu, z dużymi, szklanymi oknami, zaopatrzonemi w okienice malowane na żółto i zielono, ze spiczastym dachem i skrzypiącą na szczycie żelazną chorągiewką. W domu tym nikt jednak nie mieszkał. Otwierał się tylko na przyjęcie niezwykłych gości: archireja, gubernatora lub innego urzędnika wyższej hierarchii; a życie zwykłe, codzienne kupiło się wyłącznie w niskich, niepozornych jurtach, nawozem obmierzających.

Dzień był pochmurny i wietrzny. W oknach domostw, pokrytych taflami lodu, błyskało światło; kłęby dymu snuły się z kominów. Wiatr porywał garście iski i rzucał je na ludzi, kręcących się po podwórzu, i konie osiodłane i ze spuszczoneymi łbami drzemią u słupów. Kiedy we wrotach ukazał się Aleksander z Jakóblem i dziesiętnikiem, ludzie poruszyli się żywi. Ten i ów podbiegł odebrać konia, pomódz przyjezdny rzucić niezgrabne podrózne burki — »dochy«. Leżąc w ich spojrzeniach, w tonie odpowiedzi, w całym zachowaniu się przebijało coś, co uderzyło i zaniepokoiło Aleksandra i jego towarzysza.

Zasiedatiel, który parę dni temu przyjechał wznowić śledztwo w sprawie zgorzałych Tatarów, wezwał ich tu urzędowym papierem.

Aleksander wszedł do izby. Była przepelniona ludźmi. Gdy go ujrzeni, rozstąpili się, dając mu przejście.

— Witajcie, panowie — przyjął ich grzecznie urzędnik, wyciągając rękę.

— Wybaczcie kłopot... Jest mała sprawa... Bądźcie łaskawi poczekać. Zaraz skończymy.

Wskazał ruchem głowy na Jakuta, którego badał i na pisarza, zapisującego odpowiedzi, staruszka z sówią głową, przyprószoną siwizną, w błękitnych, okrągłych okularach na haczykowatym nosie.

Zasiedatiel, tęgi, rosły mężczyzna, miał twarz czerwona, piegowata, wąsy rude, krótko podstrzyżone i faworyty. Z pod rozpiętego, ciemnego munduru wyglądała koszula perkalowa, w różowe kwiatki. Od niechcienia bębnił palcami po stole i wstawiał uwagi i poprawki w ruskie tłumaczenie spisywanego protokołu.

— Jakże się miewacie, panowie! Jakże wam czas upływa? Wy, Aleksander Iwanowicz, — zwrócił się do Aleksandra — wytrwale bombardujecie wciąż Zarząd okręgowy prośbami. Ej, zły wybraлиście czas! Słyszałeś pan, co oni znów tu narobili?... Szelmy, Azyaci... nie chcą nas... i tyle! — roześmiał się.

Aleksander zrozumiał ironię w tonie urzędnika Sybiraka, ale milczał.

— Cóż Fiodorycz, skończyłeś?... — Kończcie narzecie!...

— Skończyłem — kiwnął głową pisarz.

Zapisane papiery położył na bok, wziął czyst

arkusz, poprawił pióro i utkwiał nieruchome oczy w Aleksandra.

— Pozwól, Aleksandrze Iwanowiczu, że zaczniemy od ciebie. Twoja sprawa ważniejsza. Sprawa Jakóba Stefanowicza nie warta plunąć. A pana spytać muszę w kwestyi tatarskiej.

— W kwestyi tatarskiej!... Jakiż ja mam z nią związek?

— O bardzo mały, ale zawsze... Natychmiast... zaczniemy po porządku, według punktów... Imię pana i jego ojca?

Aleksander pomyślał chwilkę, poczem zażądał blankietu i własnoręcznie począł wypełniać rubryki.

— Zna pan zesańca Pałkina?

— Pałkina? Nazwisko gdzieś słyszałem, ale gdzie nie pamiętam.

— Wprowadzić — dał znak głową Jakutom.

Po chwili, brzęcząc łańcuchami i szeroko rozstawiając zakute nogi, wszedł do jurty chłop wysoki, barczysty w nowym aresztanckim kożuchu. Na rękach miał kajdany i dwóch Jakutów przytrzymywało go za łokcie. Podeszedł do stołu i spojrzał posepnie na Aleksandra, w którego pamięci coś niejasno majaczyło. Zdało mu się, że naprawdę gdzieś widział tę konopiastą brodę, krzywe, wąskie usta i zielone biegające oczy. Ale gdzie?... nie mógł sobie przypomnieć. Starał się, we wspomnieniach grzebał, a zielonawe oczy patrzyły nań wyczekująco.

— O co go obwiniecie?

— Zaczekaj pan... po porządku, według punktów. Widział go pan kiedy, czy nie?

— Zdaje się... Nie... nie wiem.

Wąs więźnia ruszył się i drgnął.

— Więc pan nie widział... A on powiada, że tego miesiąca... dnia...

— Szóstego — pośpiesznie odpowiedział pisarz.

— Tak, szóstego... był u pana i że pan nie przyjął go na noc, wskutek czego musiał iść w zamieć 70 wiorst, nim dotarł do innych mieszkańców.

Teraz Aleksander odrazu sobie przypomniał zamieć, płaty padającego śniegu, wycie wiatru i na szarem tle tę szarą postać przemarzłą, szonem okrytą, brończącą się ogromną pałką od wściekłej napaści Ajaksa.

— Nie mogłem go puścić... Ciasno... Nas troje: ja, towarzysz i dziecko... Nie mam zwyczaju puszczać nikogo!!! — począł się usprawiedliwiać. — Ale na co odchodził tak daleko?... Wszak wiedział, że o pół mili, nawet bliżej, mieszkają bogaci Jakuci, gdzie i ludzi dużo i domy obszerne...

— W tem właśnie sztuka! Ale posłuchaj pan, co on powie. Cóż powiesz, Pałkin?

— Zimno... — ponuro — szepnęła badany.

— Zimno?... Siedmdziesiąt wiorst nie zimno, a pięć zimno? — roześmiał się Aleksander.

Zbój obrzucił go spojrzaniem i z nogi na nogę przestąpił.

— Było zimno — powtórzył z uporem. — Mówiłem już, wasza szlachetność, w mieście... — zwrócił się do urzędnika.

— Powtórz!

Zbój milczał.

— Ot, bestya!... Wciąż tak! A czego narobił! cze

hultaj narobił!... Od pana na Chatyrbę się powłókł; gospodarzowi kiszki nożem wypruł, żonę pohańbił, piersi jej wyciął, dziecko w ogień wrzucił... Ot jakie bydlę!... A jeszcze komedye — z zwrastającym rozdrażnieniem opowiadał zasiedatiel. — Nim zabił, ofiarom do ziemi się kłaniał: »Wybaczcie, powiada, że niewinnie giniecie!« A teraz wykręca się: od zimna, od drżenia wnętrzości zabiłem!... Skargę podawał na mnie do gubernatora, że bronię i ukrywam Jakutów, że ci grozili niby wyciąć wszystkich zesłańców w tej miejscowości; że on uciekł ze strachu; że Tatarzy nie spłonęli, a spalono ich... Czego tylko im napłół!... Rozumie się, głupstwo, nie nie zrobi...

Aleksander z przerażeniem wpatrywał się w twarz mordercy. Wydawał się obojętny: tylko ostatnie wyrazy urzędnika rozпалиły jakieś błyski w zielonawych źrenicach.

— Wprowadzić go!...

Zadzwoiły kajdany i, popychany przez Jakutów więzień wyszedł.

— Kanalia!... Oto jakie nasze życie! Nic nie wiesz myślisz, żeś wszystko skończył i załatwił... Otóż nie!.. Wyskoczy z pewnością jakiś figiel... Ile już razy w tym roku byłem tutaj z powodu tych kanalii!... A czyż my ich tu wysyłamy? I myśmy ludzie! Całą pensję w drodze wydaję... Wielkanoc spędziłem poza domem, bez żony, bez dzieci... I poco?... Umarli, zniknęli... co komu z tego, że dowie się: jak i co?... Czy zmartwychwstaną? Prawda, znaleźli rzeczy; Pałkin wskazał ludzi... Dobrze zgoda!... — zaczął zupełnie już cicho. — Czyż trudno splatać dzikiego Jakuta?... Sami się płaczą... Rozpedzić

i zrujnować gminę całą? A któż będzie płacił podatki?... I poco? jaki zysk?... Cóż, Aleksandrze Iwanowiczu, podpisuj pan! — zakończył, podsuwając Aleksandrowi protokół: »Jana Pałkina widziałem, ale z powodu ciasnoty miejsca noclegu odmówiłem«. — Imię i nazwisko... Hej, obiad dawać!... Panowie, spodziewam się, zjecie ze mną obiad.

— Czy nie możnaby czasem, Inocenty Wasilewiczu, i mojej sprawy dziś załatwić?... o ziemię — rzekł Aleksander, siadając do stołu.

Zasiedatiel nalał mu kieliszek wódki.

— Moja rada, rzuć pan to! Wiem, że położenie wasze trudne, nawet do pewnego stopnia ciężkie, ale... krajowcy bardzo rozdrażnieni!... Nie radzę... Obiecują w zamian, że powiększą zapomogę... Wszyscy będą zadowoleni.... Powody skarg zostaną usunięte — powiększą panu datek.

Twarz Aleksandra, pochylona nad talerzem, oblała się rumieńcem.

— Nie o to chodzi. Przeciwnie: ja chcę wyrzec się zupełnie jakuckiej zapomogi. Żądam stanowczo ziemi. Pisano mi z miasta, że pan masz na to odpowiednie rozporządzenie naczelnika okręgu.

— Tak! Więc zatem, urzędownie, — rzekł oschle. — Dobrze! Książ! gdzie książ? — zawołał po jakucku.

Książ, który wraz z Jakutami obiadował przy drugim stole, zerwał się i wytarł usta.

— Słucham.

Stał i uprzedzająco pochylił przed urzędnikiem swą okrągłą, krótko strzyżoną głowę.

— Co pan każe?

— Cóż ziemia dla... tego pana?

— Podaliśmy do gubernatora — wymijająco odpowiedział Jakut.

— Słyszałem — przerwał Aleksander. — Ale to nie należy do rzeczy... Dajcie przedewszystkiem, co mi się należy, a później skarżcie się...

— Przywiózł córkę i trzyma towarzysza, który nie zapisany w naszej gminie.

— Co do córki... to głupstwa gadacie, ale co do Jakóba Stefanowicza przyszło istotnie rozporządzenie.

Kazał pisarzowi wyszukać rzeczony dokument i wręczył go Jakóbowi. Ten czytał długo, a ręka mu drżała. Rozkazywano wrócić natychmiast na wyznaczone miejsce pod groźbą hańbiącej kary.

Zasiedateli unikał ich wzroku; książę uśmiechał się szyderczo.

— Widzicie panowie — odezwał się zasiedateli — jak to wszystko skomplikowane... właśnie skomplikowane — powtórzył z zadowoleniem. — Wy głosicie zasady, mówicie, że ludzie są równi, więc... ot... Rozumie się, rozporządzenia nie wypełnię... Gdybyśmy prawo ściśle spełniali... aj! aj!... Ale kto za to odpowie, gdy pytają?... Cicho, spokojnie ja wiele mogę... Inaczej nie mogę nic... Im spokojniej, tem dla mnie lepiej... A skąd dale — wybaczyć proszę! Umywam ręce!...

— W takim razie muszą być skandale. Dziwna rzecz, odmawiasz nam pan tego, co się nam z prawa należy, a chcesz dać ulgi na osobistą odpowiedzialność.

— A dlatego, widzi pan, że prawa nie dla panów są napisane... — odrzekł urzędnik z dwuznacznym uśmiechem.

— Na co się to gniewać — odezwał się książę pojednawczo, siadając na ławie w pobliżu Aleksandra. — Nie klóćliśmy się, Bogu dzięki, dotychczas, nie będziemy klócić się i dalej. Myślę, że gmina zgodzi się na pańską prośbę, jeśli ona istotnie na prawie oparta, ale na co się śpieszyć?... Na polach śnieg, do siewu daleko... W początkach wiosny będzie zebranie i wówczas rozpatrzemy ostatecznie pańskie pretensye... Czy zgoda? — zapytał, spoglądając na zasiedatiela. Ten potakująco kiwnął głową.

— Tak, tak... poczekaj pan do wiosennego zebrania, a teraz powiększą panu zapomogę... Obejdzie się wszystko bez hałasu, bez... kombinacyi... z honorem!

Aleksander spojrział na pobladłą twarz Jakóba i gorzko się uśmiechnął.

— Jak długo, Inocenty Wasilewiczu, ma pan zamiar tu zabawić?

— Bóg to wiedzieć raczy, kiedy sprawy puszczą... Chciałoby się jak najprędzej... za cztery, pięć dni... Nie wiem!

Do jurty wszedł dziesiątnik i szepnął coś księciu do ucha. Obecni poczęli z izby wychodzić. Pozostali tylko urzędnicy, książę, Aleksander i Jakób. Zasiedatiel patrzył na nich wyczekująco i gawędził od niechcenia. Domyślili się i wstali.

Zapadał zmierzch; droga była zła; by nie zbłądzić trzeba się było śpieszyć, choć część jej przebyć przed nocą. Zgłodniały koń niósł ich chyżo. Milczeli cały czas. Gdy stanęli u jurty Żabiego Oka, noc już była czarna, jak sadze. Gdyby nie czerwone światło, migające w okienkach, nie byłiby może dostrzegli niskiej budowli w cie-

mnościach. Aleksander zajrzał do wnętrza przez okno, odkryte od strony obory. Żabie Oko był biedny i mieszkiał wraz z bydłem. Przed dużym ogniem na niziutkim stołeczku siedziała Zosia zadumana, podparłszy głowę rączką. Przyjaciółka jej Maja stała z boku przed wielkim kotłem, napełnionym mlekiem i lekkimi uderzeniami olbrzymiej warząchwi powstrzymywała kipienie płynu. Za każdym razem starannie oblizywała łyżkę, aby nic nie przepadło. Był to przywilej niemały dla jej wiecznie pustego żołądka, to też miała minę bardzo poważną i wydawała się przejęta swą rolą. Jej mała figurka, zaledwie przykryta lachmanami, gołe, cienkie rączki i smągła, miła twarzą z dużymi srebrnymi kolczykami w uszach rysowała się fantastycznie na granicach światła i cienia. Żabie Oko siedział w głębi; z ciemności wyglądała tylko jego noga obuta w ostro nosą »sarę«. Żony Żabiego Oka nie było widać, tylko gdzieś tam w kącie szeleściły wyprawiane przez nią skóry.

— Ojczulek!... tatuś!... — z krzykiem zerwała się Zosia, gdy Aleksander we drzwiach stanął.

IV.

— Cudzoziemcze!.. a!.. cudzoziemcze!.. Wstrzymaj psa i nastaw czajnik!... — wołały ze śmiechem Jakutki, stukając do drzwi. Wewnątrz domu Ajaks szczełał wściekle, a Zosia płakała przestraszona.

Aleksandra nie było, szukał, w gaju kawałka drzewa, potrzebnego do pluga. Lecz gdy piski i krzyki przeszły we wrzask, któremu wtórowało ujadanie rozwścieczonego

psa, przerażony przybiegł pędem do domu. Drzwi zastał otwarte; dziewczyny przytulone do ściany na wysokiej przyzbie rękami chroniły odzież od zębów Ajaksa. Z za progu wyglądała zapłakana i rozciekawiona twarzyczka Zosi.

— Co wy tu robicie?

— Trzymaj psa!... psa!... przebrzydły człowieku! Czyż dobrzy ludzie tak gości przyjmują?... Pies o mało nas nie rozszarpał.

— Dlaczegożście drzwi otworzyły, zbytnice!...

— A pociś nie przychodził? Czy myślisz, żeśmy takie głupie? Nim otworzyłyśmy, wlażyłyśmy na przyzbę. Pies zły, niech Bóg uchwowa... U—u—u!... Na co ci taki zły pies? Czy ty się kogo boisz?... Ja myślałam, że ty się nikogo nie boisz!...

Toj, mówiąc to, rozpięła kaftan, zdjęła z głowy czapkę i przysiadła na krawędzi ławy; towarzysza jej nie rozbierała się wcale. Blade były od strachu, ale już się śmiały.

Aleksander rozniecił ogień i postawił czajnik.

— Co słyhać, Toj?

— Nic nie słyhać! Co ma być słyhać? Jakób wyjechał; przejeżdżał mimo, widziałam. Co kłopotu robicie, nam, Jakutom, wy, ludzie południa!

— Znowu się co stało?

— Wciąż to samo: kręcą, mącą, zabierają ludzi... Co płaczu! oczy kobietom popuchły! Wszystkich ogadał osiedleniec. Syna starego Nohczojoja, zupełnie zabrał zasiedateli... Rzeczy u niego znalezione. Zasiedateli gniewa się bardzo, wódkę pije... Żle!

— Kiedy odjeżdża?

— Nie wiem. Piękną masz córkę, Liksandra. Czy podobna do matki? Prawda, włosy złote, a oczy, jak niebo... Nie bój się dziewczynko, chodź do mnie! Myśm z twym ojcem przyjaciele, choć on pan, a ja czarna Jakutka...

Dziewczyna z czułością pochyliła się nad dzieckiem: twarzyczka przysunęła się do niej.

— Ciało mięciuchne, odzież cieniutka... Piękni ludzie z południa!..

— Zamiast głupstwa gadać — odezwał się Aleksander — wzięłabyś, Toj, igłę i zaszyła dziury w odzieży dziecka, a towarzyszka twoja niechby tymczasem upiekła podplomyk. Napijemy się herbaty. Oto są nici i mąka.

Dziewczęta zrzuciły kaftany.

— Wszystko macie ładne wy, południowi... — gwarzyła Toj, rozbierając gałganki — a tylko nigdy z wami nie wiesz, co będzie... Oto Pałkin, czyż nie żył tyle lat. jak przystało?... I nagle... Kochania też godni jesteście, choć brody nosicie... gdyby nie to, że nie wiadomo, co w was siedzi...

Jej przyjaciółka gniotła ciasto i zanosila się od śmiechu.

— Doprawdy, pokochałabym cię chętnie, Liksandra, gdybyś nie był cudzoziemiec... Bardzo bym cię kochała!...

— Kto cię o to prosi, Toj?

— Niby to krwi nie masz zupełnie! — roześmiał się dziewczyna. — Prawda, nie slychać, żebyś za ko bietami przepadał; i właśnie za to cię lubię.

— Opowiedz lepiej, jak sprawa Tatarów stoi

Kiedy przyjeżdża zasiedatiel? Czy radził co o ziemi dla mnie na zebraniu? Ojciec twój, słyszałem, był tam...

— Dużo się od niego dowiesz! pod nosem mruży. Mój ojciec zupełnie dziki człowiek, nigdy nic nie mówi. Słyszałam, że ta sprawa więcej już kosztuje gminę, niż całoroczne utrzymanie Tatarów... Byli Tatarzy, brali Tatarzy, niema Tatarów, też biorą... A Jakutom tyle szczęścia, co uśmiechnąć się..

— Kiedyż zasiedatiel ruszy? pozostanie do jutra?

— Nie wiem. O sobie tylko wciąż myślisz, Liksandra... — z wyrzutem odrzekła dziewczyna.

Aleksander odwrócił się. Toj nagle spowaźniała. Milczała i szyła pilnie. Duże warkocze, srebrem uwieszane, zsunęły się jej z ramion na piersi. Towarzyszka jej siedziała obok i zdziwionemi oczyma spoglądała na nią i na Aleksandra. Zosia lepiała figurki z resztek ciasta.

Po herbacie dziewczęta natychmiast odeszły.

Mimo wstępu, jakiego doznawał, musiał Aleksander znów jechać w swej sprawie do zasiedatela. Władze w tym głuchym zakątku zjawiały się bardzo rzadko, w razie tylko jakiegoś niezwykłego wypadku. On zaś nie wierzył w obietnice Jakutów; był przekonany, że ustąpią tylko przed siłą.

— Świństwo!... ale nie mam innego wyjścia! Z czasem odwdzięczę się im! Będę dobrym sąsiadem, pożytecznym doradcą... Będę ich uczył i pracował, a teraz... precz sentymenty!...

Nie tracąc czasu, zaprzął konia i pojechał.

Znalazł zasiedatiela, jak za pierwszym razem w tłumie Jakutów, za stołem.

— A! witaj pan! — przyjął go chłodno.

Twarz miał obrzękłą, zmęczoną, oczy przymglone.

— Dobrze, że pan przyjechał; chciałem już posyłać po niego. Co sobie myśli pański towarzysz? Dlaczego nie wyjeżdża? Znów gubernator przysłał mi nagane... Nie wiesz, gdzie się od was podziąć, od wszystkich! Jakuci płaczą, męczą, ładu niema; wy drwicie sobie z rozkazów!... Kiedyż się to skończy?...

— Już wyjechał — chmurno odpowiedział Aleksander. — Przykre rzeczy zawsze się pilnie wykonywa.

— Wymówki? co? — rzucił urzędnik i tyłem odwrócił się do Aleksandra. — Przyprowadziliście? — groźnie krzyknął na jakuckich sołtysów i kniaziów.

— Przyprowadziliśmy, panie! — odpowiedzieli, kłaniając się nisko.

Młody ubogo odziany Jakut wystąpił z szeregu.

— Zgadzasz się świadczyć przed sądem?

— T - a - k! Nie! — odrzekł wstrząsając głową.

— Więc nie widziałeś! A cóż plotki roznosisz?... Głowy zawracasz... ludzi mieszasz... Durnie! durnie!... Przyznałby się który i basta... kręca!... mać!... Wszystkich zabrać każe!... wszyscyście wiedzieli!...

— Nie, nie wiedzieliśmy, panie nasz, nic nie wiedzieliśmy — płacliwie zapewniała starszyczna gminy, bijąc pokłony.

— Nie, nie wiedzieliśmy! — powtarzał z nimi chór Jakutów.

— Końskie mordy! A bierzecie się do spraw!... Wziąć i tego!... — krzyknął gniewnie. — Sprawę oddam innemu... odmówię... Dość... przepadajcie głupcy! Ja nie myślę zdrowia z wami tracić!..

— Zlituj się nad nami!... pożałuj, ojczyzna nasz i pani! Panie, ja wszystko opowiem... co i jak... całą prawdę!... od samego początku... — wyrzekł niespodzianie jeden z obwinionych, wysoki chłopak z gorączkowo błyszczącymi oczami i energicznym wyrazem twarzy.

Wszyscy z przerażeniem zwrócili się ku niemu; urzędnik poblądł i zerknął na Aleksandra. W jurcie zrobiło się tak cicho, że słychać było szczykanie zębów trzęsących się od wzruszenia ludzi. Pisarz nadstawił uszów i papier bliżej przysunął. Chłopak smutnym spojrzeniem powiódł po obecnych i zaczął dobitnie.

— Sześć lat temu, gdy przywieźli Tatarów, byłem jeszcze małym chłopcem. Tatarzy mieszkali w domu, należącym do gminy. Dobrze mieszkali... jedli... pili — wesoło mieszkali. Zdarzało się, że i mnie częstowali. Gmina dawała im mięso, masło, mąkę. Wiele dawała, nie wiem, o tem wiedzą panowie starsi... ja tylko wiem, że mieszkali wesoło. Później gmina dała im grunta, wybudowała dom niedaleko od mojej sadyby... Zboże siali, ziemię uprawiali, pięknie mieszkali. Najprzedniejsi byli ludzie, dobrzy, bogaci ludzie!... Mego gruntu kawałek przyswoili sobie... Około ziemi chodzili starannie, mieli urodzaje... Za jeziorem też siali. Grunt tam przedziwny... urodzajny... — nowa glina...

— Do sprawy nie należy... Śpiesz się!...

— Więc... mieszkali dobrze!... Niczego nie było im dosyć, wciąż żądali, wciąż więcej prosili. Gmina szanowała ich. Bardzo nasza gmina poważała Tatarów. Dawała, co chcieli. Dużo ludzi do nich chodziło: chodzili Rosyanie, chodzili Czerkiesi, chodzili Cyganie... wszystkie ludy chodziły. Kradli konie, kradli krowy... rznąli i jedli.

Niekroć było wejść do nich, na ogniu kipiał kocioł pełen mięsa. Czasami i goście dali kawałek... Żyli, jak się należy, co taić! Syn ich Abdułka pierwszy był w okolicy zuch!... W karty grali, wódkę pili... wesoło żyli...

Tu przerwał sobie, westchnął, spojrzął na zasiedziela, potem w otwarte okno, na zalaną słońcem okolicę i nagle chytry, zuchwały uśmiech przemknął po jego ustach.

— Co dalej?

— Grali, wódkę pili, ludzi chodziło dużo, i... spalili się — zakończył obojętnie.

Słuchający odetchnęli.

— Ty piłeś? grałeś?

— Zdarzało się. Dlaczego pić nie miałem? A tylko nie Jakuci ich zabili... Czyżby mogli dać radę takim siłaczom!... Zabili ich Rosyanie, ci co wciąż u nich bywali. Zabili ich ludzie zręczni, orężni i śmiałego serca... naprzykład wojenni — żołnierze. Czyż z Jakutów bywają żołnierze? Cesarz znajduje, że Jakuci nie warci być żołnierzami, że nie są bitni... Bywałem u nich, prawda, wódkę piłem, ale jam słaby człowiek i nie wiem, jak broń nabijać... Wówczas, gdy się oni spalili, kosilem na łąkach siano. Wszyscy mię widzieli. Widział mię i syn Niohora... W przyjaźni żyłem z Tatarami... Kto zechce zabijać przyjaciół? My przyjaciół bardzo szanujemy, a Rosyan przyjaciół jeszcze więcej... Więc powiem ci, panie nasz, jak doprawdy było; posłuchaj: Rosyanie zabili Rosyan, a później s... spalili się!

— Cóż ty, kpisz sobie!? Miele, miele i wciąż to samo! Wyprowadzić go i przygotować sanie!

Obwinionych wyprowadzili, a za nimi i obecni tłumnie wylegli z izby.

— Jedziemy! — zawołał urzędnik. — Ach, ziemia dla pana!... — zwrócił się do Aleksandra. — Zapomniałem. Wysię rozporządzenie z miasta. A teraz, do widzenia!...

— Wątpię, czy rozporządzenie poskutkuje. Było ich trzy...

Zasiedateli cmoknął ustami.

— Jak pan nie rozumie!... Nie mogę obecnie... W żadnym razie nie mogę... Postaraj się sam... Ugódź... Najlepiej siedziałbyś pan cicho i brał, co dają: Jakuci dodadzą, niech pan żąda, to ja dopomogę...

— Tego nie zrobię, Inocenty Wasilewiczu... To darmo!... — z niechęcią przerwał mu Aleksander.

— A więc, jak pan chce. Namysł się pan. Cóż tam nowego? — zwrócił się do Jakutów, którzy znów zapelnili jurte.

W pierwszym szeregu stanęli kniaziowie i sottysi z medalami na szyjach, z darowanymi za służbę kordełasami u boku, siwowłosi starcy, porządnie odziani bogacze. Za nimi cisnął się szary tłum. Ze środka wystąpił żebrak zgarbiony, na kiju oparty; ziemię koszturem obmacał, odchrząknął i opuścił się na kolana.

Urzędnik zdziwiony wstał.

— Co to za komedia?

— Panie nasz — zaczął starzec, wyciągając ręce... — Jam winien, ja zabiłem Rosyan. Dotychczas przebiegłe chowałem się... ze strachu. Teraz wyznaję mój wielki grzech. Zabiłem ich, ponieważ krzywdzili nas... mnie krzywdzili! Więcej niż niedźwiedzie i wilki niszczyli oni

nasze stada. Ubyło naszego dobytku, skamieniały z gniew serca nasze. Jurta ich, niby rana gojąca, wyrosła w naszej okolicy. Kobiety nasze w dzień nawet lękały się mimo niej przechodzić; młodzież nauczyła się pić, gra polubiła rabunek, a zniechęciła się do pracy. Siła stało znosić dłużej!... Wciąż coś ginęło... Rabowali nas. Skarżyliśmy się... Sam wiesz, nieraz prowadziłeś śled two... Zawsze wykręcili się, a potem gorzej jeszcze szli... Dlatego zabiliśmy ich... ja sam ich zabiłem... W mnie, a wypuść niewinnych!... Osądź mię surowo w dług surowych praw waszych!

— Oszalałeś głupi!... stary i ślepy!... Ledwie chodzisz, a powiadasz, żeś sam zabił trzech dorosłych mężczyzn i dwie kobiety... Pałkin nie ciebie wskazał...

— Pałkin kłamie! On pomagał mi właśnie. Najpierw zabiliśmy jednego, a potem rozważyli, że wszystkim ta sama kara.

— Wstań starcze!... dość komedy! Gdzie mieszkasz?

— W okolicy. Włóczę się od jurty do jurty. Uwolnij dzieci nasze, weź mię, sądz!... zabiłem!... — mruzczył żebra. Dla mnie wszędzie koniec jednaki... wszędzie dzień śmierci przyjdzie! Uwolnij dzieci nasze!

— Weź go, o panie! — prosili Jakuci. — Ułóż się!... Czyż ci nie jedno, kogo przedstawisz w gubernii? Wzięłeś młodych, wzięłeś dzielnych... Ile kobiet i dzieci płakać po nich będzie i głodem przymierać!

— Wszyscy jęczeć będziemy!... Kto podatki za płaci? Weź starego... Dobry stary... Zda się jeszcze przyjmą go w gubernii... Co go przyjmą nie mają... Marny jeszcze człowiek!...

— Weź a wypuść dzieci nasze...—powtarzał żebra

— Dosyć!... Książ, co to znaczy?... •

— Mówilem im, że to na nic się nie zda—chmurno powiedział książ.

Jakuci nie ustępowali.

— Urządź nowe badanie... wypytaj... zobaczysz, : gładko opowiemy ci...

Urzędnik strasznie się rozgniewał, tupnął nogą rzyknął podniesionym głosem:

— Wynoście się natychmiast!... Precz!... Książ — ki! Jurtę oczyścić!...

W pół godziny potem brzęcząc leciała drogą kibitka iedatiela. Po podwórzu snuli się zbrojni ludzie i sawili na sanie aresztowanych.

Tłum stał milczący i nieruchomy i tylko słyhać o płacz kobiet.

— Nie pójde!... Dokąd mam iść?... Stąd rodem tem!... — nagle zakrzyczał syn Niohora i objął ręni poblizki słup. Dziesiętnicy rzucili się na niego. ĩ z cicha, szamocąc się z nim. Chłopak długo ryczał grzytał zębami, nim rozwarł zmordowane ramiona. walili go na wznak i przywiązali do sanek. Leżał : ruchu z posiniałą twarzą i zamkniętymi oczami, ież na piersiach miał podartą, a głowa obnażona ie podparta uderzała o krawędź sani za każdym ich hem.

— Zmarznie!... okaleczycie człowieka!... Nakryjcie ... — krzyczał Aleksander za odjeżdżającymi. Kon-jujący Jakuci konno ze strzelbami na plecach mijali gęsiego, nie zwracając uwagi na jego wołania.

Aleksander ruszył do domu. Wrony, przeziębły odniecony ogólnym ruchem, poniósł go, jak burza,

przelatując mimo smutnego orszaku. Więźniowie kiwali głowami. Wkrótce zostawił ich daleko za sobą. Na przodzie słychać jeszcze było dzwonek zasiedatiela, ale cichy i coraz bardziej niknący.

V.

Łagodny, południowy wietrzyk z trudnością przenikał lasy, okalające dolinę. Jak rój elfów, bez szmeru przelatywały nad tajgą jego podmuchy, dając znać o sobie lekkim kołysaniem bardziej wysmukłych wierzchołków; wypadłszy na łąki, na wolne przestworza, skupiały się jak wybuchy swawolnego śmiechu, dęły, szemerały, igrały z chorowodem jesiennych liści, trzęsły żółtymi kitami zaschłych traw, marszczyły kryształową powierzchnię na wodę stopniałych śniegów i — wpadały w przeciwległe lasy, gdzie znowu milkły. Pod ich pieszczotliwym, ciepłym tchnieniem szybko znikwały zimowe pokrowce, mierzchła ich białosc, ustępując wszędzie połyskom żywej wody. W głębokich wąwozach szumiały potoki, liczne wodospady zlewały się po tarasach lodowych: przez powietrze przesycone wilgocią i ciepłem, łagodnie świeciło słońce; jego promienie nawskróś przenikały nieocienione liściem lasy, sięgały do samej ziemi nieprzykrytej jeszcze zielenią. Tylko w parowie Ałdanu panowała jeszcze zima biała i nieruchoma.

Czasami na pogodne niebo wiatry południowe wytaczały chmury białe i ciężkie. Jak śnieżne lawiny niosły się one nad doliną. Wiało od nich chłodem i śnieżną zamiecią. Ptaki wówczas milkły, blade zwierciadła wód...

na krótko, gdyż groźna chmura miała tchnienie wilgotne, a cień ciepły.

Aleksander z bronią na plecach i długą tyczką w rękę stał nad Ałdanem na brzegu przepaści i patrzył w dół. Musiał przedostać się na przeciwległy brzeg, gdyż doszło go, że Jakuci zebrali się na wiec wiosenny w gromadzkim domu. Ziemi dotychczas ma się rozumieć nie wyznaczili mu i nie łudził się też nadzieją, że ją dostanie łatwo. Termin dla gminnej pomocy także się kończył, chciał więc pomówić z nimi i dowiedzieć się, co postanowili.

Patrzył na białą wstęgę rzeki, na czarne i żółte plamy tu i ówdzie obnażonych piasków i rozmyślał w jakim udać się kierunku, by nie załamać się na lodzie. Wiedział, że zwykła droga zerwana, że wartki prąd w wielu miejscach porobił szczeliny i wymył szerokie oparzeliska, więc usiłował przypomnieć sobie, gdzie były spokojne smugi, na których lód zbija się w tafle grube i trwa długo. Stuknął wreszcie kijem i spuścił się po ścianie, czepiając się nierówności urwiska. Przeskoczywszy wąską szczelinę bystro płynącej wody, poszedł po ślizkim lodzie, sunąc jak wprawny łyżwiarz i pomagając sobie kijem. Słoneczna powódź żarem spiekoty spadła mu na głowę i piersi, gdy u dołu od lodów powiało chłodem. Fale ogrzanego powietrza drgały i mieniły się w oddali, niby rój skrzydlatych jętek. Najmniejszy punkcik, najcieńsza gałązka rysowały się niezwykle wyraźnie na tem tle oślepiającej białości. Aleksander widział stada dzikich gęsi wypoczywające na piaskach, ale miejscowość była zbyt otwarta dla polowania; **wpadł**

niespodzianie na parę łabędzi, lecz spostrzegł je wówczas dopiero, gdy królewskie ptaki zerwały się do lotu.

— Ptaki białe, śnieg biały i przekłete słońce prosto w oczy!... Poprawił czapkę i patrzył za odlatującymi z żalem.

Nad przerebłami unosiły się stada wron i czajek; na jego widok wszczynał się między nimi straszny wrzask i hałas; wiankiem wlatywały nad jego głowę, kwiląc i kracząc długo. Na odnogach, zazwyczaj obfitujących w wartkie prądy, musiał szukać przesmyków, nierozmiękłego jeszcze lodu. Szczególniej niebezpieczne były płytkie zapadliny, pełne wody, które możnaby było w bród przechodzić, gdyby nie dno nadzwyczaj pochyłe i ślizkie ze szczeliną pośrodku, w którą dawszy nurka, mogło się więcej na powierzchnię nie wrócić. Przez wązkie szczeliny z urwistą krawędzią przesakał z łatwością; wyrobił sobie w tem pewną wprawę, corocznie polując na gęsi. Szedł szybko, nie odpoczywał, a że droga była długa, zmęczył się i z rozkoszą odetchnął, gdy wydostał się na główne koryto. Lód tu był jeszcze bardzo gruby, a choć obnażony ze śniegu, miał twardość i spoistość marmuru. Do przeciwnego brzegu pozostało już tylko dwie wiorsty. Przebiegł je szybko.

Spragniony, trochę znużony, wszedł do pierwszej jurty. Sadyba należała do Meilacha, jednego z sołtysów, przezwanego »Głowaczem«.

— Co słyhać, Katarzyno Awksentjewno? Jak zdrowie? — spytał, zatrzymując się w progu. Zdjął broń i otarł pot z czoła.

— Jak się masz, Liksandra Iwanowicz — odpowiedział mu po rosyjsku głos kobiecy z głębi jurty. —

Opowiadaj co słyhać! Dokąd śpieszysz?... Wstąp... bądź gościem!...

— Słotys w domu?

— Niema. Poszedł na wiec. W całej dolinie niema chłopów w domu, wszyscy poszli. Zostałyśmy same kobiety, zupełnie wolne — roześmiała się, rzuciła robotę i podeszła do gościa. Ubrana była, jak wszystkie zamozne Jakutki, w długą, jasną perkalową koszulę i kaftan czarny, kamlotowy z bufiastymi rękawami i do figury. Długie, srebrne kolczyki zwieszały się z obu stron smagłej twarzy, a na piersiach brzęczał duży, srebrny krzyż na taśmie srebrnej, ażurowej. Jedwabna, malinowa chusteczka ledwie przykrywała włosy czarne i starannie uczesane. Uważano ją za piękność i istotnie w półświetle jurty wydawała się prawie ładną. Mieszkała jakiś czas w mieście, znała rosyjskie obyczaje i język i dowodziła z dumą, że ma w sobie krew rosyjską.

— Daj kumysu... Wiek wdzięczny będę... Umieram z pragnienia!...

— Może nastawić samowar? Może chcesz herbaty?

— Nie, śpieszę się! Nie boisz się, żeby cię mąż wybił za to, że w jego nieobecności mężczyzn herbatą przyjmujesz?

— Biją mężowie i bez żadnych powodów. Albo co oni wiedzą!... — roześmiała się gospodyni i odeszła w głąb jurty. Aleksander zamyslił się.

— Pij, cudzoziemcze, i niech ci Bóg da zdrowie i siły! — wyrzekła Jakutka, podając mu drewniany rzeźbiony puhar, pełen białego napoju. Kawalki żółtego masła — dowód łaski — pływały po wierzchu. Kobieta

nizko pochyliła się, prawie do kolana przed nim przypadła i śmiało zajrzała mu w oczy.

— Tyś piękny! — szepnęła. — Mąż nie prędko wróci!

Aleksander wstał.

— Dawno odszedł?

— Dawno. Zebranie będzie duże. Na co ci ziemia? Weź pieniądze, jeśli nie lubisz brać pokarmu. Pieniądze dadzą ci zawsze, tylko zażądaj... I spokojnie i prędko... To i jutro zdązysz... Jutro nie rozejdą się jeszcze.

— Czy tak twój mąż radzi?

— Nie, nie... to ja radzę. On nic nie radzi. On zawsze, jak wszyscy... — uśmiechnęła się i poprawiła chustkę na głowie.

Aleksander wypił kumys i począł szukać w portmonetce drobnej monety.

— Nie rób sobie kłopotu!... — Wolałabym, żebyś został!... — pogardliwie ściągnęła usta, lecz pieniądze przyjęła.

Na podwórzu gromadzkiego domu widać było trochę koni i ludzi. W izbie siedziało kilku «tojonów» (panów) i jedli mięso, kracząc je na kawałki na stole. Meilach znajdował się w ich liczbie. Aleksander przywitał ich według zwyczaju podaniem ręki i siadł na pierwszym miejscu.

— Witaj! witaj! Rozpowiadaj! Cóż, droga dobra? Którędyś przeszedł? Czy przechodziłeś koło mojej chałupy? — pytał Meilach. — Byłeś u mnie... Żonę widziałeś? Herbatą częstowała cię? — dokończył po rosyjsku i wpił się w niego oczami.

Aleksander zrozumiał jego badawcze spojrzenie i poczuł, że się rumieni.

— Byłem. Piłem kumys.

— Czy z masłem? — szyderczo zapytał Jakut.

— Nie wiesz, czy będzie dziś zebranie?

— Już było. Poszli na obiad... Znów będzie... Dlaczego niema być? Spraw wiele. Ale kiedy będzie, nie wiadomo...

Podali Aleksandrowi mięso na talerzu. Jakuci rozmawiali w dalszym ciągu, ale widocznie krępowali się jego obecnością i wciąż spoglądali na niego.

Po obiedzie wstali i wyszli; w jurcie pozostał tylko Meilach.

— O grunta, wciąż o grunta! — zaczął przyjaźnie. — Wziąłbyś sam i koniec!... Kto odbierać będzie?... Nie ja, nie my zarzeczni Jakuci... Mieszkaj sobie, gdzie mieszkasz... Zasiej i basta... Raz zasiejesz — twoje!... Nikt cię nie ruszy... A teraz tylko chodzisz po próżnicy, drzesz obuwie, do przerębli jeszcze wpadniesz.

— Rozumie się, że jeśli nie dacie, to wezmę...

Jakut spojrział na niego uważnie.

— Weź, weź... my nie damy!... Nie możemy dać... Weźmiesz gwałtem, co innego... a dać, nie można... Ziemia przecie jak kobieta: wzięłaś ją — twoja, inny przyjdzie i odbierze — też jego. Dla niej wszyscy jednacy, dla wszystkich rodzić gotowa. Chłopi biją się o nią!... Co? może o ziemię nie bywa bóje?... I jak jeszcze!... Gorzej, niż o kobietę się biją!... A czyje koło ciebie grunta?

— Kapitona.

— Widzisz, jak się dobrze składa. Książ nie bę-

dzie bronił Kapitona, oni się gniewają. A ty czyż ułkniesz się kogo? Ty, powiadają, niedźwiedzia się nie boisz. Czy to prawda? — Zmrużył oczy i przenikliwie wpatrzył się znów w Aleksandra.

— Czego on chce ode mnie? — rozmyślał tenże.

— Myślisz pewnie, że dla siebie się staram, że namawiam na twoją zgubę... — rzekł Meilach. — Owszem, życzę ci dobrze. Wszak wiesz, mam żonę Rosyankę, więc troszczę się o jej ziomków. Dobrze radzę, wierz mi!...

— Złej rady nie usłucham — chłodno odparł Aleksander. — Ale najpierw pomówię jeszcze z gminą.

— Rozmawiaj, pytaj!... Dlaczego nie spytać?... A tylko ziemi nie da ci gmina... Nie może. Ej, chłopcze! — krzyknął na grzejącego się u ognia wyrostka. — Gdzie książ? Biegnij po niego! Powiedz, że przyszedł cudzoziemiec po grunta. Biegnij, mówię ci!

— Był u popa, ale pewnie już poszedł.

— Więc idź, poszukaj. Nie będzie go przecie szukał cudzoziemski pan.

Wyrostek podrapał się w ucho i dość niechętnie wyszedł.

Powoli izba zaczęła się zapełniać. Na ławach zasiadli radni. Książ jednak nie nadchodził.

— Gdzie książ? Czy nie przyjdzie?

— Posyłałi po niego, ale pewnie nie znaleźli.

Wszedł Kapiton, wystrojony w czapce bobrowej, w krytej manczestrem bluzie, podpasany srebrnym pasem. Podejrzliwie zerknął na Aleksandra, siedzącego obok Meilacha, ale ten zawołał zaraz wesoło:

— Ej, stary, siadaj! Zachowałem ci miejsce ciepłe, suche i blisko Rosyanina; będziesz kontent!

Usunął się i sąsiadów odepchnął.

— A Książ?

— Książ zginął! Myślę, że z popem wódkę pije... Tydzień temu przywieźli popu baryleczkę.

Ogólny gwar cichł potrochu; oczekujący rozbijali się na gromadki. Wielu wymykało się niepostrzeżenie. Aleksander myślał o Zosi i w miarę jak czas uchodził, niecierpliwił się coraz bardziej.

— Sam poszukam kniazia — rzekł energicznie.

— Najlepiej poszukaj sam! Ty go znajdziesz na pewno. Wskażcie cudzoziemcowi, gdzie książę... Hej, ludzie!... — podtrzymał go Meilach.

Aleksander wyszedł; w towarzystwie chłopca chodził od jurty do jurty; kniazia naturalnie nie znalazł nigdzie i po upływie dwóch godzin zły i zmęczony wrócił do zarządu gminy.

— Więc zebrania nie będzie?

— Niewiadomo. Czyż można urządzić je bez kniazia? Jutro pewnie.

Słońce miało się ku zachodowi. Aleksander pomyślał i powstał.

— Odchodzisz? — Nie zanocujesz? — z niepokojem zapytał Meilach. — Pozostań, razem pójdziemy.

— Jutro wrócę, a dziś muszę iść.

Zarzucił broń na ramię i puścił się ścieżką w głąb lasu. Żał mu było straconego czasu i gniewało go to, że go oszukują, a że go oszukują nie wątpił. Wiedział również, że jeśli teraz nie dadzą mu stanowczej odpowiedzi, to będzie musiał czekać do przyszłego roku.

Wiec mógł się rozejść jutro, mogło go nie być zupełnie; zbierać zaś umyślnie wszystkich przedstawicieli gminy było niepodobieństwem. Zostanie więc bez sposobu do życia i będzie zmuszony nadzwyczaj przykre, a do niczego nie prowadzące awantury urządzać. Pod wpływem tej myśli zawrócił się już z lasu. Wierzył w powrót kniazia i pragnął upokorzyć Jakutów. Przeczucie nie omyliło go. Schowany za pień drzewa na skraju lasu, widział, jak wracali przedstawiciele rodów i rodowicze. Ukazał się i kniaz w towarzystwie tego samego chłopca, co pomagał jemu w poszukiwaniach. Zdało się nawet Aleksandrowi, że wyszedł z jurty, gdzie nadaremnie pytał o niego niedawno. Zaczekał, aż znikli we drzwiach gromadzkiego domu i szybko poszedł za nimi. Wewnątrz śmiano się głośno.

— Gdzie kniaz? Zawołajcie kniazia! — wołał Meilach, naśladując głos Aleksandra.

— Czego chcesz przekłety cudzoziemcze?

— Niech każe mi oddać Kapitonowe grunta, niech mi da babę, narzędzia i całe gospodarstwo.

— Grunta moje, a babę twoja... Zgoda!... Ona przecie Rosyanka — bronił się Kapiton.

— A to, ot lubisz?

— Niech Meilach da figę cudzoziemcowi! Ja tak radzę.

Drzwi się otworzyły i do izby wszedł Aleksander. Widok jego zrobił na obecnych piorunujące wrażenie. Nikt się nie ruszył.

— Witaj, panie, — pierwszy oprzytomniał Meilach. — Pewnieś czego zapomniał... I dobrze się stało, bo ot, wrócił i kniaz.

Aleksander był wzburzony, ale nie okazywał tego.

— Proszę was — zwrócił się grzecznie do kniazia — przedewszystkiem zająć się moją sprawą. Po to przyszedłem, a śpieszę się, by przejść rzekę jeszcze przed nocą.

— Jaką sprawą?

— O ziemię. Dlaczego kniaz udaje? Cały dzień się chował, a teraz wykręca.

Jakut zaczerwienił się i podniósł głowę.

— Nic złego nie zrobiłem, abym się miał chować. Cudzego nie pragniemy. Niema odpowiedzi od gubernatora, więc sprawy nie możemy załatwić.

— Co za odpowiedź! Wszakże wy prosicie w podaniu do gubernatora, aby stąd wypędzono moją córkę. Ja zostać mam przecie. Z miasta przysłano wam trzy rozkazy; w ich liczbie jest rozkaz od gubernatora, wiem dobrze.

— Na tamte myśmy odpowiedzieli.

— Więc odmawiacie? Przecież kniaz sam mi ra-
dził zaczekać na ten wiec!

W głosie Aleksandra drżał stłumiony gniew.

— Cóż ja mogę?... — odpowiedział Jakut. — Rozkazuje gromada. Każą — dam... Ale dokoła ciebie ziemia zajęta. Tam ma grunta Kapiton, a on się nie zgadza...

— Czy się zgadzam, czy nie zgadzam... moje, czy cudze, nikomu nic do tego. Nie mamy!... Rodowicze moi nie mają zbywających gruntów i tyle! — z uniesieniem wykrzyknął Kapiton. — Wszystkie nam potrzebne, wszystkie w tym roku zaorzemy... Jeśli kniaz zechce, niech

cudzoziemca do siebie sprowadzi, albo niech go przemie nie za rzekę. Czy nie tak ludzie moi?

— Nie mamy ziemi! Co tu gadać! — krzyknęła zgodnie gromadka, wśród której był i Tus, ojciec Toi, a nawet Żabie Oko.

— Za rzekę... Chyba na tatarskie miejsce, — obojętnie wstawił Meilach.

Obecni umilkli.

— Nad czem tu radzić!... Niema ziemi!... — stanowczo powiedział książ i powstał.

— Nieprawda! Grunta są; leżą odłogiem dziesiątki lat. Sami nie korzystacie i innym żałujecie. Chcesz, książ, ja ci wskażę masę ziemi zdatnej do uprawy.

— Niech sobie będzie. Przyda się dla naszych dzieci.

— Posłuchajcie — rzekł Aleksander łagodnie i serdecznie. — Siadaj książ i ja siadę. Posłuchajcie! Przecie znacie mię dawno. Dwa lata mieszkam między wami, a czy zrobiłem co komu złego? Czy usłyszał kto ode mnie choć słowo obraźliwe?

— To prawda! — Zgodzili się. — Złego nie robił. Zadowoleni z ciebie jesteśmy i prosimy, bądź taki nadal.

— Daliście mi dom, dostarczacie pokarmu... Wszystko to kosztuje.

— Ba! Sam wiesz, że kosztuje.

— Ziemia nic nie kosztuje. Dajcie mi ziemi, ja będę pracował, będę żył... i nic potrzebować od was nie będę.

— Posłuchaj. Zdarzało się, mówili tak inni. Da-

waliśmy, a później ani ziemi, ani spokoju... Karmiliśmy do samego końca. Dlaczego wierzyć mamy?!...

— Widzicie, rozbójnikom, łotrom dawaliście.

— Ze strachu dawaliśmy, ale nie należało dawać.

— Dam wam zobowiązanie na piśmie, że kwituję...

— Co papierek pomoże, jeżeli z głodu umierać będziesz! Z głodu człowiek robi się wściekły.

— Posłuchaj, cudzoziemcze — rzekł książę również jak Aleksander pojednawczo. — Ty mówisz — gruntów dużo. Sami nie orzecie, na co wam ziemia? Czy nie tak?... Dobrze. Żądasz niby niewiele — dziesięciu dzieściń pewnie. Moglibyśmy odciąć i dać. Przypuśćmy, żeśmy dali: wznosisz zabudowania, orzesz, siejesz — ziemię arendujesz... Pięknie! Pola wasze rozległe, wszędzie płoty i ogrodzenia... Nawbijacie kołków, poznosiscie ścieżki, skopiecie najlepsze pastwiska na wzgórzach, gdzie rosną słodkie trawy, gdzie tuczą się nasze stada. Bydłęta, wszędzie spotykają płoty, chodzą ogłupiałe i głodne. Jadła muszą szukać daleko od domu i dużo chodzić, mało jeść, więc chudną i mleka dają mniej. My żyjemy z naszych stad, wy żyjecie z roli. Gdzie wy wzrastacie w bogactwo, stamtąd my uciekać musimy. Ty powiadasz, żeś dobry, że szukając sprawiedliwości, przyszedłeś aż tutaj, więc przyznasz: co nam z tego, że wam oddamy, a sami pójdziemy na pustynię?... Przecie to ziemia ojców naszych. Gdy oni przyszli tutaj, nie było nic prócz borów, zwierza i komarów... Oczyszczili łąki, wygnali zwierza, a owady wytępilli dymem ogni. Na co nam stąd odchodzić? Powiedz, cudzoziemcze, gdybyśmy przyszli do waszego kraju, i jeśli byłem traktować wasze pola, czy bylibyście zadowoleni? Nie je-

steśmy obowiązani ustępować z ziemi naszej, tak myślę! Czyż dzieci nasze nie mogłyby nas obwinić i powiedzieć: głupi byli ojcowie, oddali bogactwo, a zostawili nam błoto i goły kamień. Co za korzyść, że na pięknych naszych polach pięknie mieszkać będą cudzoziemcy! I my z czasem orać i siał będziemy i już siał zaczynamy!... potrochu, gdyż odrazu nie wyrzucisz stąd swoich, a i zboże nie co rok tu rodzi... Wszak i wy trzymacie bydło... Więc poco wyrwacie nam ziemię?...

Aleksander przymknął oczy i milczał.

— Ziemię prawo mi daje; — wyrzekł nakoniec oschle — ono mię tu wysłało.

— Prawo?... Posłuchaj, cudzoziemcze: czyż my je pisali? Wy piszecie, co chcecie... Żle sobie, myślę, nie życzyacie!

— Niema zgody! nie damy! — hałasowali obecni.

— Złodziejowi, zbójcy dalibyście.

— Z nim nie mówilibyśmy tak! — odrzekł książ.

— Dalibyśmy, co taić, ale... zasiedatielowi. Jakut bez wahania nie mógłby wyżyć. Bardzo to lubi!... zaśmiał się Tus.

— Posłuchaj, Liksandra, my ci pomoc zwiększymy za twoje dobre prowadzenie. Słowo daje, zrobię to — rzekł Kapiton.

— Zapewne, że gmina zgodzi się, gdy ją cudzoziemiec poprosi — wyniośle przerwał mu książ. — Wiemy, że teraz, gdy masz córkę, nie starczy ci poprzedniej ilości, więc na lato dodamy pud mięsa i tyleż mleka. Zgoda?... W jesieni znów pogadamy...

— Bierz, cudzoziemcze, toć to nie zgorzej!

Aleksander otarł czoło, na które pot wystąpił kroplami.

— Ja nie chcę. Ja chcę ziemi...

— Ziemi niema.

— Grunta raz wzięte, nie wracają do nas.

— Gdzie jeden Rosyanin zamieszka, tam za rok lub za dwa cała wieś wyrasta. Znów będą rozboje i kradzieże, nawet gdybyś ty był dobry!

— Wszyscy oni jednacy! Jedne zawsze powtarzają wyrazy... Widzieliśmy ich niemało. Niema zgody.

— Kto wie, jaki będziesz, gdy ziemię dostaniesz! Dobrych nie wysyłają!... — krzyczeli Jakuci.

— Sam wezmę, jeśli nie dacie!

— Bierz, jeśli możesz! — uśmiechnął się książ. — Ale bez naszej zgody, wiedz o tem.

Aleksander wziął czapkę i skierował się do wyjścia.

— Cudzoziemcze, hej, cudzoziemcze! — krzyknął za nim Kapiton. — Wystuchaj, proszę, słowo...

— Co?

— Czyje grunta chcesz zająć?

Aleksander odwrócił się i wyszedł.

Słońce skryło się już za dużą szarą chmurę, która oparłszy się o zamykającą widnokrąg linię gór, wypuściła daleko na niebo swoje kosmate, pokrecone odnoża. Na brzydkich jej strzępach zorza natychmiast rozwiesiła wszystkie swe ozdoby; złoto, srebro, tęczowe barwy bogato wyhaftowały jej brzegi, przestrzeliły ją opalowe i ametystowe promienie, a pod nią na bładem niebie, osypanem drobnymi gwiazdami, legło podścielisko z jaskrawej purpury. Mgła i zmrok szybko zatapiały da

Aleksander szedł, przyspieszając kroku. Czuję, że

ogarniała go apatya i wstręt do wszystkiego. Daleko pozostawił już za sobą jurkę Meilacha, połyskującą wesoło oświeconemi oknami. Po przez rzadki las bielila się wstęga rzeki. Ale noc nadchodziła szybko, a on zdołał za ledwie przebyć połowę drogi. Znowu obstały go przeręble, szczeliny, oparzeliska pochyłe, zdradzieckie zapadliny. Śniegi za ledwie bielaly, a ciemne plamy wody zlewały się z szarą barwą mroku. Często dostrzegał je wówczas dopiero, gdy długą swą pałką uderzał w próżnię lub w czarne, jak atrament, strumienie. Kilka razy wpadł do wody, lecz szczęśliwie wydobył się na wierzch, zamoczywszy tylko obuwie. W układzie szczelin i przerębli zaszły zmiany w ciągu dnia, które rzuciły go na los trafu. Szedł omackiem i czuł niebezpieczeństwo wzrastające, im dalej zagłębiał się w kręte, a bystre odnogi. Ale dodawał mu odwagi obraz Zosi, pozostawionej w jurcie brudnej, pełnej robactwa i gnoju i przykra konieczność zanocowania u Meilacha w razie powrotu. Szedł bardzo wolno, wysunąwszy daleko kij, nasłuchując i wpatrując się bacznie. Wielkie oparzelisko przy głównej ławicy powinno było już być blisko; wpaść tam nie było niebezpiecznie z powodu płytkiej wody, ale zachodziło pytanie, w jakim stanie znajdował się lód na odmętach i dokoła jam. Wciąż więc stawał i nasłuchiwał, czy nie szemrze gdzie fala, wpatrywał się, czy nie błysnie woda, kijem stukał, by poznać po dźwięku, gdzie próżnia. I, jeśli zdawało mu się, że wszystko jest, jak być powinno, poszedł naprzód.

Nagle, gdzieś za nim, rozległ się trzask i jednocześnie on sam coraz szybciej zaczął się zsuwać po pochyłości, aż upadł. Woda chlustała mu pod nogami.

Chwilę leżał bez ruchu, całą siłą przylegając do kry, która kołysała się po nim. Nogi wisiały w powietrzu. Mógł popróbować kijem, którego nie wypuścił z ręki, ale bał się ruszyć, pojmując, że najmniejsza nieostrożność mogła go zepchnąć w odmęt, a kra nakryłaby go jak wiekiem. Powoli ustało kołysanie. Więc oswobodził prawą rękę i ostrożnie wyjął nóż z pochwy. Mimo to kra zakołysała się znowu i on zsunął się jeszcze o kilka linii. Czekał aż się uspokoi; rękę wyciągnął nad głową i lekkimi uderzeniami noża jął robić wydrążenie w lodzie. Potem wetknął nóż w zagłębienie i, nie zmieniając położenia, ostrożnie podciągnął się w górę. Powtórzył ten manewr kilkakrotnie, aż upewnił się, że może ukłęknąć na lodzie; wówczas na kolanach zaczął, pełzając, oddalać się od wody. Słyszał jej szmer i lękał się, że prąd uniósł go daleko. Widział przed sobą czarną, dużą plamę, w głębi której połyskiwały gwiazdy i nikiły, pochłaniane przez jakieś białawe obłoki. Groźny plusk wody dał mu jednak poznać, że się znajduje nad głównym prądem odnogi, gdzie było płytko i mógł przejść choćby w bród do wyspy. Stamtąd było już blisko do domu. Okazało się jednak, że kra nie oddaliła się od brzegu, więc zeskoczył i zaczął okrażać oparzelisko, uderzając o lód trzonkiem noża, gdyż koniec kija tak mu rozmiękł, że nie mógł dobyć nim głosu. Przed nim coraz wyraźniej zarysowywało się ciemne urwisko stałego lądu. Wyskoczywszy na brzeg, pobiegł rażno do jurty Żabiego Oka. Ruch rozgrzał go i wrócił mu pewność siebie i swobodę. Długo stukał do drzwi nim dobudz się śpiących. Kaszląc, kichając, odsuwała baba zapał

— Córki niema tutaj. Ona w domu u ciebie. .

— W domu? sama jedna?

— Sama jedna. A co jej się stanie? Odniosłam ją wieczorem i siedziałam, póki nie usnęła.

— Zuch baba! Z miasta przywożę ci gościniec. A teraz rozpal ogień, żeby odzież wysuszyć. Do wody wpadłem. W domu dziecko obudzę.

— Aj-ka-byn! — klasnęła w dłonie Jakutka, gdy przy świetle ognia zobaczyła Aleksandra przemokłego i lodem pokrytego.

— Niemożliwie zuchwały jesteś cudzoziemcze! Któż z ludzi odważy się przechodzić rzekę w noc tak ciemną.

Aleksander uśmiechnął się dumnie.

VI.

Wiele trudu miał Aleksander z poskromieniem Wronego i włożeniem go do pługa. Koń rzucał się, spinał, straszył go nieznany przyrząd, ruch kół, szelest ziemi, a opór zagłębiającego się w rolę żelaza podniecał. Drżał, pieniał się, stawał dęba, kilka razy złamał narzędzie. Aleksander nie miał nikogo do pomocy, gdyż nawet Żabie Oko stronił od niego od czasu zaboru ziemi Kapitonowej. Zosia i Ajaks, jedyni świadkowie jego usiłowań, zwiększali tylko zamieszanie. Dziecko krzychało:— Ojczy, ojczy! on cię zabije! — i rzewnie płakało, zakrywając twarzyczkę rączkami, a pies wściekle szczekał na nieposłusznego konia. Musiał więc oboje zamknąć w domu; lecz oglądał się często i za każdym razem widział twarzyczkę swej dziecińki przyciśniętą do szyby—

i to go krzepiło. Wreszcie po licznych próbach, oprowadzaniach, zaprzęganiach i wyprzeganiach Wrony zrozumiał, o co chodzi i zaczął iść brózdą prosto i równo. Jakuci, mieszkający w tej miejscowości, nie orzą ziemi w jesieni, tylko przed samym siewem. Aleksander postanowił zrobić na pierwszy raz, jak krajowcy. Zaorał kawał roli najbliższy swej jurty, na wzgórk, gdzie były ślady starej uprawy. Ziemia zdawała się dobra i dość pulchna. Obecność niektórych roślin była dowodem jej urodzajności. Aleksander marzył zając z czasem całe wzgórze, gdzie było ze cztery dziesięciny ziemi glinistej, ale na ten raz za mało miał czasu i ziarna, więc poprzestał na kilkuset sążniach. Dzień jeden poczekał, aby rola obeschła i wziął się do siewu.

Lody na rzece ruszyły już z trzaskiem — szły na północ, drugocąc się i piętząc. Po dolinie, to ozłoconej słońcem, to ocienionej chmurami, rozlegał się huk pękających kier, hulał wietrzyk, przelatywały wrzaskliwe stada wędrownego ptactwa. Co chwila dźwięczało w powietrzu gęganie gęsi, krzyki mew, głosy żurawi. Ogromne pułki kaczek przelatywały w milczeniu, szumiąc tylko skrzydłami, jak mgliste obrazy płynęły pary łabędzi ciche i spokojne. Na łąkach, na błotach, na jeziorach śpiewały, nawoływały się świstem, gdakaniem chóry kulików, pływek i drobnych kaczek. Na suchych wysokich tokowiskach wyprawiały harce polne koguty; w borze kukała kukułka.

Aleksander ostrożnie usypał ziarna z worka, który postawił na brzegu roli. Był wzruszony, ręce mu drżały. Spojrzał w niebo, chciał się przeżegnać i machinalnie zdjął czapkę. Zaczynał więc nowe życie! Dobrze, czy zł

zawsze ono miało być inne. Wszyscy mieszkańcy jurty byli obecni przy tej uroczystości. W pobliżu szarego, płóciennego worka stała Zosia, nie wiele od niego większa, w słomianym kapelusiku, z pękiem złocistych, jakuckich pierwiosnków w ręku. Obok usadowił się Ajaks i zwiesiwszy uszy, przyglądał się bacznie temu, co pan robił, nawet Wrony, zaprzężony do brony, zwracał ku niemu swą rozumną głowę, chrapał zlekka i strzygł uszami, zdziwiony niezwykłością ruchów Aleksandra. Ten rzucał zboże pełnemi garściami. Nie było to jednak rzeczą tak łatwą: pierwszy rzut był za silny, drugi za słaby, trzecią garść wiatr uniósł na miejsce już zasiane. Potworzyły się przerwy, zgęszczenia, które Aleksander nadaremnie silił się poprawić; napróżno starał się, ziarno nie słuchoło niewprawnej ręki. Podrażniony, zmęczony strasznie, umyślił nakoniec zrobić próbę z piaskiem, aby nie zmarnować ostatecznie pola i nasienia. Silił się przypomnieć sobie, jak to bywało w ojczyźnie, gdy szli chłopci, czerpali ziarno z fartucha i rzucali... krok jeden i garść leciała półkolem na prawo, drugi — półkolem na lewo. Raz dwa... raz dwa! Kilka razy przeszedł tak pole, siejąc piasek, aż uczuł, że nabrał pewnej swobody w ruchach; nie zdążył jednak zasiać ziarnem do połowy pola, gdy dostrzegł jeźdźców na przeciwnym brzegu jeziora. Przodem jechał jeden, za nim dwóch na jednym koniu. U jurty Żabiego Oka przeprawili się w bród i skierowali wprost do niego. Aleksander poznał Kapitona z synem i parobkiem. Na wszelki wypadek zarzucił na plecy broń, którą był zostawił około worka. Jakuci na roli zleźli z koni; zdawali się mieć tylko zwykłe

noże za pasem. Robotnik jednak słynął jako awanturnik i największy siłacz w całej okolicy.

— Kapsie! — powitał go ostrożnie Kapiton.

— Kapsie!

— Co robisz cudzoziemcze? Doprawdy na mojej ziemi siejesz! Przecież ona cudza! gmina ci jej nie dała. Sam słyszałeś powiedziała nie dam! Moja jest, a ja według prawa ustąpić ci jej nie mogę.

— Ja też według prawa... Mówiłem wam, nie dacie, sam wezmę. Skarż mię do sądu. Tyle lat nie siałeś tutaj: nie potrzebna ci.

— Czy potrzebna, czy nie — niech cię głowa nie boli. Nie dam, gdyż nie mam obowiązku odpowiadać za całą gminę. Wynos się!

— Wstydz się stary! Czyż dużo zabrałem ci ziemi? Kiedyś odejdę, oddam ci ją w lepszym stanie, niż wziąłem.

— Twego mi nie trzeba, a swego nie dam. A wstydz się nie mam czego; nie ukradłem, ani cudzego sobie nie przywłaszczyłem. Wynos się, wynos po dobrej woli.

Aleksander wzruszył ramionami i odwrócił się siał dalej.

Jakuci zastąpili mu drogę.

— Ani się waż! Ty przemocą, to i my przemocą.

— Oszalałeś, stary!... Ustąp z pola natychmiast!... Nie przeszkadzaj. Mówiłem ci, że możesz się skarżyć.

— To swoją drogą, a dać nie dam! — Wyciągnął rękę do brzozowego wiaderka, w którym Aleksander niósł zboże.

— Ej, Bahylej, — krzyknął na parobka — zabieraj worek!

Bahylej oddał cugle małemu synkowi Kapitona.

Aleksander pobladł i wziął broń do ręki.

— Słuchaj stary, nie trać rozumu, nie szalej. Ja zboże zasieję, choćbyś, Bóg wie, co dokazywał. Twierdzisz, że gmina nie kazała ci gruntu dawać. Dobrze, ja ci arendę zapłacę, a potem ją od gminy odbiorę. Zapłacę ile każe... zasiedatiel. A teraz wynos się! Zboże zasieję choćbyś na głowie stawał.

— Po co mam na głowie stawać! My też podatki płacimy, ludzie jesteście. Pieniądze nie my od ciebie, ale ty od nas bierzesz... Obca krosto!... Rozsypię ci nasiona i koniec!...

Wyciągnął groźnie nogę do worka, ale Aleksander odtrącił ją w mgnieniu oka mocnem kopnięciem. Jakut zachwiał się silnie.

— Patrzcie, patrzcie!... Bić się waży!... Tatarskiego musi być pochodzenia.

— Wynoście się! Grunt koło mego domu, więc mój! — krzyknął Aleksander i stuknął strzelbą o ziemię. Czarne jego oczy rzucały błyskawice; żyły na skroniach krwią mu nabiegły.

— Precz!

Jakuci cofnęli się i zbili w gromadkę przy koniach, ale nie myśleli odjeżdżać. Położenie stawało się kłopotliwe. Stać i pilnować ich nie chciał, pracować zaś w dalszym ciągu nie mógł, gdyż na pewno zabraliby mu worek z ziarnem. Jakuci odgadli jego wahanie.

— Nocować ot tu, w polu, będziemy, a swego

damy!... U-u-u! przeklęty rozbójnik!... Patrzy, jakby
wzdzie wbiął.

— Ajaks!... Ajaks, pójdź tu! — świsnął nagle na
, wybiegającego z gaju. Zosia wysunęła się też na
eg zarośli i ciekawie przypatrywała się ludziom. Pies
cił się do niego jak strzała.

— Ajaks, waruj tu!... Nie daj ruszać!... — Zostawił
przy worku, a sam siał poszedł.

Jakuci z nietajonym strachem spoglądali na duży
maty łeb zwierzęcia, groźnie ku nim zwrócony i na
alającą się postać Aleksandra. Żółte oczy straszdyła
lziły bacznie za każdym ich ruchem, a czarna obwi-
warga drgała i unosiła się spazmatycznie, pokazując
te zęby.

Aleksander oddalał się coraz więcej. Jakuci wsiedli
koń i pojechali za nim.

— Psem nas szcuć umyśliłeś!... Siej, siej, Liksan-
, ale zbierać nie będziesz!... Nie twoje doczekanie!... —
yknął Kapiton, zwracając na ścieżkę.

Nie spuszczał z nich oka, póki okrażali jezioro;
też często oglądali się, raz nawet zatrzymali konie,
mawiali długo, wskazując sobie rękami jego sadybę.
ed domostwem Żabiego Oka zsiadli i weszli do izby.

— Tchórze! Nic mi nie zrobią! Nie ośmielą się!... —
pnął Aleksander. — Idź do domu, córeczko! Bądź
eczna i idź do domu! Wrony bać się was będzie.
i zabierz Ajaksa — namawiał Zosię.

— Przychodzili Jakuci?... Żli przychodzili, czy do-
y?... Ziemi nie dają Jakuci?... — pytało dziecko, za-
lając w stroskaną twarz ojca.

— Idź, idź do domu, mówię ci!... Ajaks, do domu

Niechętnie odeszli oboje. Aleksander zaprzął konia do brony i ostrożnie zaczął go uczyć, prowadząc za trendzlę.

Raz obszedł pole i zrobił przerwę. Było już południe i słońce strasznie piekło. Ptaki nawet umilkły i pokryły się. Dokuczało mu pragnienie, Zosia wołała od progę, że chce jeść; poszedł więc przyrzadzić jedzenie. Po obiedzie wrócił na pole i pracował do późnego wieczora.

Słońce zaszło. Zmęczony koń poruszał się leniwie, trzeba go było pobudzać lejcami i głosem. Aleksander czuł się ogromnie znużonym od jednostajnego kręcenia się po małej przestrzeni.

Od rzeki wionęło chłodem; żelazne zęby brony zaczęły stukać o lodowate podścielisko gruntu, który z ustąpieniem słońca szybko zamarzał. Wilgotna przedtem ziemia stężała. Czas było wypocząć, zgotować wieszczkę, nakarmić i spać położyć dziecko.

Aleksander wyprzął konia i poprowadził do domu. Chciał zostawić bronę na polu, gdyż nie miał ochoty dźwigać ciężkiego narzędzia na plecach, lecz widok osiodłanego konia, stojącego u jurty Żabiego Oka, kazał mu mieć się na baczności.

Gdy, po wielu zachodach i trudach, siadł wreszcie z dzieckiem przy stole, a pies położył mu się u nóg, czuł, że spokój i zadowolenie wracają do jego duszy. Był to dla niego pierwszy dzień prawdziwej pracy. Po raz pierwszy w życiu dotknął się samego łona ziemi karmicielki, nie mając między nią i sobą pośredników.

— Jedz, córko — mówił, krając gorący podplomyk i nalewając aromatyczną herbatę. — Będziemy mieli niedługo własny placek.

— Czy z masłem?

— Może i z masłem.

Ogień wesoło palił się na kominie, złotymi błymi muskał pochyle ściany; Ajaks, zasiadłszy przed na tylnych łapach, poważnie pilnował gotującej się niego wieszery.

Aleksandra ogarniało niepokonane pragnienie spokoju. Oczy mu się kleiły, ręce opadały bezwładnie. I jednak jeszcze dużo do zrobienia: trzeba było Zorozebrać, bo spała biedactwo, położywszy główkę rączkach, Ajaksa i Wronego nakarmić, naczyńiazyć.

— Ojczy... ojczulku... moje kwiatki... to zamiast i... pozwól im spać ze mną... — szczebiotało, zasyjąc dziecko. Odszukał więc i położył obok niej na łusce bukiet, związany gałgankami.

Koń był jeszcze zgrzany; nie mógł go więc nakarmić; musiał czekać aż zupełnie obeschnie. Biedne zwierzę, zmęczone i głodne, rżało cicho i błagalnie, gdy całe siano do okólnika.

Praca na chłodnem powietrzu orzeźwiła Aleksandra. Wieczór był cichy, rosa padała obficie. Purpurowa zaalała przejrzysty strop nieba, kładąc na wszystko cienie swe tony. Zapalały od nich i sina dal, i czarny i tumany ponad łąkami, i obłoki, nieruchomo wice nad przepaścią Ałdanu i lody w tej przepaści przetrzone, loskoczące niedawno, a teraz jakby nagłym m zdjęte. Para kaczek przeleciała nad doliną i spa w pobliżkie zarośla. Myśliwskie ucho Aleksandra iło dolatujące stamtąd głosy: gęganie gęsi i słuomy namiętny gwar innego ptactwa. Tam wody wio-

senne tworzyły rok rocznie małe jezioro, gęsto zarosłe łożyną — ulubione miejsce noclegu wędrownego ptactwa.

Po chwili wahania uchwycił za broń i ruszył nad wody. Miał on tam myśliwską kryjówkę — ogromną tarczę z rozczochranych korzeni drzewa, przyniesionego przez wielki wylew wody. Podkradłszy się cicho, siedział osłonięty ich cieniem, ale nic nie mógł dostrzedz prócz czarnej powierzchni jeziora, połyskującej smugami srebra, purpury i fioletu, szarej sieci łoż i kęp wyschłego przeszłorocznego szuwaru. Tam to rozlegały się głosy, pluskała woda i poruszały gałązki, dając znać jak liczne kryły się w nich skrzydlate zastępy. Istotnie, kaczek było mrowie, ale wszystkie trzymały się w cieniu, zdala od podejrzanego pnia. Po długim czekaniu ukazała się na koniec jakaś bardziej nieostrożna, czy zakochana para. Aleksander poczekał aż obie kaczki w jedną zbiegły się linię i strzelił. Podniosła się nieopisana wrzawa. Zerwały się stada kaczek, kwacząc przerażone, białe czajki z płacziwym kwileniem wzbity się w górę, z sąsiedniej wydmy podniosła się chmura gęsi, łopocząc skrzydłami.

— Gęsi... gęsi... — szeptał Aleksander, pośpiesznie nabijając broń. Wydobył z wody zabite kaczki i nieruchomo legł za pnem.

Cisza. Tylko w przepaści Ałdanu kołyszą się parte lody, z brzękiem tłuczonego szkła sypią się iglaste szczątki ich poszczerbionych krawędzi. Rzeka jęczy, jak gdyby od wysiłku zrzućcia z siebie tej kryształowej powłoki. Gasną ostatnie promienie dnia. Z nieba pada mrok coraz gęstszy.

Od strony rzeki przyleciało stado kaczek, szumiąc skrzydłami, obleciały jeziorko, nad pniem wzbity się w górę i uciekły.

— Dostrzegły... — pomyślał Aleksander, tuląc się do drzewa.

Po chwili ujrzał kilka cyranek, siedzących na drugim końcu wody i znowu kaczki, ciągnące od strony rzeki. Szybko zakrył twarz czapką, by ich nie spłoszyć, ale wieczorem w lot strzelać nie chciał — prochu żałował. Czekał cierpliwie. Tymczasem światło gasło i coraz niewyraźniej widać było przedmioty. Już tylko w srebrzystych smugach zorzy mógł dostrzedz cośkolwiek. Gdzieś w dali gęgały gęsi. Para łabędzi uniosła się po nad zębatą krawędzią czarnego lasu i skierowała się ku rzece.

— Z górskich jezior... Musiał je niedźwiedź wypłoszyć... — pomyślał.

Z wyprężoną szyją, uderzając zgodnie wielkimi skrzydłami, płynęła majestatycznie królewska para. Chwilę kołowała nad doliną i nad lasem, aż opuściła się niżej. Widocznie szukała miejsca dogodnego na nocleg.

Aleksander wstrzymał oddech; zapomniał o córce, o koniu, o roli — skupił się cały we wzroku...

Wtem, nagle, w gaju rozległ się tętent konia i dało się słyszeć wściekle szczekanie Ajaksa.

Aleksander wyskoczył z ukrycia, płosząc kaczki, łabędzie i pędem puścił się ku domowi, lecz choć biegł prędko, tętent oddalał się coraz bardziej. Gdy wpadł na ścieżkę, zobaczył jeźdźca, wprowadzającego Wronego. Opanowała go taka wściekłość, że złożył się i palec

położył już na cyngiu; lecz w porę opamiętał się i zamiast strzelić, krzyknął tylko:

— Stój!... stój!...

Jakut odwrócił się i zobaczywszy broń, wycelowaną w siebie, puścił kantar. Zwolniony koń pobiegł dalej ochoczo, a jeździec rzucił się w bok i skrył w zaroślach. Po chwili ujrzał go Aleksander po drugiej stronie jeziora, jadącego spokojnie drogą. Zobaczył także, że znikł koń z przed jurty Żabiego Oka i domyślił się, kto był sprawcą porwania Wronego. Zrzucił więc broń na ramię i nie zwlekając, ruszył do sadyby Kapitona. Nim przybył tam, skończyła się krótka podbiegunowa noc i na opalowym niebie poranku już nowa paliła się zorza.

W sadybie Kapitona wszyscy już spali; tylko pies powitał Aleksandra krótkim szczekaniem z płaskiego dachu. Nikt nie wyszedł, nie ruszył się.

Nim próg przestąpił, Aleksander zdjął broń, i, nie bez wahania, powiesił ją według zwyczaju jakuckiego na kołku u wejścia.

W izbie rozlegało się głośnie chrapanie. Daremnie kaszlał i stukał, nawet ogień na kominie rozniecił, obudzić ich nie zdołał.

— Ej! Kapitonie!... — zawołał wreszcie zniecierpliwiony, podchodząc do łoża gospodarza, osłoniętego skórzaną oponą z metalowymi brzękadłami.

— A... aa!... Kto tu? Kto woła? — odezwał się głos za zasłoną.

— Wstawaj!... Przyszedłem do ciebie z interesem.

— Do mnie? Może znowu bić zechcesz... Przychodź we dzień!

— Bez żartów... Twój robotnik konia mojego uproził.

Milczenie.

— Konia, powiadasz, uprowadził!... Patrzaj go, ja!... Ja go bronić nie będę, przy sposobności daj dobrze po karku. Oł, jakich żartów pozwala sobie, poń! Ale, czy tylko pewien jesteś, że to nasz robotnik? Złapali go, albo konia znalazłeś u mnie na pośrzu?...

— Przystań już... sam kazałeś wziąć konia, wiem dobrze i przyszedłem go odebrać.

— Skądże go wezmę? Tyś konia stracił, a ja mam i konia i człowieka. Od wczorajszego wieczoru na go u mnie. Pewnie się gdzie włóczy, gra w karty, liki bo to nicpoń, ten mój robotnik. Zmuszony będę gnać go. Żart żartem, ale ukraść konia człowiekowi, jutro musi bronować, to trochę za wiele. Powiem jutro wieczorem przyszlę ci synka Mikołaja do pomocy... W dzień skwar, głowa chłopaczka zaboli...

— Nie, ty mi dziś zaraz dasz konia; sam szukać adę.

— Konia?... Nie mam konia! Kto zgodzi się dać ia w taki roboczy czas? Jeszcze spróbujesz nim brować, a nasze konie dzikie, nieujędzone... ciebie po i albo siebie zabije!... Nieszczęście!... Poradzę ci cuziemcze: ty konia nie prosz, a ja przyszlę ci jutro ka Mikołaja...

— Zgoda i na to — odrzekł po namyśle Aleksan.
— Tylko pamiętaj stary, że jeśli stanie się co memu iowi, ty będziesz odpowiadał!

— Cóż mi zrobisz? Krajać mię będziesz?

Wysunął z pod zasłony chytrze uśmiechniętą głowę i spojrzenia ich skrzyżowały się.

— To się pokaże.

— Zuchwały jesteś, cudzoziemcze, ale... nic nie wskórasz!

Aleksander wyszedł. Cóż miał robić? Mogł po skarżyć się księciu, ale skarżyć się księciu było to samo, co skarżyć się Kapitonowi. Klótnie Jakutów nigdy nie wychodziły za granicę spraw rodowych. Aleksander rozumiał, że dla obu stron jest równie wstrętnym i groźnym cudzoziemcem. Widział potrzebę dać im od razu poczuć, że żartować z siebie i krzywdzić się nie pozwoli; nie wiedział jednak, co począć i mocno zadumany wracał do domu.

Słońce już stało nad parowem Ałdanu. Złote blaski wypełniały łożysko po wręby. Wysokie, lodem pokryte osypiska brzegów ślniły się i woda z nich kapać poczęła. Jasne promienie przestrzeliły pęki traw, łoży, rąbki krzewów, zwieszających się na krawędzi przepaści; wychyliły się ku nim z cienia wierzchołki sosen pochylonych, podmytych, skazanych na zagładę. Wyżej, na płaskowzgórzach stały się jeszcze mgły, panował zmierzch.

Aleksander szedł szybko po drożynie, wijącej się wśród czarnych, świeżo wypalonych łąk i rozmyślał nad tem, gdzie ma szukać Wronego. Koń prawdopodobnie uciekł do stad, stęsknił się do nich w ciągłej robocie, a tabuny odeszły w las, na odległe pastwiska, gdzie nie dosięgły ognie, puszczone w pobliżu domów dla zniszczenia jesiennych traw i nie wygubiły młodej zieleni. Niełatwo więc było je znaleźć.

W sadybach, które mijał, wszyscy już spali, nie mógł więc pytać o radę i wskazówki. Nie wierzył im zresztą. Ale do jurty Toj, postanowił wstąpić na chwilę, gdyż usłyszał, przechodząc, jak drzwi skrzypnęły i zdawało mu się, że ktoś wyjrzał. Przeskoczył więc przez płot i spłoszył byka, z dużym drewnianym kółkiem w nosie, leżącego na środku dziedzińca. Bydlę sapnęło ciężko, podniosło się na nogi i nadstawiwszy kosmate uszy, patrzyło ciekawie. Psy poznały go także i poczęły się łasić.

Gdy otworzył drzwi jurty, Toj, na pół naga, rozniecała ogień na kominie. Ujrzawszy go, wstydliwie cofnęła się w ciemność.

— A co ojciec?... śpi jeszcze?

Dziewczyna nie odpowiedziała, ale stary Stefan wysunął głowę z pod perkalowej zasłony.

— A czego? Chodzisz po nocy; kto cię nie zna, gotów pomyśleć, że oglądzasz bydło lub spiżarnie... Z polowania wracasz? Zziąbłeś?... Kaczek dużo?

— Niema czasu na polowanie, spotkała mię bieda... Nagle błysnęła mu myśl.

— Słuchaj Stefanie, wynajmij mi byka na dziś do bronowania.

— Do bronowania?... A twój koń?

— Koń uciekł.

— Uciekł!... sam uciekł, czy jak?

Jakut usiadł, jak był, nagi, na brzegu pościeli i wlepił w niego oczy.

— Ta-ak! A co wczoraj robił u ciebie Kapiton? Wszak był?

— Był. Na co ci wiedzieć?... Zresztą wiesz pewnie i niepotrzebnie pytasz. Lepiej byka wynajmij.

— Tego prędko nie zrobisz. Myśmy ludzie ma-
luczcy. Mamy jednego byka. Jeszcze go zepsujesz. Prze-
cie na koniach tylko jeździsz... a czy byka umiesz zażyć,
niewiadomo... Dlaczego nie poprosisz Kapitona o konia?
On ma i chętnie da...

— Ciebie proszę, a ty do innego odsyłasz!... Prze-
cie żyliśmy dotąd, jak dobrzy sąsiedzi, i ty nieraz ko-
rzystałeś... Jeśli dziś pola nie zabronuje, wrony ziarno
wyzbierają... Nim konia znajdzie, wiele czasu upłynie;
swego szukać niewiadomo gdzie... W borze woda,
błoto...

— Racya... rozumiem... Ale i ty zrozum, że byka
dać nie mogę... Dlaczego nie weźmiesz od Żabiego
Oka?... Ja dać nie mogę... chyba, weźmiesz przemocą,
jak ziemię!...

— Przemocą nie wezmę, ale proszę cię bardzo...
Odwdzięczę się... odpłacę...

— Odpłacisz?... Cóż mi dasz?... Wolnym jesteś
człowiekiem, dziś tu, jutro tam, a sąsiedzi żywcem mię
zjedzą... Nie, nie mogę!

Aleksander wstał; było widocznem, że byka nie
dostanie. Wyszedł na dziedziniec i był już koło wrót,
gdy Jakut wyskoczył za nim i krzyknął:

— Liksandra... słuchaj! Daj trzy ruble i weź byka,
tylko nie mów, że dawałem.

— Trzy... drogo. Rubla dam.

— Widzisz jakiś ty! Mówiłeś — odwdzięczę się,
a trzech rubli żałujesz. Zgoda, niech cię tam, daj ru-
bla... A tylko pamiętaj: ja nie dawałem! — dodał po-

piesznie, oglądając się na Toj, która wyszła ze skopieniem na dziedziniec.

Aleksander nieznacznie wręczył mu papierek.

— Cóż to, cudzoziemcze, siłą chcesz wziąć! Patrzcie, patrzcie, on istotnie chce byka zabrać! Ludzie! ludzie! Co za grzech! — lamentował stary, podczas gdy Aleksander łapał i uprowadził byka.

Wydostawszy się za ogrodzenie, przełożył wodze kółka między rogi bydlęcia, siadł na niego po jakucku i pojechał. Śmiał się, lecz było mu przykro, Jakut zaś wciąż krzyczał:

— Ludzie, ludzie! patrzcie co się dzieje! Nie szanują nas, Jakutów.

VII.

— Ojczulku, rośnie, doprawdy rośnie!... — wołała Zosia, schylając złotą swą główkę do samej ziemi, by spojrzeć pod światło na niwę. Widziała niedawno, jak ojciec robił to samo.

Aleksander stał oparty o płot i przyglądał się zbożu. Gęsta, soczysta ruń pokrywała już pole, ale też teraz właśnie ujawniały się po trochu wszystkie braki i omyłki w robocie. Widok ich sprawiał mu prawie ból, widok tych łysin i tych gęstwin, gdzie stały zdźbła niskie, wątłe i cienkie, jak niedokrwiste dzieci. Drażniło go wspomnienie własnej nieudolności, a jednak nie było dnia, żeby nie odwiedził pola kilkakroć. Znał tu każdą trawkę, każdą grudkę ziemi; cierpiał od suszy, wiatru, chłodu, jakie dotykały jego rośliny, cieszył się z każdego

deszczu. Coś nowego, ostrego i barwnego, jemu, mieszcuchowi zupełnie dotychczas nieznanego, weszło z tą niwą do jego życia, tak jak wraz z Zosią weszło do jego serca nowe uczucie... A oba były sobie pokrewne. — Zdarzało się, że w początkach swego ojcowstwa budził się, jakby trącony obawą i z niewytlómaczonym lękiem, z nierozumną trwogą nasłuchiwał, czy oddycha jego córeczka, czy nie umarła, czy nie chora... I cieszył się, że się nic nie stało, jak gdyby stać się coś było powinno. — Obecnie budził się nietylko dla córki. Skoro Ajaks się ruszył, biegł zaraz do okna i przyłożywszy twarz do maluchnego szkiełka, śledził bacznie, czy czego nie widać. Gdy zobaczył przechodnia, wychodził przed dom i nie spuszczał go z oka, póki ten nie znikł. Alboż to trudno było złamać płot i puścić bydło. A Jakuci, czuł dobrze, gotowi byli porwać się na wszystko.

Jak zajmował go, zaciekawiał każdy nowy ruch w dziecku, każdy objaw nowej myśli, tak i tu, nic mu większej nie sprawiało przyjemności, jak w ciepły, słoneczny dzień wziąć Zosię za rękę i puścić się na poszukiwanie nowych na polu postępów.

Otwierały się przed nim rozległe widoki pracy bez kresu i końca; pracy, która nie była bólem, krzywdą, uciążeniem dla nikogo i pokrzepiający, cichy spokój wstępował do jego silnej, lecz trochę już znękaney duszy. Marzył, że tu zapozna się z rolą, a z czasem, w ojczyźnie, pod łaskawszem niebem, w miłszem otoczeniu będzie uprawiał swój kawałek ziemi. I mieć będzie innych panów prócz wiatru, deszczu i słońca, innych stosunków prócz pomocy temu, co żyje i rośnie!

Będzie miał pasiekę, moc kwiatów, sad... O ludziach nie chciał myśleć... prócz Zosi.

— Com miał, tom dał! Reszta moje!

I bez tego miał masę kłopotów i coraz to nowych.

Czekała go orka nowin, praca ciężka i trudna, o której myśląc, wzdychał często; trzeba było kończyć rąbanie żerdzi na płoty, gotować się do sianozęcia i przysposobić wszystko dla nadchodzącej pory rybołówstwa. W domu nie było herbaty, nie było białego końskiego włosa, bez którego sieci nie mogły być naprawione. Wszystko to można było dostać u Kapitona, ale przy obecnych stosunkach daremnie było tam się zwracać. Nietylkoby odmówił, ale jeszcze prawdopodobnie wyśmiał. Do innych udawać się też nie było poco.

Umyślił więc przeprowić się na drugi brzeg Ałdanu, odwiedzić Jakóba i prosić go o zakupienie potrzebnych rzeczy u sąsiadów.

Ałdan wracał właśnie po wylewie do zwykłego łożyska. Główne koryto i boczne odnogi pełne jeszcze były wody tętniącej gwałtownie, jak w gorączce krwią nabrzmiąle żyły. Nigdzie nie było widać ni żółtych piasków, ni kamienistych ławic; wszędzie urwiste brzegi występowały wprost z wody, a wieńczące je ciemne bory sosen, jodeł i modrzewi bez przeszkody przegłądały się w szarej, szybko pędzącej fali. Nadbrzeżne zarośla łoży prawie wszędzie stały jeszcze pod wodą, miejscami tworząc dziwne tamy-plecionki, przez które woda leciała z hałasem. spieniona i rozbita na tysiące strumieni.

Aleksander, płynął wśród nich w swej małej łódce, czepiając się rękami za wierzchołki krzewów.

Było to trochę niebezpiecznie, lecz skracało drogę. Sił oszczędzał, bo znał rzekę i wiedział, że nie żartuje, wybierał więc prądy słabsze, szukał smug cichych i spokojnych. Rzeka szalona, jedna z najbystrzejszych w Syberyi wrzała od wirów małych i dużych. — Prąd porywał łódź, wypukła fala uciekała z pod wiosła i co chwila groziło niebezpieczeństwo uniesienia na spienione odmęty. Cały czas prawie płynął przeciw fali, więc zmęczył się bardzo i gdy dotarł do lesistego cyplu, głęboko wrzynającego się w wodę, skąd była przeprawa na drugi brzeg głównego koryta, postanowił wypocząć. Wyciągnął łódkę i legł obok na trawie. Zwolna nadpływały wielkie kłęby siwych chmur ze srebrnymi brzegami; pod ich cieniem blask słońca to nił, to zapalał się w wodzie, która szara, olbrzymia rozpostarła się szeroko jak morze, wzniecając podziw, budząc niepokój nieustającym, niczem niepohamowaniem dążeniem. Nic jej wstrzymać nie mogło. Podarła na szmaty ziemię, pożłobiła odmęty, pokruszyła skały, usypała tysiące wysp i płynęła wśród nich błyszcząca, jak srebro, ogarniając je wszechwładnym uściskiem, bo one były jej pracą, jej własnością! Śnieżne wierzchołki niebotycznych gór wybiegły ponad sinawą przepaską dalekich lasów i przeglądały się wdzięcznie w jej wodach.

Aleksander nigdy jeszcze nie przepływał rzeki w tem miejscu bez przewodnika. U przeciwnego brzegu bystra, górská rzeka wpadała do Ałdanu prawie pod kątem prostym, tworząc duży i niebezpieczny wir, gdzie wicznie pienily się i huczały wysokie bałwany. Wprost niego wznosił się wysoki przylądek z grupą wysmukłych, *nad krawędzią* zwieszających się modrzewi. Między przy-

ładkiem i wirem słabo znaczył się blady, wężki pas spokojnej wody. Aleksander płynął z oczami w niego utkwionemi; musiał, koniecznie musiał tam się dostać.

Tymczasem słońce paliło, mdlały ręce, pot zalewał czoło i oczy. Nie miał pewności, czy dobrze płynął, czuł tylko, że prąd unosił go w bok z niesłychaną szybkością. Przy takim stanie wody nawet miejscowi rybacy niechętnie puszczali się na rzekę, więc poczynął już żalować swojej śmiałości. Coraz częściej w wianku syczących bąbli wyływały z pod łodzi potworne wodne pagórki, lotne wiry z głębi, wywołane uderzeniem prądu o podwodne głazy. Zsuwał się z nich z zawrotną szybkością i zdawało mu się, że był coraz bliżej tego miejsca, gdzie świstały i huczały rozszalałe bałwany. Łódka coraz mniej mu była posłuszną, coraz oporniej posuwała się naprzód. Nagle z boku wyskoczyły ogromne, jak bąble wzdęte fale, pianą jak posoką oblane, i ryk, huk stał się ogłuszający. Łódka drgnęła i nachyliła się... poleciała prosto w okropny lejek, na dnie którego syczał wężowy splot nurtów. Aleksander wszystkie siły wyteżył, wiosło wygięło mu się w rękę, jak słaba gałązka. W myśli zobaczył w tem miejscu surowe twarze jakichś rybaków, i poczuł, że jego twarz staje się taką samą. Lękał się spojrzeć poza siebie, choć przykro gijać, nie widząc.

Uderzył wiosłem raz, drugi; łódź wybiegła i wdzienne zakolysała się na spokojnej już wodzie. Odetchnął prąd odwrotny podniósł ją łagodnie we właściwym kierunku. Białe, wodne straszdyło daremnie kłapało zębami!

Rzucił wiosło, otarł pot z czoła i roześmiał się

Ogarnęło go znowu to miłe uczucie, jakie daje świadomość zręcznie pokonanego niebezpieczeństwa.

W godzinę później przybijał do urwiska, którego wierzchołek porosły był ciemnym, posepnym lasem, a na stoku biegła drożyna. Wyciągnął łódź na brzeg, w dziobie jej zatknął krzyżyk, na znak, że będzie wkrótce potrzebna, wiosło zabrał, schował w zarośla i ruszył w las.

Jurta Jakóba leżała o dwie wiorsty od brzegu. Droga do niej wiodła przez gęsty bór, do brzegów czarnego jeziora; potem zawracała pod ścianę lasu, który jak pierścieniem obejmował wodę i posłuszny jej zagięciom, łamał się w ciemne zakłęśności, jasne, sine przyładki, bladł, im dalej odbiegał, stawał się coraz bardziej płowym. Miejscami spuszczał się do samej wody i rzucał na nią cień czarny; to znowu wążuchną niteczką żywej zieloności rozweselał posepne brzegi. Nigdzie jednak nie było widać wyjścia z tej kotliny; wszędzie była tylko woda i knieja.

— Co za głusz!... Och, ci Jakuci, jakie mu miejsce wyznaczyli!... — pomyślał Aleksander okrążając jezioro. Ptactwa nawet nie było; czasem tylko na krótko, kwiląc żałośnie, ukazywała się biała mewa z nad rzeki. Legiony komarów roiły się nad trawami i zmusiły Aleksandra pędem uciekać do jurty, która, niska i zaniedbana, pojawiła się nareszcie na skrawku drożyny. Ziemia osunęła się z jej ścian i dyle, sterczące pionowo, świeciły na zapadłych bokach, jak żebra pogniętego tułowia.

Wszedłszy do wnętrza, znalazł się Aleksander

najzupełniejszej ciszy i w zmroku; ogień tlił się na kim kominie.

— Wyszedł! nikogo!... — szepnął półgłosem Alexander. — A to rudera!

Mylił się jednak. Na ławie leżał człowiek na wznak, ryciągniętymi wzdłuż ciała rękami. Słaby blask dzienny wniknął do izby przez brudny, rybi pęcherz w małym oknie i kładł żółto siną barwę na obrzękłą twarz człowieka, który usta miał otwarte i oczy tak zapadłe, aż przestraszył Aleksandra.

— Umarł!... Jakóbie!... — krzyknął wielkim głosem. Jakób oczy otworzył i zerwał się.

— Śpisz... wciąż śpisz!... A twoje serce?... Przecież zabronili.

Jakób nie witał go, nie odpowiadał, oczy wciąż tylko wiał i siedział nieruchomo.

— Sen mara! — wyrzekł cicho.

Drżały mu ręce, dolna szczeka, całym ciałem wstrząsły drgania.

— Co tobie?... Czyś ty chory?

— Nie... ze snu!... Ludzkiej twarzy dawno nie widział... ze dwa tygodnie. Zaraz przejdzie — uśmiechnął

— Nie uwierzysz, jak rad jestem twemu przyjściu! Sko, strasznie tęskno! Zrzuc twoją amunicję. Pójdę wodę; pewnieś bardzo spragniony...

Schwycił imbryk i zaczął się krzątać. Aleksander wiesił broń i czapkę na kołku i wyszedł za nim.

Jakób zgarbiony, opuściwszy na dół głowę i ręce dął wolno drożyną z powrotem. Postawa jego wyrażała takie przygnębienie i taką bezgraniczną tęsknotę, serce Aleksandra ścisnęło się boleśnie.

— Zająłbyś się czemkolwiek... choćby ryby łapać. Chcesz, zarzucę ci wędkę. Zawszeć to rozrywka.

— A dobrze — zarzuc! Lecz tu takie nieznośno komary, że nawet dymu się nie boją. Bywa tak, że nosa na dwór pokazać nie można.

— Niegodziwcy Jakuci! Taki zapadły kąć, że i kruk tu kości nie zaniesie. Wierzaj mi, z nimi lepiej być ostro, sprawiedliwie, ale ostro...

— Och, Aleksandrze, jakżeś ty się zmienił! Niedawno jeszcze nie mówiłeś tak. Czyż nam przystoi wojować z dzikimi?... Rok wcześniej, rok później... — cokolwiek lepiej lub gorzej... a z tych kłótni i sporów może coś brzydkiego przyłgnąć na zawsze... Już to, że z naszej przyczyny przysięgają krzywo, że łą, intrygują, już i to przykro..

— Czy znowu co nowego?

— Więc nie wiesz? Chcą ci szkaradny proces wytoczyć. Mówią, żeś groził i wymyślał na zebraniu przedstawicielom gminy, że teraz drogi z bronią strzeżesz, przejezdnych straszysz, złego psa trzymasz, że zabrałeś ziemię, chciałeś zastrzelić robotnika Kapitona, że...

— Cóż jeszcze?... — spytał z uśmiechem, zauważwszy, że Jakób miesza się i czerwieni.

— Że podczas nieobecności Meilacha zachodziłeś do jego jurty... Rozumie się, wszyscy wiedzą, że żona jego jest do gruntu zepsuta kobieta, ale... popełniłeś omyłkę, dając jej pieniądze...

Aleksander czas jakiś przechadzał się w milczeniu po izbie.

— Co za lotry!... A zresztą niech sobie robią.

co chcą. Wstyd nawet bronić się wobec takiego oskarżenia.

— Właśnie... Tymczasem bronić się będziesz musiał. Aleksander machnął ręką.

— Ee! Jakoś to się zrobi! Gdybyś wiedział, jak zboże moje wyrosło! Najlepsze w okolicy. Sami Jakuci przyznają... Pnie się jak na drożdżach. Mierzyłem: po dwa cale na dobę przybywa...

— A Zosia?

— Zdrowa. Gospodarujemy razem. Obecnie doku-
czają komary, więc ją w domu zostawiam lub odpro-
wadzam do Jurty Żabiego Oka, ale wszędzie ze mną
chodziła. Wiesz, Jakóbie, po co ja tu przyjechałem?
Herbaty nie mam, zabrakło mi soli, nici, włosia do
sieci...

Twarz Jakóba wydłużyła się i oczy spojrzały
smutnie.

— Ależ nie... nie! -- roześmiał się Aleksander.
Mam pieniądze. Zostało jeszcze trochę od sprzedaży
rzeczy. Tylko widzisz... niezręcznie iść do Kapitona. Od-
mówi. Więc... chciałem ciebie prosić, byś kupił u swego
księcia. Tylko śpiesz się. Chciałbym wrócić jak najprę-
dzej. Niepokój mię ogarnia, gdy długo Zośki nie widzę...
Dobrze? pójdziesz?... A ja tymczasem odpocznę.

VIII.

Koń Aleksandra całe lato zazwyczaj pał się ra-
zem z jakuckimi tabunami. Co dni kilka Aleksander
odszukiwał go i przypędzał pod dom, jeśli znajdował

pasącego się zbyt daleko. Tak robią wszyscy tutejsi gospodarze. Wspólne stada pod wspólną zostają opieką; jest to zwyczaj od wieków przyjęty.

Mimo obostrzenia się stosunków, Aleksandrowi nie przyszło nawet do głowy, że mogą ukraść mu konia. Szukał go więc długo, nim uwierzył, że go więcej nie zobaczy i wówczas dał znać do kniazia.

Kniaź przyjął go nadzwyczaj uprzejmie, wydał natychmiast dziesiętnikom rozkaz rozpoczęcia poszukiwań i obiecał tam pojechać.

— Trzeba było trzymać konia bliżej domu. Rozmaici ludzie chodzą po drogach.

— Nie mogłem przecie przywiązać go do kołka: zdechłby z głodu i tęsknoty. Dwa lata chodził z tabunami i nie zginął.

Książę wzruszył ramionami.

Przeszukali las, zrobili rewizję u kilku sąsiadów i nie wykryli najmniejszego śladu. Wszyscy się oburzali i wreszcie zgodnie napadli na Żabie Oko.

— On, nikt inny tylko on. Posłuchaj, Liksandra — on! On twój najbliższy sąsiad.

— Ptak nie przeleci, żeby Jakut nie zauważył go, cóż dopiero koń... — dowodził Tus. Myslę, że koń nie mniejszy od ptaka.

Żabie Oko wypierał się, wyprzysięgał.

• — Darmo wypierasz się, stary! Kto ci uwierzy?... Gębę lepiej wytrzymaj, gdyż świeci się od końskiego sadła!...

— Mówiłem ci dawno, wynoś się stąd. Na co czekasz?... — krzyknął na niego książę.

— Przecie koń nie tutaj chodził.

Aleksander słuchał w milczeniu tych sporów.

— Zapłacicie mi za konia! Nie zapomnę ja wam tego... — rzucił gniewnie.

— Czy podobna zapomnieć?... Koń taki był uko-
chany, jak dziecko, wszyscy o tem wiemy... Niech
płaci... On zapłaci, nikt inny!... wskazywali palcami Ża-
bie Oko.

W kilka dni potem Aleksander zobaczył Żabie Oko
ładującego swoje manatki. Pobiegł więc tam zaraz, ale
daremnie perswadował mu i tłómaczył.

— Nie posądzam cię ani trochę. Zostań, proszę!

— Ty nie posądzasz, ale oni co zechcą, to zro-
biają!... A zresztą ja nie dlatego, ale... czas kosić siano.
Mam łąki daleko na wyspach i muszę wykoczować z ca-
łym domem. Na jesień wrócę... obaczysz, wrócę...

Lecz widocznem było z niektórych rzeczy, że Ja-
kut wrócić nie zamierzał. Zabrał nie tylko ramy okienne,
obciagnięte pęcherzem, ale i drzwi, z desek sklecone.

Po jego wyjeździe wyludniło się dokoła Aleksan-
dra w promieniu kilku wiorst. Mijały tygodnie, że nie
widzieli z Zosią ludzkich twarzy, gdyż czas był roboczy
i przechodnie pojawiali się nadzwyczaj rzadko.

— Bądź grzeczna, Zosiu! Wszyscy wrócą, konia
kupimy i Majka przyjdzie bawić z tobą. Bądź tylko
cierpliwa i nie dokuczaj mi! — uspakajał marudzącą
dziewczynkę.

Siano skosił tyle, ile znalazł w pobliżu domu. Nie
mógł oddalać się z domu na długo, a dziecka brać
w las lub na łąkę nie pozwalały upał i komary. Słońce
paliło niemilosiernie; ziemia kurczyła się i pękała o
jego promieni; w lasach było nie do wytrzymania dr-
szno, — żywica występowała obficie i sączyła się !

korze drzew, przepelniając powietrze upajającą wonią. Wszystko szukało cienia, w południe kryły się nawet owady. Woda w Ałdanie to opadała, to wznosiła się, zależnie od śniegów, tających w górach. U brzegów, gdzie woda cicha i ciepła — gromadnie żerowały ryby. Aleksander zajął się skrzętnie ich połowem. Miał niedaleko, o wiorstę, miejsce dogodne dla rybołówstwa: niedużą, ze wszech stron zaciemnioną łacę. Otaczał ją gąszcz wysokiej, prostej jak bambusy łożyny, tworząc wianek z płatynowo szarej, kędzierzawej zieleni ich czubów, który w głębi wód ciemnym odbijał się obrazem. Nad łożyną, na brzegu, gdzie wyżej i suszej, szumiały gałęziami złotawo-zielone modrzewie i strzelały tu i ówdzie ostre, prawie czarne wierzchołki syberyjskich jodeł. Srebrzysta wstęga wąziutkiego odpływu łączyła zatokę z rzeką, odsłaniając siną dal i ogromną, szarą płaszczyznę wiecznie ruchliwej wody. W zatoce zawsze panował spokój, którego nie mogła zamącić nawet burza szamocząca gałęziami strzegącej ją gęstwiny; do środka zaglądał tylko błękit nieba, słońce i księżyc. W świetlnych tych smugach lubiły drzemać potworne ryby, żarłoczne tajemnie i szczupaki, snuły się roje migocących srebrnymi łuskami, ruchliwych łososi, modra ostro-nosa sterlet podpływała do brzegu i wysuwając pyszczek swój, do macki podobny, zbierała glisty, robaczki i wpadłe do wody korzonki. Tu wodne męty opadały najwcześniej, a powódź najpóźniej przynosiła swe brudy. Miejsce było bardzo dla rybołówstwa dogodne.

Sieci miał pięć. Trzy w dzień zarzucał, dwie suszył. Ryby łapać nauczył się od krajowców, tak jak i wszystkiego, co umiał praktycznie. W rzeczach nie-

znanych doświadczenie kazało mu trzymać się rutyny. Więc do czasu przyjął na wiarę miejscowe zwyczaje, sposoby, nawet niektóre przesady.

Wierzył na przykład, że wypuszczona z rąk ryba straszy i uprowadza inne, gdyż przekonał się istotnie, że w miejscu, gdzie taki zdarzył się wypadek, długo potem nic się złapać nie dawało; wierzył także, że rzucone na dno ostrze żelaza źle wpływało na połów i, że najlepiej zarzucać sieci na nowiu księżyca. Nieraz, cicho płynąc łódką lub leżąc przyczajony na brzegu, ścigał oczami stada podwodnych mieszkańców, widział jak każdy z nich pilnie naśladował ruchy przewodników przebiegłych, ostrożnych, bojących się wszystkiego, co nowe, widzących doskonale swojemi nieruchomemi oczami bez powiek. W obyczajach ich zauważył wiele rzeczy niewytłómaczonych i tajemniczych. Całemi gromadami to pojawiały się, to znikaly, to weseliły się, pluskały, pokrywając całą rzekę drobnemi zmarszczkami, to znowu przepadały gdzieś, na dnie odmętów, gdzie w ciszy leżały bez ruchu, jak kłody. Czasami, poprzedzało to deszcz, burzę, niezwykle skwar lub wietrzny czas, lecz także niekiedy zjawiało się zupełnie bez powodu. Bywały dni, gdy dawały się łowić obficie i dni, gdy żadna nie wpadła do sieci, choć mnóstwo igrało i pływało w pobliżu. Miały one swoje radości i swoje trwogi, swoje podstępny, wybiegi i bitwy. Wierzył nawet w rybą rozpacz, gdyż zdarzało mu się wyciągać olbrzymy, co zupełnie wolne z rozpaczny chyba usypiały, chwyciwszy zębami włos sieci, nie puszczającej ich z zatoki na głębie.

Doświadczeni rybacy radzą oglądać sieci zawsze

przed wschodem słońca. Ryba nie lubi blasku dnia, widzi oczka i póty będzie się rzucać i kręcić aż się wyplączę i ucieknie. Istotnie, we dnie najczęściej Aleksander wyciągał sieci puste i splątane. Więc zawsze rano, przed wschodem słońca wstawał ostrożnie, by nie obudzić Zosi i wysuwał się na dwór. Po skwarным dniu, noce bywały zimne i rosa padała obficie. Łąka, przez którą wiodła ścieżka do sieci, wydawała się, jak usypana perłami. Na każdej gałązce, trawce wisiała kryształowa kropelka, liście przyprószone były drobnouchnym ich pudrem, w kieliszkach kwiatów leżały duże, przezroczyste lzy barwne, jak topazy. Aleksander szedł zawsze boso, a obuwie nakładał z powrotem, gdy nogi miał zmęczone i zziębnięte. Chłodny prysznic spadającej z traw i kwiatów rosy siekł mu stopy, rozkoszny deszcz życia i siły, prostował tylko co ze snu zbudzone członki. Na ramieniu przewiesił broń, za pas wetknął nóż, a w koszu na plecach niósł świeżo wyporządzone sieci. Za chwilę miał być tam, gdzie pluskała się ryba. Jak cień, bez szelestu przesuwiał się przez łożynę, broń zdjawszy z ramienia, u wejścia do gęstwiny trzymając ją na pogotowiu. W zatoce lubiły nocami przesiadywać kaczkę, kilka razy zastał też i gęsi, więc nie wchodził, nie przeniknąwszy bystrem wejrzeniem wszystkich zakątków śpiącej wody, nad którą rankiem unosiły się zawsze białe opary.

Słońce złoćło już brzegi zielonej opaski, wiatr poranny dmuchał od rzeki i kołysał unoszącymi się nad nią mgłami, gdy rybak zepchnął łódź i popłynął ostrożnie, miarowo uderzając dwu-skrzydłem wiosłem. Dziób łodzi chylił się, łagodnie rozbijając powierzchnię wód.

Aleksandra paliła ciekawość: Co znajdzie w sieciach? co mu przyniosła noc? Pierwszy rząd pływaków z kory brzozowej drgnał, potrącony falą. Rybak odwiązał koniec sieci od palika i zaczął zbierać na palec górne pętllice. Pusta, czy nie? Coś w niej drga i opiera się, ale to może tylko gałąź, która ugrzęzła na dnie. Już blisko. Nie!... Nagle wśród wody mignął czerwony ogon, na wierzchu ukazała się szeroko rozwartą zębata paszczyka i zagotowało się u burty. Jeśli to była bardzo duża sztuka, która mogła łódeczkę wyrzucić, Aleksander spuszczał sieć i odpływał na mieliznę. Tam wychodził z łodzi, ostrożnie wyciągał zdobycz i ogłuszał ją silnym uderzeniem. Drobniejsze ryby wydobywał na miejscu i rzucał na dno łodzi, gdzie tłukły się długo. W łasze poławiały się zwykle duże ryby, ale w małej ilości. Czasami dwa, trzy dni minęło, nim się coś złapać udało. Od czasu wyjazdu Żabiego Oka zdarzało się to coraz rzadziej, gdyż Aleksander raz tylko na dobę sieci zakładał. Jeśli sieć długo stała nieporuszona, ryby przestawały igrać i pływać w tej stronie: odstraszały je pławniki, sznurki i oczka. Zatoka mało posiadała rybnych mielizn, a nowych szukać było niepodobna z powodu znacznej odległości. Parę razy tak się zdarzyło, że zatrzymawszy się dłużej nad rzeką, za powrotem znalazł Zosię przed domem, szlochającą i nieubraną. Gniewał się na nią, ale to nic nie pomagało.

— Głodna jestem, tatusiu i sama — usprawiedliwiała się biedactwo.

Tymczasem ryb coraz mniej było; zapasy żywności wyczerpywały się: mąki zostało tylko trochę, a mleka nie widzieli już od wyjazdu sąsiadów. Na domiar złego

Jakuci zauważyli widocznie, że rzadziej bywał na zatoce i zaczęli płać mu figle, wyciągać i płać sieć, raz nawet spuścili czółno na wodę; uprowadzić go nie mogli, gdyż było tak małe, że obawiali się sięść na niego, ale zepchnęli je na rzekę. Aleksander długo szukał, nim je znalazł, zaniezione prądem daleko i wyrzucone na brzeg. Niezmiernie go to zmartwiło i oburzyło.

— Doprawdy, lepiej rzucić wszystko i oddać się wyłącznie wychowaniu córki!

Zaśmiał się gorzko. Czyż mógł się ludzi? Znał dobrze krajowców; wiedział, że mu nie dadzą nawet tego, co obiecali, jeśli się przekonają, że im to uchodzi bezkarnie, nie przestaną psocić mu, póki się go nie pozbędą. Zmieniłyby się powody do walki, ale ona sama nie przerwałaby się, a życie jego stałoby się łańcuchem nędzy, głodu i upokorzeń, jak tych kryminalistów, którzy okazali lękliwość, lub których osłabiło kalectwo. Już lepiej zabić siebie i dziecko! A wyjeżdżać do miasta nie było dostatecznych powodów: niewątpliwie kazaliby mu wrócić. Od tych myśli posępnych sposepniała i twarz jego: był tak smutny, że aż Zosia zauważyła to i próbowała go pocieszać.

W tym właśnie czasie Ajaks, który dla braku pożywienia dawno już był zostawiony swemu własnemu przemysłowi, przyniósł do domu kawał zgnięgo mięsa. Czarna sierść na skórze zwróciła uwagę Aleksandra, zaczął więc śledzić psa i znalazł wkrótce w głuchym ostępie na pół z ziemi wykopanem trochę objedzone i dobrze zgnię: głowę, skórę i nogi Wronego — to co najłatwiej w czasie rewizji mogło wydać złodzieja. Pokonał *wstręt* i podniósł za ucho zbrukaną głowę przyjaciela

swego i współpracownika. Miała ona bardzo smutny wyraz, dolna warga była obwisła, zęby kurczowo zaciśnięte, a w oczodołach roilo się robactwo. Ślizka, wilgotna, wysunęła mu się z dłoni i napowrót w jamę upadła. Wytarł rękę o trawę i odszedł pośpiesznie, nie zawoławszy nawet Ajaksa, który czegoś zawstydzony, krył się w krzakach. Czuł, że mu się zbiera na płacz. Konia tego kupił młodym, nieujeżdżonym żrebakiem i długo był on razem z Ajaksem jedynym towarzyszem jego wygnania.

— Niegodziwcy!... niegodziwcy!... — powtarzał. — Otóż nie! nie dam ja się wam!

I znowu o różnej porze dnia i nocy przechodnie zaczęli spotykać na swej drodze silną, barczystą postać z bronią, przewieszoną przez ramię.

— Cóż ten szatan rosyjski nie śpi, czy co? — mówili. — Włóczy się dokoła swego pola i swoich sieci, jak niedźwiedź dokoła barłogu.

On im nie groził, nie upominał, tylko przeprowadzał każdego długim, przenikliwym spojrzeniem, a nieznajomych pytał krótko:

— Kto? Skąd i dokąd?

— Niech Bóg uchowa! Kto inny zrobi, a ty odpowiesz! — straszili się wzajemnie krajowcy opowiadając sobie o spotkaniu z nim. Jadący, dostrzegłszy go, potrząsali żwawiej batem i zbierali cugle; piesi zdaleka zdejmowali czapki i zbliżali się lekliwie, kiwając głowami.

— Tem lepiej! Rozumieją tylko strach, niech go więc czują.

I nie wzruszała go bladość twarzy ludzi, zmienacka

w lesie zaskoczonych, drzenie ich warg, strachem rozszerzone źrenice; nie ścisnęło mu się serce, jak niegdyś, bolesnem uczuciem, że go nie znają, nie pojmują. Nie zbliżał się więcej do nich z łagodną perswazyą.

— Byłem i jestem im życzliwy — mówił teraz — lecz dzicy są, muszą się bać.

Usprawiedliwiał ich nawet do pewnego stopnia, przypominał sobie słowa kniazia, dowodził samemu sobie, że są warci szacunku, ale poprzedniej, cieplej, serdecznej przychylności, już nie czuł. A gdy chciał wcielić ich do szeregu tych wszystkich, nad losem których cierpiał i za których duszę niegdyś oddawał — serce jego wyniosłe milczało. Nie był w stanie przebaczyć świadkom a po części i narzędziom swego poniżenia. Nie mógł im darować rozpaczony swojej na widok sieci, na brzeg wyrzuconych i głodu, zagładającego mu w oczy, nie mógł im zapomnieć zbrukanej głowy zabitego konia. Obrzucili go błotem, obwinili o wstrętne przestępstwa, wyciągnęli mu duszę, jak strunę... Nie!... Niech cierpią! Niech także czują!... Lecz po co? na co? dlaczego? Co oni winni? i co za korzyść z tego?

Takie myśli precz odganiał, rozumowań takich nigdy nie lubił.

— Winnych niema, a są przeszkody i... nie mam wyjścia!

Lecz do jakiegoż wyjścia zmierzał? Bo to był przecie początek. Pierwszy raz przychodziło mu walczyć w obronie własnych interesów i widział się zupełnie odosobionym. I używał takich samych sposobów, co wyrzutki społeczeństwa, którzy także nie mieli wyjścia i straszliwi Jakutów. Cóż z tego, że on obiecywał

być innym w przyszłości. Czyż krzywda kiedykolwiek przestaje być krzywdą?

W głowie jego zasiadło mrowisko gryzących myśli, które głuszyła tylko praca ciężka i łowy. Przestał się uśmiechać, wychudł i poczerniał. A praca była dla niego męczarnią, gdyż oddalała go z domu i wskutek tego skazywała go na ciągłą trwogę o dziecko, o dom, o zboże...

— Spalą, zniszczą, stratuja!... — rozmyślał.

Z tem wszystkim Zosia coraz częściej zostawała sama w jurcie. Aleksander wyęczał siły w poszukiwaniach pożywienia, aby tylko przetrwać jakkolwiek do zniwa. Plecioną przegrodą zamknął odpływ łachy i postawił więcierz, a sieci przeniósł na inne miejsce. Próbował nawet zarzucić je w jeziorze, obfitującym w karasie, ale wprędce zaniechał tego, gdyż znalazł współzawodnika w niedźwiedziu.

Razu jednego, gdy się był dłużej nad łachą zabawił, usłyszał w lesie głosy jakies niezwykłe. Chcąc zajść drogę szkodnikom, jak przypuszczał, ostrożnie przekradł się przez zarośla i stanął na ścieżce. Trzask gałązki, łamiącej się pod jego nogą, uciszył głosy, ale w zaroślach przesunęło się jakies duże, kudłate cielsko. — Czyżby mój współzawodnik, aż tu mię ścigał? — pomyślał sobie Aleksander. Zdjął więc broń, i czuł, że mu serce mocniej bić zaczyna. Miejsce było ciasne i niedobre do walki. Gdyby chybił, zwierz powaliłby go, nimby zdążył nóż z pochwy wyciągnąć. Nagle krzewy rozsuneły się i wyjrzała z nich poczciwa głowa Ajaksa.

— Ajaks, ty tu!

Pies rzucił się ku niemu, aż tu za nim, wśród zielonych gałęzi, ukazała się złota główka Zosi.

— I ty także!... Co to znaczy? — krzyknął przeżony.

— Tatusiu, tak dawno cię szukam!... Komary tak gryzą!

— Niedobre dziecko!... niedobre! Dlaczego wyszłaś z domu?

— Ojczulku, tak nudno, tak strasznie nudno!... Nie gniewaj się ojczulku... Przecież znalazłam ciebie...

Dziewczyna, mówiąc to, uśmiechała się i była taka słiczna, że ojciec uchwycił ją i zaczął obsypywać pocałunkami.

— Brzydka nieposłuszna dziewczynka!... Martwisz mnie... Bóg wie, dokąd zająć mogłaś...

— I ty mnie martwisz... Przychodzili Jakuci, o ciebie się pytali...

— Co mówili?

— Nic nie mówili, tylko do spiżarni zajrzeli, zboże oglądali, siano...

— Dobrze, niech patrzą,.. Nic nam od nich nie trzeba. Siadaj!

Posadził ją sobie na ramieniu i ruszył nad łąkę kończyć zaczęłą robotę. Na brzegu rozniecił ogień i dziecko obok niego umieścił.

— Siedź, nie ruszaj się, inaczej zaraz do domu odprowadzę.

Brał ją potem jeszcze kilka razy ze sobą, ale to utrudniało mu bardzo swobodę ruchów. Trzeba ją było nosić, w łódce trzymać na ręku, gdyż kręciła się i wychylała. Nie ważył się też przepływać z nią wirów i by-

strych wodnych spadzistości, ale na brzegu zostawiać jeszcze bardziej się lękał. Kto mógł zaręczyć, że nie wpadnie do wody, nie zsunie się z krawędzi urwiska, nie stanie się pastwą niedźwiedzia, który mógł również niespodzianie ukazać się nad rzeką. Więc nie miał ani chwili spokoju.

Upały wzrastały, ziemia rozgrzewała się do tego stopnia, iż parzyła nawet przez obuwie. Woda w rzece gwałtownie opadać zaczęła. Z obnażonych trzęsawisk, z ogrzanych głębi wydobywała się zgnilizna. Aleksander czuł, że wdycha malaryę, gdy pochylony nad wodami, przeglądał sieci. Siły opuszczały go widocznie, głowa bolała często. Dziecka, rozumie się, nie brał już więcej ze sobą. Zamykał ją na klucz, a wracając, słyszał nieraz, jak zanosila się od placzu w pustej izbie.

— Choćbyś mi Ajaksa zostawił — prosiła.

Zostawiał więc Ajaksa i zamykał oboje, choć go żywienie psa na większe narażało wydatki. Nieraz po całych dniach włóczył się po lesie za zwierzyną. Kaczęta były jeszcze zbyt małe i starki strzegły pilnie, nie wypuszczały z sitowia. Bez psa nie można było ich wypłoszyć, a Ajaks nie był ułożony do polowania; kuropatwy i cietrzewie odleciały w góry na jagodniki, nie było więc zwierzyny blisko w milczących borach. Ryba też nie dopisywała w płytkich zatokach; trzeba było szukać miejsc nowych. Drobną poławiała się jeszcze, choć w nieznacznej ilości. Gotowali z niej zupe, suto zaprawną dziką cebulą. Miał jeszcze wprowadzić trochę pieniędzy, ale odkładał je na czarną godzinę, na ostatnią potrzebę, a ta według niego jeszcze nie nadeszła.

Tymczasem zwykła o tej porze spiekota i posu-

cha dochodziła ostatecznych granic. Deszczu nie widziano już ze trzy tygodnie. Ziemia wyschła i rozpalona, jak cegła, ogrzewała powietrze nawet w nocy. Rosa nie pojawiała się wcale; trawy spopielone zrudziały i uschły, lasy opuściły senne, przeredzone konary; wszędzie wkra-
dał się i wszystko rdzawił gorzki, lotny pył. Siwa mgła przysłoniła dal. Od kniei wiało gorącym, niezdrowym aromatem, od bagien i jezior zgnilizną. Tylko rzeka od-
dychała świeżością; odzywała się wdzięcznym szmerem; lecz i ona skurczyła się, obnażając olbrzymie ławice. Zboże rosło i rozwijało się słabo.

Nakoniec suche tumany wypęzły ze swych kryjówek i pokryły okolice płowym welonem. Pod ich zasłoną jasne dni i przejrzyste noce zlały się w jedną szarą, potworną całość. Słońce czerwone, bez blasku przesuwalo się nad ziemią, jak księżyc w noc mglistą. Powietrze nabrało cierpkiego smaku i stało się gęste, jak wata, do płuc nie przenikało, w ustach więzło, w gardle dusiło i drapało. W popielatej mgle wszystko wydawało się popielatem. Ptactwa nie było wcale widać: umilkła kukułka, nawet wrony przestały latać. Ludzie i zwierzęta ruszali się niechętnie, leniwo. Kwiaty rozwarły szeroko spragnione korony. Ni kropli rosy, ni najmniejszego wiatru podmuchu... Dzień i noc jednakowo gorące i ciemne!

Tak minęło kilka dni.

I znów poziom Ałdanu bystro podnosić się zaczął: ostatnie śniegi musiały stopnieć w górach. Woda płynęła brudna i mętna. Ryby zupełnie przestały się łowić. Aleksander powiesił sieci na kołku. Jeszcze miał solonej ryby na dni kilka.

— Jedz, córko — oddawał Zosi co lepsze. Dziewczynka jadła niechętnie niezdrową strawę, bladła i chudła. Sam on dawno już nie dojadł i ledwo trzymał się na nogach.

— Nie! Trzeba z tem skończyć! Nie doczekamy się chleba... Trzeba pójść...

Przedtem jednak udał się jeszcze raz nad rzekę, by zobaczyć, czy woda nie opada. Wszędzie wisały gęste, płowe tumany, ale wrażliwe jego zmysły łowiły już coś, co wróżyło odmianę. Wylew był wstrzymany, od rzeki wiało świeżością. Stał długo i patrzył na belkoczące pod mgłą nurty. Można już teraz było sutego spodziewać się połowu i to lada dzień. Przetrywają, byle tylko kupić trochę żywności u sąsiadów. Broni można jeszcze było nie składać!

Postanowił iść zaraz. Lecz wahał się, czy wziąć dziecko, bo czuł, że go nie udźwignie. Pięć wiorst drogi! I przytem może nie zastać Jakutów.

— Córuchno, córeczko droga!... nie płacz, nie płacz, nie tęsknij, posiedź spokojnie... Ja zaraz wrócę... Masła, mleka ci przyniosę... Kaczątko małe zabiję... Dobrze dziecinko? Ajaks z tobą zostanie, baw się z nim... Ale nie płacz nie ruszaj nic... Nie lękaj się... Ja wrócę prędko...

— Dobrze... ojczulku... tylko przychodź niedługo.

Wyszedł i zamknął ją na klucz. Odchodząc, w okno jeszcze raz spojrzął i zobaczył bladą twarzyczkę Zosi, która stojąc na ławie, kiwała mu główką i dawała mu znaki paluszkami.

— Bądź zdrowa, dziewczeczko! — zawołał z uśmie-

chem, a Ajaks w głębi domu odszczeknął mu w odpowiedzi.

Zarzucił broń na ramię i ruszył w drogę. Dostanie cokolwiek pożywienia, choćby z pod ziemi miał je dobyć! Ta nadzieja wróciła mu energię i siły. Szedł szparkim krokiem po znanej drożynie. Nad łąkami unosił się lekki wietrzyk i kołysał tumanami, a choć nie mógł ich rozproszyc, niósł ulgę i świeżość zmęczonym płucom. Mgła widocznie rzedniała, opadała, wsiąkała w ziemię. Na wschodzie coś ciemnego, bezkształtnego wysunęło się z za gór.

— Ach, żeby to był deszcz! Za dwa tygodnie mielibyśmy zniwo... Nie pójdę do księcia... daleko!

Wszedł do pierwszej z brzegu jurty. Nie było w niej nikogo, ale cieleta na podwórzu, naczynia, leżące na ławie i na stole i obraz święty pod pałapem, były dowodem, że mieszkańcy nie wynieśli się z chaty. Zaczął więc szukać i znalazł w oborze babę, śpiącą na ziemi. Zbudził ją i wywołał do jurty.

— I ktoś ty, i czego potrzebujesz? — spytała, odgarniając z twarzy kosmyki siwych włosów. Była naga i nie wstydziła się swojej nagości. Brudne, cuchnące jakieś strzępy miała na szyi i ramionach prędeż jako upiększenie, niż odzież. Ciemna, pomarszczona skóra wisała na niej, nogi były cienkie, w pałak zgięte i drżące, ręce chude z zakrzywionymi, krogulczymi palcami, trzęsły się także.

Aleksander cofnął się: jeszcze nigdy takiej nędzy nie widział.

Patrzyła nań wyblakłemi, zaropiałemi oczyma i powtarzała bezmyślnie:

— Nic nie mam... nic nie wiem... Jestem głupia, stem stara!...

— Gdzie ludzie?...

— Wykoczowali... na wyspy. Wszyscy na wyspach... ano... Została stara... Została niedołęga!... — Pokazała ką, jak koszą i grabią.

— Mleko masz? sprzedaj!

— Wszyscy poszli... pracują... siano... A ja nic nie wiem... Jestem głupia... Byłam gospodynią...

— Cóż jesz sama? Podziel się... Ja ci zapłacę... ty znasz mię? Jestem Liksandra z zachodu...

— Wszyscy poszli... siano... pracuj... Nic nie wiem, c nie mam... — powtarzała coraz niewyraźniej, trzęąc rękami i głową.

— Czy został kto z sąsiadów?

— Nic nie wiem... nic nie mam... dużo lat... pracuj... siano...

Aleksander wyszedł, trzasnąwszy drzwiami.

W sąsiedniej jurcie też na pewno byli ludzie, ale... dikli. Na stole stała niedopita filiżanka ciepłej herbaty, żały okruszyny drobnej ryby i drewniany rożen, na órym była pieczona.

Wołał długo, ale nikt się nie pokazał. Musiały być me młode kobiety i bały się wyjść do niego.

Udał się do następnej jurty: ta była także pusta. idocznie wszyscy wyszli do sianożęcia. A więc wymie zamek pierwszej lepszej spiżarni, weźmie, co mu trzeba i zostawi za to pieniądze. Nie może przecież nrzeć z głodu. Była to jednak ostateczność, której wotby uniknąć. Skierował się więc ku Toj, której rodzinę pijej znał i na szczęście zastał w domu.

Wejściem swoim zrobił widocznie wrażenie. Wszyscy podnieśli się z miejsc, a chłopak wyrostek wyskoczył na dwór i krzyknął na kogoś. Stary gospodarz siedział przed ogniem.

— Kapsie!... Powiedz, cudzoziemcze, co słychać? Po co przyszedłeś?

Aleksander nieproszony siadł na ławie. W głowie czuł zamęt, w całym ciele osłabienie.

— Nakarmij stary, jestem bardzo głodny!

— Mój Boże, taki pan! taki łowiec! Dawno nie jadłeś? Toj, podaj sąsiadowi misę mleka... Niech piję! Zbrakło i nam pokarmu: przerwał się połów na rzece, a na jezioro chodzić nie można — sianożęcie! Czasu nie starczy... Ale zawsze bydło mamy... Wielka to pomoc bydło... Głodujemy, ale nie umieramy!

— Sprzedacie mi, spodziewam się, trochę mleka i masła.

— Sprzedać?...

Stary zamyślił się.

— Dlaczego nie sprzedać?... Możnaby sprzedać, ale... niema! Zakazano sprzedawać. Gromada kazała odsyłać cię ze wszystkim do księcia... Idź do niego; po co masz kupować? on ci darmo da. Nie możemy nie słuchać. Za byka wtedy co ja miałem, aj! aj! Nie uwierzyli, że przemocą wziąłeś.

— Nie uwierzyli, a w skardze napisali. A ty pozwoliłeś!

Stary się zmieszał.

— Cóż miałem robić? Pisarz skargę pisał. Cóż ja mogłem zrobić? Alboż wiedziałem, co napisać? Jestem, jak wiesz, niepiśmienny.

— Dobrze, dobrze! Mniejsza z tem. Lecz nie odejść stąd bez jadła!

— Cóż, siedź! Izba duża, kąta nie ubędzie. Siedź, a tylko ja słuchać muszę... Idź do księcia. Ja nic nie poradzę, jak inni, tak i ja... podwładny jestem...

Mruknął znacząco i głową wskazał na wchodzącego robotnika.

— Do księcia daleko. Nie mam gdzie córki zostawić. Żabie Oko wyprowadził się.

— I to prawda... Ale sprzedać nie możemy...

— Więc pożycz lub podaruj trochę...

Jakut zamyslił się.

— Nie... niema... Poradzę ci: jutro córkę przynies do nas, a sam idź do księcia. Będziesz miał wszystko... Tak myślę!

Aleksander brwi zmarszczył i zdawał się rozważać.

— Zgoda! — rzekł, westchnął i podniósł się. Był może z dziesięć kroków za wrotami, gdy z za węgła wyskoczyła Toj z wiaderkiem.

— Bierz, Liksandra, bierz, tylko nie gadaj! Wiaderko zwróć, nie połam...

Nim spostrzegł, co było w naczyniu, dziewczyna uciekła. Przyniosła mu trochę kwaśnego mleka — sorat — i kawałek żółtego masła.

Przed chwilą czuł wielkie rozżalenie, teraz mu coś w duszy pękło i oczy napęliły się łzami. Chciał oddać datek, chciał go powiesić na słupie u wrót, ale się rozmyślił i zabrał.

— Dobra dziewczyna!...

W nadziei upolowania kaczki, którą Zosi obiecał, wybrał się z powrotem inną drogą, do okola jeziora,

okrągłego jak talerz. Obszerne, czarne zwierciadło wody stało puste i nieruchome w zielonej oprawie szuwarów. Coś tam pluskało się w sitowiu, lecz milkło, skoro Aleksander się przybliżał. Próbował straszyć tyczką, ale chowało się jeszcze głębiej. Czas upływał na daremnych wysiłkach. Wreszcie kilka jakichś głupszych widocznie kacząt wysunęło się na gładką wodę, ale na widok głowy Aleksandra, wznoszącej się nad trawami, dały napowrót nurka w gęstwinę. Pozostało jedno tylko piskłę, które tak bardzo kwiliło i tak było małe, że Aleksander pożałował naboju. Tymczasem starła wypłynęła na kraj sitowia i ostrożnie głosem i ruchem starała się piskłę przywabić. Podpełznął nieznacznie ku niej, włożył na pień powalonego drzewa, przygotował broń i chrząknął. — Cisza, poczem dał się słyszeć słaby plusk, trwożne, cichutkie kwakanie i stara kaczka wypłynęła cokolwiek dalej na wody; zatrzymała się i, wyciągnąwszy szyję, zaczęła uważnie to jednym okiem, to drugim oglądać brzeg. W tej chwili rozległ się strzał i ptak z przeraźliwym krzykiem nisko poleciał nad wodą. Aleksander powtórnie strzelił w lot. Kaczka spadła, ale nie przewróciła się: pływała, kwacząc żałośnie, bijąc złamanem skrzydłem i oglądając się na dzieci. Te śpiesznie płynęły do niej zbite w gromadkę, po szyję pogrążone w wodzie. Aleksander nabił broń i jeszcze raz wystrzelił. Tym razem wywróciła się i rozpostarła skrzydła.

— Wiwat! będzie obiad, jakiego Zosia już dawno nie miała!

Czapkę zdjął, na czapce broń kurkami położył i zaczął pośpiesznie się rozbierać. Teraz dostrzegł dopiero zaszłe w dolinie zmiany.

Znikła mgła, ale niebo, choć czyste, miało brzydki stalowy połysk. Pod niem od wschodu toczyły się kłębuszki kędzierzawych, czarnych jak smoła obłoczków. W pogoni za nimi leciały palące podmuchy wiatru. Z za gór, miedzianą piersią opierając się o ich szczyty, podnosiła się potworna czarno-ruda chmura. Dokoła niej uwijały się stada strzępiastych obłoków, a ona wyciągała kosmate łapy, jak gdyby chciała wszystkie je zagarnąć i w siebie wchłonąć. Leciała ku słońcu! Na cały widnokrąg rozpuściła skrzydła, a za nią cień siny biegł po ziemi, przykrywał góry, lasy, łąki i wody. Ogarnęła już pół nieba i pół ziemi, i spotkała się nakoniec z promieniami zachodzącego słońca. Na rozczochranej jej grzywie błysnęła szeroka tęczowa przepaska, wybiegające z pod niej sploty wiatr szarpał i rozdymał, aż deszcz spadł zastoną na zasepione oblicze burzy i stopił w jedno cień ziemi i nieba. Niby gniewu spojrzenia przelatowały po niej błyskawice; grzmot przybliżał się, rósł, potężniał.

Umilkło ptactwo, woda jeziora jakby zmartwiała, szuwary stały osłupiałe, z głębin lasu płynęły upalne wonie. — Nawałnica przybliżała się, pomrukując groźnie. Przed nią uciekał orzeł z rozpiętymi skrzydłami. Długo migotał w słońcu jak złoty, a był tak wysoko, że wydawał się drobny, niby motyl. Wreszcie ogarnęła go fioletowa opona burzy i zniknął. Wicher zerwał się i uderzył o ziemię.

W tej samej chwili Aleksander wracał z kaczką do brzegu. Nagle podniosła się fala, pianą bryznięta mu w twarz i przeskoczyła przez głowę. Musiał jak pies wziąć zdobycz swoją w zęby, gdyż obie ręce stały mu

się teraz potrzebne. Płynął z trudnością, fale uderzały o niego, długie ślizkie wodorosłe obwijały mu członki niby macki zbudzonych ze snu polipów. Ostatnia fala z taką siłą rzuciła go na trzciny, że poranił sobie dłoń i kaczki o mało nie zgubił. Dzwoniąc zębami, ubierał się pod strugami ulewy i z przerażeniem myślał o Zosi.

A tymczasem uragan ryczał, wył, tarzał się po dolinie. Grom huczał, przelatywały błyskawice, las bałwaniał się, jak woda. Aleksander z trudnością odnalazł wiaderko, które schował był w krzakach i zmoczony do nitki, pędem puścił się ku domowi. Nie mógł jednak biedz szybko: tamowały mu drogę potoki, spływające z pochyłości, kamienie, lecące pod nogi, gałęzie; oczy zalane wodą, oślepienie błyskawicami nie widziały ścieżki przed sobą — zdawała się bez końca; serce biło w piersi, jak młotem.

Minął wreszcie gaj, co mu widok na sadybę zasłaniał i w świetle błyskawicy zobaczył swoją jurkę przez mglistą deszczu zasłonę. Odetchnął swobodniej: piorun jej nie zapalił, stoi. Zwolnił kroku, ale gdy był już blisko, gdy minął węgiel domu, stanął jak wryty. Szyba z okna była wyjęta, deszcz i wichur wpadały do wnętrza, na stole stała zapalona łojowa świeca. Ajaks siedział na ziemi i żałośnie spoglądał w okno; ujrawszy pana, wstrząsnął uszami i zaskomlał radośnie.

Drżącemi rękami Aleksander oderwał zamek ode drzwi.

Zosi nie było w izbie.

— Zosiu!... Zosiu!... — wołał, przeglądając wszystkie kąty.

Wyskoczył na deszcz i pobiegł drogą prowadzącą do jurty Żabiego Oka.

— Zosiu! Zosieczko!... — powtarzał z jękiem prawie. Ajaks biegł za nim, skakał i lizał mu ręce.

Obszukał wszystkie skrytki w opuszczonej siedzibie, obmacał ściany, dziury, kąty; zapalił luczywo, wołał, kłakał. Wszystko daremnie.

— Boże mój, Boże!...

Nie wierzył sobie, nie wierzył temu, co się stało. Nawie obłąkany wypadł znowu na ulewę.

— Zosiu!... Zosieczko!... — wołał ochrypłym już głosem, lecz krzyk jego ginął w ogólnym zamęciu. Usłyszał go tylko Ajaks i stanął przed panem z podniesionym do góry łbem. Aleksander spojrział na niego i nagle błysnęła mu myśl!

— Ajaks szukaj... szukaj Ajaks! Pójdź, szukaj...

Pies machał ogonem, zdawał się wyrażać gotowość, czekał nawet, ale się nie ruszył... Nie wiedział, o co chodzi.

Aleksander pośpiesznie wrócił do domu, odszukał szulkę Zosi i dał psu powąchać.

— Ajaks pyf!... na masz!... szukaj!... — koszulkę zatykał mu do pyska i ręką ukazywał w ciemność. Ajaks biegł naprzód i psa przyzywał. Ten zupełnie strąglony, rzucał się jak szalony, ale wciąż do pana wracał.

— Ajaks, szukaj... poczciwy... kochany psina... — przysiadł, przytulając rozpaloną twarz do mokrego cielska zwierzęcia.

Pies podskoczył z radosnym skowytym i liznął go w twarz, potem rzucił się na ziemię i podniósł wszyst-

kie łapy w górę. Dawno już pan go tak nie pieścił, takich łaskawych słów nie mówił. Aleksander schwycił się za głowę.

— Nie... nie! — powtarzał z rozpaczą, czując, że nogi gną się pod nim. Siadł na pniu ściętego drzewa i zakrył oczy ręką, by choć na chwilę oderwać się od otaczającego go łoskotu burzy i zebrać myśli. Siekła go zimna ulewa, blask błyskawic przez zamknięte powieki do mózgu wnikał, szum burzy unosił gdzieś niezmiernie daleko.

— Nie... nie!... Trzeba pomyśleć... jakie zna drogi. Może poszła do łachy... Może tam, gdzie już ją raz znalazłem... Może zobaczę gdzie ślady... Powoli... Spokojnie... Muszę być spokojny!...

Powstał i zaczął iść nachylony, z oczyma wlepionymi w ziemię, starając się przebić wzrokiem ciemności, rozświetlane chwilowymi błyskawicami. Z niecierpliwością wyczekiwał każdej, zdawało mu się, że wieki upływają między pojawieniem się jednej, a drugiej, tymczasem one były tak częste, jak uderzenia krzyżujących się mieczy. Ajaks też nos spuścił ku ziemi, biegł i drogę obwąchiwał. W jednym miejscu dłużej się zatrzymał. Wielka błyskawica oświeciła kałużę wody i tuż obok czochratej kępy coś drobnego, białego na ziemi; lecz znikła, nim oczy jego to coś rozpoznać mogły. Więc nie ruszał się i ze wzrokiem wlepionym w to miejsce czekał następnej. Z błyskiem rzucił się i podniósł... lalkę Zosi. Teraz ukląkł i jeszcze niżej się nachylił i czekał blasku... Miał nadzieję zobaczyć ślad...

Palcami szukał ostrożnie, czy nie namaca zagłębień w błocie. Zdawało mu się dotykać czegoś, co mo-

gło być śladem, ale tak rozmytym, że trudno było rozpoznać.

— Zosiu!... Zosiu!... Ajaks!...

Psa nie było. Wezwany, wyskoczył naprzód, lecz nie przybiegł. W świetle błyskawicy zobaczył go Aleksander, stojącego w pewnej odległości, machał ogonem i patrzył na niego.

— Szukaj... szukaj, Ajaks! — zawołał.

Słyszał, jak pies rzucił się w zarośla i coś jakby jęk doleciało go stamtąd. Tłumiąc oddech, posuwał się, słuchał i nawoływał.

— Zosiu!... Ajaks, szukaj!...

Ajaks znów podbiegł do niego, potem odskoczył, stanął nad czemś dużem i ciemnem i szczeknął.

Tak, to było jego dziecko! Leżała w błocie, rękami obejmowała sobie główkę, a twarzą w tuliła w kępę; drżała i jęczała cichutko. Porwał ją na ręce radośnie, przycisnął do piersi i pędem zawrócił ku domowi.

Rozebrał dziecko w mgnieniu oka, położył na suchą pościel i rozniecił suty ogień. Potem rzucił przedmokłe i zabłocone ubranie i wytarł się ręcznikiem do sucha. Ożywcze ciepło rozlało się po jego zmęczonych i skostniałych członkach. Postawił czajnik na ogniu. Zosia jęczała wciąż i miała oczy zamknięte.

— Zosienko... dziewczynko moja!... Otwórz oczki... spojrzij!... To ja, twój ojciec...

Powieki dziecka drgnęły, ale nie otworzyły się; podniosła rączkę i położyła ją na jego twarzy. W takiej postawie ucichła powoli i usnęła. We śnie dostała gorączki i nawet bredzić zaczęła. Aleksander wlał jej

w usta roztworu chin, której proszek chował, jak skarby największe. Sam, by się pokrzepić, wypił wzorem krajowców spodek ciepłego topionego masła i zjadł kwaśnego mleka. Nad ranem zdrzemnął się przy dziecku.

Obudził go krzyk.

— Ojczulku, ja się boję!... Niedźwiedzie chodzą wokoło... ryczą... Nigdy nie będę... Nie bij mię, ojczulku!...

Siedziała na pościeli i wyciągała do niego rączki. Gęste złote włoski rozsypały się dokoła jej główki, twarzyczka pałała, w błękitnych oczach malował się przestrah. Była żywym obrazem matki i przypomniła mu tę chwilę, kiedy Julię zobaczył w jurcie jakuckiej, witającą go z wyciągniętymi ramionami.

Zaczął ją pieścić, kołysać na rękę, aż utulił i znowu usnęła. — Sam jednak nie mógł już spać. Wyszedł przed dom, by się orzeźwić, pomyśleć.

Dolina wstała po burzy czysta, odświeżona, radosna. Niebiosa miały błękit skapanego w wodzie bławatka; nigdzie ni kurzu, ni tumanów nie było śladu. Znikły żółte plamy spalenizny, kwiaty podniosły główki i barwne, jaskrawe, jak gwiazdy zabłyśły wśród traw. Ziola obmyte, wilgocią napojone, rozkosznie rozwijały kędzierzawe swe liście. Lasy oblane wschodzącym słońcem, rzucały cień chłodny, złotem przenizany strzałami. W głębi odzywała się kukulka, świergotały ptaki. Poranek był piękny, iż myślećby można, że to wiosna zjawiała się powtórnie.

Aleksander z rozkoszą wdychał powietrze, jak kryształ czyste i patrzył — wpatrywał się w bory, jak gdyby chciał oczy widokiem ich nasycić. Postanowił odejść

stał. W jednej chwili rozważył i zdecydował. — Niech z nim robią, co chcą. Musi ratować dziecko! Jeśli go ukarzą za samowolę i wyślą gdzie dalej, to gorzej pewnie nie będzie. Postara się na nowem miejscu starych nie popełnić błędów, stworzyć sobie inne, bardziej ludzkie stosunki. Ze wszystkim się pogodzi, wszystko przeczeka... Ta placówka stracona. Zwyciężyli go; czuje, że się lękać zaczyna, czuje się słabym i winnym. Lepiej odejść, niż poprawić omyłki... Więc odejdzie, jak można najprędzej. Ale jak? Nie chciał iść do księcia i żądać, by go odwiezli. Nie dlatego, żeby mu wstyd było, bo było mu obecnie wszystko jedno; nie dlatego, żeby wątpił, iż Jakuci odwieźć go zechcą, ale że do księcia było 15 wiorst, że mógł go nie zastać, koni nie dostać, a nie chciał już czekać ani dnia, ani godziny. Pójdzie więc prosto piechotą, a dziecko na plecach zanieś. Noszą przecież cyganki nie wiele mniejsze dzieci, a Węgrzy całe paki towarów. Dziecko nie mogło ważyć więcej nad funtów pięćdziesiąt. Cóż to znaczy dla niego! i co znaczy siedmdziesiąt wiorst lasu w takiej potrzebie!

Zabrał się niezwłocznie do pakowania w kufry rzeczy, które zostać miały; wiązał je sznurami i opieczętowywał. Gmina odstawi je do zarządu Ulusa, a potem pójdą dalej jego śladem. On tu nie wróci... Niech co chce będzie, nie wróci...

Broni wyczyścił, nasypał pełen róg prochu, odlał kilka kul i nabił jedną lufę śrutem, a drugą — kulą na wypadek niedźwiedzia. Nóż obejrzał, naostrzył, odzież poprawił, do obuwia przyszył nowe podeszwy i rzemyki; zapiał się, pas podciągnął, fałdy wyrównał, aby wszystko leżało gładko, nic nie wisało, nie zawadzało,

nie czepiało się. Kaczkę, wczoraj zabita, ugotował i połowę zjadł, połowę włożył do tłomoczka. Zosię nieprzytomną i rozpaloną, jak węgiel, zmusił wypić trochę rosołu, potem ją ubrał we wszystko czyste i suche, posadził na pled i jego końce zarzucił sobie na plecy. Do pasa przyczepił z jednego boku kociołek, z drugiego — kobiałkę z kory brzoźowej, szczelnie zamkniętą, w której znajdowały się resztki masła i kwaśnego mleka. Broń powiesił na ramię, kij wziął do ręki i świsnął na psa.

Na zakręcie stanął i obejrzał się na swoją sadybę. Nie czuł żalu. Spojrzenie jego obojętnie przesunęło się nad błękitną przepaścią Ałdanu, objęło potężne modrzewie gaju, ubogą jurte, obsypaną ziemią i trawą porośłą, której okna, jako przezorny gospodarz, zabił deskami. Przez tyle lat oglądał co rano wzgórek sosnowy i łąki naprzeciw i srebrne jezioro... i nie wzruszało go, że nie zobaczy ich już nigdy. Ale pomyślał o Jakóbie, który w tym głuchym kącie miał pozostać zupełnie samotnym. Jakże mu będzie przykro, gdy się dowie, że odszedł może na zawsze... bez pożegnania, bez uścisku!... I wzrok jego w przelocie spoczął na polu jęczmienia. Gęste, bujne kłosa pokotem legły po burzy, lecz już w niektórych miejscach próbowały podnieść i wyprostować zgięte w pałak łodygi. Ciepły, łagodny wietrzyk głaskał je i dźwigał, szeleszcząc długimi ich wąsami. — W duszy Aleksandra zadrgało bólem uczucie. Tu on znał każde zdźbło, każdy kłos, sam pełł je i pielęgnował, każdą niemal grudkę ziemi własnymi przecierał rękami; na każdym wbitym kołku zostawił cokolwiek własnej duszy i ciała! Odejdzie, a piołuny znowu pole zarosną, płot Żabie Oko zabierze i na kominie spali. Nic po nim

nie zostanie... prócz legendy, że był tu ongi obcy szatan, co ziemię chciał zabrać Jakutom, nie spał po nocach, błądził i straszył, a miał córkę złoto-włosą i złęgo, czarnego psa.

Machnął ręką i ruszył naprzód szerokim, żołnierskim krokiem, chyląc się mocno pod ciężarem swoim na plecach.

Nawałnica wygładziła ścieżynę. Pierwsze dziesięć wiorst przeszedł swobodnie, ale im dalej zapuszczał się w las, rósł upał i droga stawała się coraz gorszą. Uszedł jeszcze trzy wiorsty i poczuł, jak strasznie wyczerpują się jego siły.

Dziecko nie wracało do przytomności, rozpalone jej ciało piekło go w plecy, jak zarzewie; końce pledu wrzynały mu się w odparzone ramiona. Wszystkie drobiazgi, tak lekkie przy wyjściu, nabrały ciężkości ołowiu, zaczęły przeszkadzać i odzież w dół ciągnąć. Gdzie mógł oprzeć się, stawał i odpoczywał choć chwilkę, ale myśl o powrocie ani przychodziła mu do głowy. — Uszedłszy trzecią część drogi, zatrzymał się dłużej, rozniecił ogień, posilił się i zrobił herbaty.

Dalsza droga prowadziła między górami Drożyna biegła po spadzistości. Wysoki, gęsty las wznosił się z obu stron, a tam — na dole, w głębi błyskała woda między wierzchołkami drzew i falami zieleni. Słońce zachodziło w parowie. Chciał na noc zatrzymać się nad brzegiem wody. Szedł rażno, mniej czując rany i odparzenia na nogach.

Stanąwszy nad rzeczką, nałamał przedewszystkiem modrzewiowych gałązek i urządził Zosi postanie, poczem rozpalil ogień i postawił Ajaksa na straży przy dziecku,

a sam poszedł w zarośla, gdzie widział przed chwilą kuropatwy. Wkrótce powrócił z jedną i miał smaczną wiecezrę. Dziecko nic jeść nie chciało. Noc przesiedział oparty o drzewo, zdjął tylko obuwie, aby ochłodzić stopy, broń położył przy sobie, a śpiącą dziewczynkę trzymał na ręku, bojąc się ją położyć na wilgotnej ziemi. Ajaks cisnął się także do niego, wystraszony niezwykłością otoczenia. Kilka razy wydało mu się, że słyszy wycie, głosy jakies w zaroślach i podejrzany plusk i trzask nad rzeką. Kładł wówczas dziecko na trawę, dorzucał świeżych gałęzi na ogień i z odwiedzionymi kurkami, a mocno bijącym sercem słuchał i wpatrywał się w ciemności.

O wschodzie słońca ruszył dalej. Upał był straszny, on czuł się tak wyczerpany, że chwilami myślał, iż nie dojdzie. Najcięższym jednak do przebycia okazał się kawałek drogi od pierwszych płotów do pierwszej sadyby.

Szedł, zacisnąwszy zęby, spuściwszy oczy, aby nie widzieć kołków i żerdzi — drażniących dowodów bliskości ludzi, których wciąż jeszcze nie było.

— Cudzoziemiec! A jaki zmęczony!... Coś niesie... Dziecko — zawołała stara Jakutka, gdy chwiejnym krokiem wszedł do jurty i zdjął z pleców pled z Zosią.

— Co się stało?... Piechotę, mój Boże!... Odpowiedz!... Czy nieszczęście jakie? — pytała.

Znali go tutaj; nieraz dawniej, przejeżdżając, konia u nich karmił.

Nie odpowiadał, nie mógł mówić: wzruszenie ścisnęło mu krtań. Napoili go zimną śmietanką, posadzili na ławie. Powiedział im, że śpieszy z chorem dzieckiem

do zarządu Ułusa, skąd ruszy dalej do miasta, że przyszedł piechotą dla uniknięcia straty czasu.

Gospodarz kiwał głową zdziwiony. Do Ułusa zostało jeszcze pięć wiorst, więc Jakut za pół rubla zgodził się odwieźć go natychmiast i zaprzągnął swego byka do skrzypiącego drewnianego wozu.

Tu już zaczynała się kultura.

— Pan sam przyjechał? Skąd-że się pan dowiedział? — przyjął go ze zdziwieniem pisarz Ułusa. Mysłmy przecie nie posłali jeszcze księciu papieru? Okazy nie było...

— Jakiego papieru?

— To pan nie wie?... Wielka łaska... pozwól pan powinszować sobie... Wracasz do kraju!...

Wargi i ręce Aleksandra poczęły drżeć, jak liść osikowy.

— Pokażcie papier.

— Owszem, chętnie... Oto on... A ja myślałem, że się pan dowiedział, że towarzysze z miasta napisali! Dawno należało wysłać, mówiłem wójtowi, ale... sianozęcie, nikt nie jechał!... A cóż gospodarstwo?

Aleksander głowę pochylił, czytał, a gorzkie, palące łzy padały na papier.

Swiack 1 maja 1896 r.



Spis rzeczy.

	Str.
Jesienia, obrazek z życia północno-wschodnich krańców Syberii	1
Skradziony chłopak	25
Chajłach	51
W ofierze bogom	99
W matni	131



